

Henny Kutner
Mokra magia



HENRY KUTTNER

MOKRA MAGIA

Przekład: Jerzy Florczykowski i Andrzej Drozd



AGENCJA WYDAWNICZA „TOR” WARSZAWA 1993

Mokra magia

Działo się to w Walii, która ze względów oczywistych była jedynym logicznie uzasadnionym miejscem pobytu Morgan le Fay. Rzecz nie w tym, że Artur Woodley spodziewał się znaleźć tam legendarną czarodziejkę. Szukał czegoś zupełnie innego. Krótko mówiąc, chodziło mu o bezpieczeństwo.

Z dwoma Stukasami uczepionymi uparcie ogona jego samolotu obserwacyjnego, pomimo gęstej jak grochówka mgły, która okrywała urwiste szczyty Walii, Woodley wywijął się i wykręcał szaleńczo, a jego przystojna twarz o twardych rysach wyrażała napięcie.

To nie w porządku, pomyślał. Ten grat nie został pomyślany jako myśliwiec, a ponadto wymagał jeszcze jednego członka załogi. Niemcy nie powinni pętać się po trasach rutynowych lotów przewozowych.

Z—zuum!

Obok hełmu Woodleya przeleciały pociski smugowe. Czemuż te Stukasy nie zostawią go w spokoju? Wcale ich nie szukał. Gdyby przyszło mu do głowy, że znajdzie nieprzyjacielskie Stukasy ponad Walią, z miejsca poleciałby w przeciwnym kierunku. Znowu pociski. Beznadziejnie. Stukasy jak przymocowane. Woodley niebezpiecznie zanurkował w mgłę.

Do diabła — w Hollywood organizuje wszystko lepiej. Woodley uśmiechnął się ponuro. W powietrznych bitwach, w których uczestniczył grając w „Lotnych Skrzydłach” Paradoxa, miał lepszy samolot. Choćby Spitfire'a lub P-38. No i...

Ta-ta-ta! A niech to wszystko diabli! To nie mogło

wiecznie trwać. Stukasy nauczyły się jego wykrętów — *spang!* - każde uderzenie w pancerną płytę przypominało mu, że nie są to ślepe naboje używane w Hollywood.

Ta-ta-ta-spang! Z jednym dałby sobie radę. Dwa powodowały, że szanse stawały się nierówne. Ale w tej gęstej mgłę nie powinno być trudno uciec.

Silnik zakrzusił się i zdechł. Prawdopodobnie kula odnalazła przewód zasilania paliwem. Woodley poczuł nieomal ulgę. Skręcił w szczególnie gęsty obłok mgły, obejrzał się i zobaczył, że oba Stukasy lecą wciąż za nim. Ile jest do ziemi?

W każdym razie musiał zaryzykować. Przy wyskakiwaniu z maszyny kilka kul zagwizdało obok, lecz żadna nie znalazła miejsca w ciele Woodleya. Niżej mgła była gęstsza i skryła spadochron, więc ogień ustał.

Samolot spadł trochę dalej. Pomruk silników Stukasów cichł wraz z ich oddalaniem się na wschód — szkopy wykonały już swoją robotę. Woodley, dyndając w jedwabnej uprząży, spojrzął w dół wyteżając wzrok, aby zobaczyć, co znajduje się poniżej.

Drzewo. Zderzył się z nim z okropnym trzaskiem i hukiem, podrzuciło go z powrotem do góry i zawisł, bez oddechu, obracając się powoli. Cisza i mgła zwały się znowu. Nie słyszał nic z wyjątkiem szmeru rzeczulki, gdzieś w pokrywającej wszystko szarości.

Wyplątał się z uprząży, zlął w dół, napił się brandy z piersiówki i dopiero potem się rozejrzał.

Niewiele dało się zobaczyć. Mgła wciąż była gęsta, lecz wokół dawało się rozróżnić upiorne sylwetki drzew. A więc las. Z miejsca, w którym się znajdował, grunt ostro opadał w dół, w kierunku, gdzie bełkotał niewidoczny strumyk.

Brandy wywołała uczucie pragnienia, więc Woodley zaczął się przedzierać poprzez mrok, do chwili gdy nieomalże wpadł do strumienia. Napił się, a następnie, trzęsąc się z zimna, dokładniej przyjrzał się otoczeniu.

W dole rósł potężny dąb, sękaty i wiekowy, o pniu takich rozmiarów jak kalifornijskie sekwoje. Jego obnażone, zniszczone erozją korzenie tworzyły wyglądającą przytulnie norę, a raczej pieczarę, która mogła przynajmniej zapewnić schronienie od kąsającego zimnem wiatru. Woodley zrobił ostrożnie krok do przodu i upewnił się, że mała nora jest pusta. W porządku, pomyślał.

Schylił się i tyłem na czworaka wlaźł do nory, lecz nie za daleko. Coś kopnęło go w siedzenie. Zatoczył w powietrzu łuk, który zakończył się z głową w potoku. Zabulgotał, wrzasnął i podskoczył, mruganiem pozbywając się wody z oczu.

Niedźwiedź...

Nie było żadnego niedźwiedzia. Woodley przypomniał sobie, że szczegółowo zbadał norę z korzeni i był pewien, że nie mogła zawierać nic większego od stosunkowo młodej myszy. Myszy natomiast rzadko, jeśli w ogóle, kopią, i to z nie tak znacznym efektem.

Ciekawość przywiodła Woodleya z powrotem na miejsce upokorzenia. Zajrzał ukradkiem. Nic. Zupełnie nic. Sprężysty korzeń odgiął się i uderzył go. Niemożliwe, aby stało się to po raz wtóry. Co więcej, wiatr oziębiał się coraz bardziej.

Tym razem Woodley wczołgiwał się głową do przodu i tym razem został kopnięty w twarz.

W trakcie szybkiego gramolenia się z potoku Woodleyowi przyszła dzika myśl do głowy, że może ma do czynienia z niewidzialnym kangurem. Staął bez ruchu,

gapiąc się na pustą norę korzeni. Następnie pociągnął łyk brandy.

Logika pośpieszyła mu z pomocą. Przeszedł przez nieprzyjemną, nerwową próbę; nic dziwnego, że różne rzeczy przychodziły mu do głowy. Mimo wszystko nie wykonał trzeciej próby najścia na pieczarę. Zamiast tego, raczej z ociąganiem, poszedł z biegiem strumienia. Woda powinna dokądś doprowadzić.

Upadek spadochronu na drzewo posiniaczył go trochę, więc usiadł, aby chwilę odpocząć. Wirująca szara mgła przyprawiła go o zawrót głowy. Ciemna kolumna drzew zdawała się poruszać falującym, na w pół żywym, własnym bytem. Woodley położył się zamykając oczy. Nie podobała mu się Walia. Nie podobał mu się bigos, w który się wpakował. Nie...

Ktoś pocałował go w same usta.

Nie zdając sobie sprawy, co robi, Woodley odruchowo oddał pocałunek. Następnie otworzył oczy i spostrzegł szczupłą, śliczną dziewczynę, podnoszącą się z klęczek obok nie-go. Nie usłyszał, kiedy nadeszła...

— Hm... — wyjąkał — witaj! — Dziewczyna była wyjątkowo ładna, ciemnowłosa, ze złotą przepaską ponad brwiami. Miała na sobie suknię sięgającą do kostek, ale Woodley dostrzegł, że jej figura była doskonała.

— Pachniesz Merlinem — powiedziała.

— Ja... hm... naprawdę? — wymamrotał Woodley, czując się z lekka urażony. Nie spuszczać oczu z dziewczyny wstał. Dziwne ubiory nosi się w tej części kraju. Być może —hura — być może nie jest w Anglii!!

Zapytał o to dziewczynę, lecz ta potrząsnęła głową.

— To jest Walia. — Jej twarz zmarszczyła się, brwi zaś zeszyły się w jedną linię.

— Ktoś ty? Przypominasz mi... kogoś...

— Artur Woodley. Latam w A.E.F. Prawdopodobnie widziałaś jakieś moje zdjęcia — czy tak?

— Merlin potrafił latać — zauważyła tajemniczo.

Zakłopotany, nagle przypomniał sobie, że Merlin to ptak — gatunek sokoła, pomyślał. No, to jedna rzecz wyjaśniona.

— Nie widziałem, jak przyszedłeś — powiedział. — Mieszkasz niedaleko stąd?

Dziewczyna zachichotała cicho.

— O, zwykle bywam niewidzialna. Nikt nie może mnie zobaczyć lub dotknąć, o ile nie mam na to ochoty. A nazywam się Vivienne.

— To śliczne imię — rzekł Woodley, automatycznie wpadając w swój zwykły tok konwersacji. — Pasuje ci.

— Od lat nie czułam nic do mężczyzny. A teraz myślę, że kocham cię, Arturze. Czy dzieje się tak, ponieważ przypominasz mi Merlina? — powiedziała.

Woodley przełknął ślinę. Dziwne zwyczaje mają w Walii. Ale musi uważać, aby nie obrazić dziewczyny — zresztą jest zagubiony, a jej usługi jako przewodniczki mogą okazać się bezcenne.

Nie było potrzeby podtrzymywania konwersacji. Vivienne sama kontynuowała gładko:

— Mieszkam niedaleko stąd. Pod jeziorem. Mój dom i ja jesteśmy twoi. Oczywiście zakładając, że uda ci się przejść próbę. Lecz skoro potrafisz latać, możesz nie obawiać się żadnego zadania, jakie Morgan ci wymyśli — prawda?

— Ależ byłbym szczęśliwy mogąc pójść z tobą, Vivienne — potwierdził śpiesznie. — Przypuszczam... przypuszczam, że mieszkasz z rodzicami?

— Od dawna obrócili się w pył. Czy pójdiesz ze mną z własnej, nie przymuszonej woli?

— Z przyjemnością.

— Powiedz, że z twojej, nie przymuszonej woli — nalegała Vivienne, jej ciemne oczy pały.

Woodley, mocno zakłopotany, podporządkował się, zwłaszcza iż było oczywiste, że nie wiąże się to z jakimkolwiek niebezpieczeństwem. Dziewczyna uśmiechnęła się jak anioł.

— Teraz jesteś mój — powiedziała — albo raczej będziesz, po przejściu przez próbę wymyśloną przez Morgan. Chodźmy! To niedaleko, lecz może byśmy polecieeli?

— Czemu nie? — odpowiedział Woodley z uśmiechem.

— Ruszajmy.

Vivienne ruszyła. Podniosła ramiona do góry, stanęła na czubkach palców i uniosła się, z lekka chwiejąc się w podmuchach wiatru. Woodley znieruchomiał, gapiąc się w miejsce, gdzie stała przed chwilą.

Potem ruszył gwałtownie, posyłając szybkie spojrzenia dookoła, by wreszcie z najwyższą niechęcią odchylić głowę do tyłu.

Była właśnie tam, w górze, spływając w dół przełomu strumienia; oglądała się przez ramię.

— Tędy — jej srebrzysty głos dobiegł z oddali.

Woodley odwrócił się bezwiednie i zaczął się oddalać. Oczy mu się nieco zaszklily. Wydawało mu się, że to halucynacje...

— Kochany mój!! — dobiegł go głos z góry.

W powietrzu rozległ się świst przypominający Woodleyowi nurkowanie Stukasa. Zaczął kluczyć, starając

się uniknąć niebezpieczeństwa, i wpadł twarzą do strumienia. Skronią solidnie uderzył o okrągły kamień — a utrata świadomości przyniosła mu wyraźną ulgę.

Kiedy Woodley przebudził się w jedwabnej pościeli z pojemnikiem lodu na głowie, wydawało mu się, że jest we własnym domu w Bel-Air. Lód działał orzeźwiająco, nieomal całkowicie eliminując tępy, pulsujący ból. Kac...

Przypomniał sobie. To nie był kac. Upadł i uderzył się w głowę. Lecz co się działo przedtem? Vivienne...! Z uczuciem nudności w brzuchu udało mu się przywołać z pamięci jej słowa i złożyły się one na nowe, szokujące znaczenie.

Ale to nie może być prawda...

Unióś powieki do góry. Tak, leżał w łóżku, lecz to nie było jego łóżko, no i spoglądał w twarz... czemuś.

To coś z wyglądu było dziewczyną, bez odzienia, o wyjątkowo doskonałej figurze, lecz zrobioną z zielonej galarety. Jej rozwiane włosy wyglądały jak bardzo drobne morskie wodorosty, chmurą opływające jej twarz. Widząc, że Woodley się poruszył, osunęła się, zabierając rękę, którą on wziął za pojemnik z lodem.

— Mój panie — powiedziała, skłaniając się nisko.

— Sen — wymamrotał Woodley nieprzytomnie. — To musi być sen. Zaraz zbudzę się. Zielona galareta... w technikolorze. — Rozglądając się dookoła, z wolna się uspokajał. Leżał w pościeli z najcieńszego jedwabiu; pokój nie miał okien, lecz wypełniała go chłodna, bez-barwna poświata. Powietrze było zupełnie czyste, jednak wydawało się jak gdyby — zgęstniałe. Gdy usiadł, poczuł leciutkie prądy i zawirowania. Pościel zsunęła mu się z nagiego torsu.

— Ś... śnie — mruknął, ani przez chwilę nie wierząc w to, co go otaczało.

— Mój panie — powtórzyła zielona dziewczyna, skłaniając się znowu. Miała słodki i jak gdyby trochę bulgoczący głos. — Na imię mi Nurmala, jestem nimfą wodną do twych usług, panie.

Woodley uszczypnął się na wszelki wypadek. Zabolało. Pochylił się, by sięgnąć ramienia Nurmali, i odkrył rzecz straszną. Dziewczyna-nimfa nie tylko wyglądała jak z galarety — ona była z galarety. Dotykając jej miał uczucie, jak gdyby ścisnął woreczek wypełniony zimną papką. Zimną i wstrętną.

— Lady Vivienne rozkazała mi opiekować się tobą — rzekła Nurmala, wcale nie wydając się urażona. Jej ramię powróciło do normalnych kształtów. Woodley zauważył, że sylwetka jej zdaje się falować na obrzeżach, ona zaś kontynuowała:

— Przed zachodem słońca będziesz musiał poddać się próbie, którą wymyśliła ci Morgan le Fay; a będziesz potrzebował całej swej odwagi, aby tego dokonać.

— Co? — Woodley niezupełnie zrozumiał.

— Musisz zabić to coś, co ma legowisko za Drżącą Skalą — odpowiedziała Nurmala. — Morgan stworzyła to dziś rano i umieściła tam, aby cię wypróbować. Wypląnąłam i widziałam — umilkła, rozejrzała się szybko dookoła i dodała prędko: — Ale czym mogę ci służyć, panie?

Woodley przetarł oczy.

— Ja... czy ja śnie? No dobrze, potrzebuję jakiegoś ubrania. I gdzie ja jestem?

Nurmala odeszła, zdając się raczej szybować, niż iść, i wróciła z naręczem ubrań, które Woodley wziął i

przejrzał. Była tam niebieska tunika ze złotogłowiu zdobionego na obrzeżach złotym haftem, lniane kalesony, długie, brunatne, obcisłe spodnie zakończone skórzany-mi podeszwami i pas ze sztyletem w pochwie. Na piersiach tuniki znajdował się rysunek zwiniętego w pierścień węża ze złotą gwiazdą ponad uniesionym groźnym łbem.

— Czy włożysz je, panie? Ty nie śniesz — naprawdę.

Woodley doszedł już do tego sam. Naprawdę nie spał, a jego otoczenie było całkiem na pewno — niezemskie. Wnioski narzucały się same.

Tymczasem poczułby się znacznie lepiej w spodniach.

— Oczywiście — odpowiedział. — Włożę je.

Czekał. Nurmala również czekała i z widocznym zainteresowaniem przyglądała mu się, przekrzywiwszy głowę w jedną stronę. Ostatecznie Woodley zrezygnował z czekania i wciągnąwszy kalesony pod prześcieradło, wcisnął się w nie w tej pozycji z pewną trudnością. Nurmala wydawała się rozczarowana, lecz nie powiedziała nic.

Słowa Vivienne okazały się więc prawdą! Dobry Boże, co za historia! A jednak — gdy Woodley dopasowywał tunikę, jego oczy zwały się od natłoku myśli. Jeśli z góry przyjąć za pewnik to, co wydaje się na początku nieprawdopodobne, znajdziemy się w znacznie bezpieczniejszej sytuacji. Magia — hm-m-m. W klechdach i legendach ludzie zwykle przegrywali w zawodach z baśniowymi postaciami. Powód wydawał się całkiem oczywisty. Producentowi łatwo ocyganić aktora. Aktor miał świadomość — musiał ją mieć — swojej niedoskonałości. A istoty nadprzyrodzone, myślał Woodley, mają zwyczaj polegania w dużej mierze na swym

nieziemskim pochodzeniu. To wynikało z psychologii. Przestrasz przeciwnika i masz już więcej niż połowę wygranej.

Lecz jeśli przeciwnik nie blefuje — jeśli trzyma się twardo ziemi i robi użytek z głowy — wynik może być różny. Woodley miał taką nadzieję. A co to Vivienne i Nurmala mówiły o próbie? Zabrzmiało to niebezpiecznie.

Wyciągnął rękę. Nie drżała. Teraz gdy już się ubrał, poczuł się znacznie pewniej.

— Gdzie jest lustro? — zapytał. Koncentracja na takich zwykłych szczegółach wspomaga jego psychiczną kondycję.

— Nasza królowa nie lubi luster — mruknęła nimfa. — Nie ma żadnego pod jeziorem. Lecz prezentujesz się doskonale, panie.

— Jezioro? Królowa? Chodzi ci o Vivienne?

— O, nie — odrzekła Nurmala cokolwiek poruszona. — Naszą królową jest Morgan le Fay. — Przewroczyłym palcem dotknęła wyobrażenia węża, wyhaftowanego na piersi Woodleya. — Królowa Powietrza i Mroku. To ona oczywiście rządzi, a my wszyscy jej służymy — nawet Lady Vivienne, która cieszy się wyjątkowymi łaskami.

Morgan le Fay. Woodleyowi zaczęło się coś przypominać. Jak w kalejdoskopie przesuwały się przed oczyma obrazy rycerzy w zbrojach, dziewic zamkniętych w wieżach, Okrągły Stół, Lancelot i Artur — Vivienne! Czyż legenda nie mówi, że Vivienne to dziewczyna, w której zakochał się czarodziej Merlin?

A Morgan le Fay — była geniuszem zła epoki arturiańskiej, czarodziejką, która tak zawzięcie nienawidziła króla, swego przyrodniego brata.

— Słuchaj — rzekł Woodley. — Ale jak...

— Z w ę s i ę B o h a r t !

Słowa nie były w pełni zrozumiałe, ale dobiegły od kogoś, kto przynajmniej wyglądał jak człowiek, pomimo kostiumu, który był nieomalże repliką tego, jaki miał Woodley. Męż-czyzna stał przed kotarą, która zafalowała, gdy przechodził przez nią, a jego długie czerwone wasy jeżyły się wściekle. Na tunice miał połyskujący metalowy pancerz, w rękę zaś — nagi miecz.

Nurmala zabalgotała cichutko i cofnęła się z poświstem.

— Mój panie Boharcie...

— Milcz, nimfo! — zagrzmiał przybysz, wlepiając wzrok w Woodleya. — Zwę cię łotrem, sługusem, lizusem i zdrajcą! Tak, ciebie!

Woodley bezradnie spojrział na Nurmale.

— To jest sir Bohart — powiedziała płaczkliwie. — Lady Vivienne będzie wściekła.

Lecz to właśnie oczywista wściekłość sir Boharta niepokoiła Woodleya, ona i jego ostry miecz. Jeżeli...

— Stawaj! — ryknął rycerz.

Drżącym głosem Nurmala wtrąciła nieśmiało zastrzeżenie:

— On nie ma miecza. To nie przystoi...

Sir Bohart zamruczał w wasy i odłożył klingę. Wyjął zza pasa sztylet podobny do tego, który posiadał Woodley.

— Teraz mamy równe szanse — rzekł z przerażającym zadowoleniem. — No i co?

— Powiedz, że się poddajesz — wyszeptła Nurmala. — Szybko!

— Poddaję się — zawtórował posłusznie Woodley. Nie zadowolilo to rycerza.

— Łotr! Poddawać się bez walki... Ha! Czyś ty

rycerz?

— Nie — bezmyślnie odrzekł Woodley, a Nurmalı zabrakło tchu ze strachu.

— Mój panie! Tyś nie rycerz? Ależ sir Bohart może cię zabić teraz bez żadnej skazy na honorze!

Bohart posuwał się do przodu, jego sztylet błyszczał, a na jego pooranej bliznami twarzy pojawił się uśmiech zadowolenia.

— Ona mówi prawdę. Teraz poderżnę ci gardło.

Zabrzmiało to nieprzyjemnie. Woodley pośpiesznie odgrodził się łóżkiem od nacierającego rycerza.

— Chwileczkę — powiedział stanowczo. — Nawet nie wiem, kim jesteś. Czemu mieli-byśmy walczyć?

Sir Bohart nic przerwał natarcia.

— Tchórzliwy psie! Zabierasz mi Lady Vivienne, a teraz usiłujesz mnie ułagodzić. O, nie!

Podczas gdy okrążali łóżko, nimfa wybulgotała słaby okrzyk i uciekła. Ograbiony nawet z jej słabego moralnego wsparcia, Woodley poczuł słabość w kolanach.

— Nie zabrałem ci Vivienne — zaprotestował. — Spotkałem się tylko z nią.

— Od stuleci mieszkam tu pod jeziorem — wycodził sir Bohart — od chwili gdy Artur padł na Równinie Salisbury. Lady Vivienne kochała mnie wówczas, lecz po stu latach znudziłem się jej, więc zajęła się studiowaniem czarów. Lecz ja jestem jej wierny wiedząc, że kiedyś powróci do mnie. Nie mając rywala byłem tego pewien. A teraz ty przybyłeś, aby odciągnąć ją ode mnie — ty usłużny kundlu! Oho!

Cios sztyletu tylko rozerwał materiał rękawa, jako że Woodley zwinnie się uchylił i schwyciwszy metalową wazę z taboretu, cisnął nią w głowę Boharta. Waza

odskoczyła nie dotykając rycerza.

Oczywiście znowu czary.

— Może jednak mimo wszystko śnię — jęknął Woodley odskakując.

— Mnie też się tak kiedyś wydawało — powiedział Bohart w tonie swobodnej pogawędki, przechylając się w poprzek łóżka i siekąc na oślep sztyletem. — Później dowiedziałem się, że jednak nie śnię. Stajesz?

Woodley obnażył sztylet. Zanurkował pod ciosem Boharta i ciął rycerza w ramię. Doznał uczucia, jak gdyby uderzył w szkło. Ostrze sztyletu ześlizgnęło się i tylko dzięki szaleńczemu skrętowi udało mu się uniknąć przygwożdżenia.

Jak, u diabła, walczyć z takimi czarami?

— Słuchaj — powiedział. — Nie chcę Vivienne.

— Ważysz się obrażać moją panią! — ryknął rycerz; twarz mu spurpurowiała i skoczył naprzód. — Na spiczasty ogon szatana, ja...

— Sir Bohart! — to był głos Vivienne, o brzmieniu stali prześwitującej spod aksamitu. Stała przy kotarze, a Nurmala trzęsa się za nią. — Odstep!

— Nie, nie — wysapał Sir Bohart. — Ten łotr nie jest wart, aby go karaluchy zjadły. Nie ma się czego obawiać, zgładzę go z łatwością.

— A ja przyrzekam zgładzić ciebie, jeśli uczynisz mu najmniejszą krzywdę, i nie pomo-że ci twa cudowna zbroja odbijająca każdy cios! — oświadczyła Vivienne przenikliwym głosem. — Niech się stanie, jak powiedziałam. Niech tak będzie, bo inaczej...

Sir Bohart zawahał się przez chwilę, posyłając ukradkowe spojrzenia w kierunku dzie-wczyny. Spojrzał na skurczonego Woodleya i parsknął cicho.

— Czyżbym musiała wezwać Morgan? — spytała Vivienne.

Twarz rycerza zszarzała jak kamień. Obrócił się z przerażeniem w oczach.

— O pani... — wyjąkał.

— Ochraniałam cię aż do dzisiaj, a to ze względu na stare dzieje. Królowa często miała ochotę na partnera do gry w szachy — i często pytała mnie o ciebie. Tak naprawdę to pod jeziorem znajduje się bardzo mało prawdziwych ludzi, i byłoby mi przykro stracić twoje towarzystwo, Boharcie. Lecz Morgan nie grała w szachy od bardzo dawna.

Rycerz powoli schował sztylet. Oblizął wargi. Cicho zbliżył się do kotary, przeszedł przez nią i już go nie było.

— Może by tak Bleys puścił mu krew — odezwała się Nurmala. — Sir Bohart z każdym dniem staje się coraz większym cholerykiem.

Vivienne straciła surowy wygląd. Uśmiechnęła się kpiąco do zielonej dziewczyny.

— No a ty będziesz mogła dostać trochę krwi, prawda? Och, wy, nimfy. Rozebrałybyście się do naga za kroplę ludzkiej krwi, gdybyście nie były już rozebrane. — Głos jej się zmienił. — Ruszaj. Moja nowa suknia musi być gotowa na ucztę z Morgan le Fay dziś wieczorem po próbie.

Gdy Nurmala znikła, Vivienne podeszła bliżej i otoczyła ramionami szyję Woodleya.

— Przepraszam za to wszystko, mój panie. Bohart nie będzie cię więcej obrażał. Jest piekielnie zazdrosny o mnie, ale ja nigdy go nie kochałam. Przez pewien krótki czas, kilka stuleci temu, bawiłam się trochę — i to wszystko. Ty

jesteś tym, którego kocham, Arturze, ty i tylko ty.

— Słuchaj — powiedział Woodley — chciałbym uzyskać kilka informacji. Po pierwsze — gdzie jestem?

— Czyżbyś nie wiedział? — Vivienne wydawała się zakłopotana. — Kiedy mówiłeś, że potrafisz latać, miałam pewność, że jesteś przynajmniej czarodziejem. Jednak kiedy sprowadziłam cię tutaj, odkryłam, że nie możesz oddychać pod wodą i musiałam poprosić Morgan, aby cię zmieniła.

— Zmieniła mnie? — Woodley instynktownie dotknął palcami gardła.

Dziewczyna zaśmiała się miękko.

— Nie masz skrzeli. Czary Morgan działają bardzo subtelnie. Zostałeś zmieniony w taki sposób, że możesz żyć pod wodą. Ten żywioł stał się dla ciebie jak powietrze. Są to te same czary, jakim poddała Morgan ten zamek, topiąc go w jeziorze, po tym, gdy upadł Camelot i długa noc nastąpiła nad Brytanią. To stare czasy i ona już kiedyś poddała im Lyonesse i żyła tam przez jakiś czas.

— A ja myślałem, że wszystko to tylko legenda — wymamrotał Woodley.

— Jak mało, wy śmiertelnicy, wiecie! A jednak to prawda, w niewytłumaczalny, paradoksalny sposób. Morgan kiedyś mi to opowiadała, lecz nie zrozumiałam. Możesz spytać ją o to dziś wieczorem po próbie.

— Ach, próba. Nie jestem zbyt szczęśliwy z tego powodu. A nawiasem mówiąc, to o co tu chodzi?

Vivienne spojrzała ze zdziwieniem.

— To starodawny obyczaj rycerski. Zanim jakkolwiek mężczyzna zamieszka tu, musi udowodnić, że jest godny tego, dokonując jakiegoś dzielnego czynu. Sir Bohart musiał zabić Robaka — wiesz, tego smoka — lecz

pomogła mu w tym jego magiczna zbroja. Nie można go zranić, kiedy ma ją na sobie.

— Lecz o co chodzi w tej próbie?

— Jest ona różna dla każdego rycerza. Morgan wyczarowała jakieś stworzenie i umieściła je za Drżącą Skałą. Przed zachodem słońca musisz iść i zabić to stworzenie, czymkolwiek by ono było. Chciałabym wiedzieć, co tam jest, ale nie wiem, a Morgan nie pozwoliłaby mi powiedzieć ci, nawet gdybym wiedziała.

— No — a przypuścimy, że nie miałbym ochoty poddać się próbie? — wymamrotał Woodley.

— Ależ musisz, bo inaczej Morgan cię zabije. Lecz przecież mój pan nie tchórz!

— Oczywiście, że nie — odrzekł pośpiesznie. — Powiedz mi tylko coś więcej, dobrze? Czy my rzeczywiście mieszkamy pod wodą?

Vivienne westchnęła, posadziła Woodleya na łóżku i ulokowała się wygodnie u jego kolan. — Pocałuj mnie — powiedziała. — No właśnie. A więc po utracie Pucharu i rozwiązaniu Okrągłego Stołu, magia wyniosła się z Brytanii. Nie było już miejsca, dla baśniowego ludu. Część wymarła, niektórzy odeszli, a jeszcze inni pochowali się tu i tam. Są pod wzgórzami Walii sekrety, mój Arturze. Tak więc Morgan, za pomocą swej mocy czarodziejskiej, uczyniła się niewidzialną i niewyczuwalną oraz zatopiła swój zamek tu pod jeziorem w dzikich górach Walii. Jej słudzy to oczywiście nie ludzie. Kiedyś zrobiłam Morgan przysługę i była mi za nią wdzięczna. Tak więc gdy spostrzegłam, że kraj osuwa się w dzikość, poprosiłam, aby zabrała mnie z sobą w to bezpieczne miejsce. Wzięłam ze sobą Boharta, a Morgan zabrała starego mistrza Merlina - Druida Bleysa. No i od tego czasu nic się nie zmieniło.

Ludzie nie mogą nas ani dostrzec, ani wyczuć — a teraz ciebie też nie, jako że i ty zostałeś zaczarowany.

— Merlin? — Woodleyowi przypomniała się legenda. — Czyż nie zakłęśaś go w dębie... — Zatrzymał się, zdając sobie sprawę, że popełnił *faux pas*. Cholernie ciężko jest przyzwyczaić się do tego, że legenda stała się rzeczywistością.

Twarz Vivienne zmieniła się.

— Kochałam go — powiedziała i jej usta się zacisnęły. — Nie będziemy o tym mówić!

Woodley myślał intensywnie. Oczywiście oddychał wodą, aczkolwiek nie odczuwał żadnej różnicy w płucach. Niemniej istniała jakaś nadzwyczajność — g ę s t o ś ć — atmosfery oraz jej szklista przejrzystość. A ponadto kąty załamania światła były z lekka inne. A więc to prawda.

— W takim razie żyję w legendzie.

Uśmiechnęła się.

— Wszystko to w jakiś sposób było rzeczywistością. Pamiętam. A jakie skandale mie-waliśmy w Camelocie! Przypominam sobie, jak pewnego razu Lancelot wybawił dziewczynę imieniem Elaine, która latami — jak sama twierdziła — była zamknięta w wieży we wrzącej kąpieli. Dowiedziałam się prawdy o tym znacznie później. Głośno było o tym na całym dwo-rze. Elaine była żoną starego rycerza — bardzo starego rycerza — i kiedy dowiedziała się, że Lancelot jest w mieście, zdecydowała się go wykorzystać. Posłała więc doń posłańca z sensa-cyjną historią — twierdziła, że jej mąż wcale nie jest jej mężem, lecz przebiegłym czarno-księżnikiem — i przygotowała kąpiel w wieży, czekając na odpowiedni moment. Gdy Lance-lot rozwalił drzwi, wskoczyła do kąpieli całkowicie naga i wrzeszczała, jakby obdzierano ją ze skóry. Bolało ją

z pewnością, lecz nie zwracała na to uwagi. A kiedy jej mąż wbiegł, krzyknęła wskazując nań: — Czarownik! — Na to Lancelot wyciągnął miecz i uczynił z Elaine wdowę. Nie dało jej to nic, jako że Ginewra czekała w Camelocie na swego kochanka. Nawiasem mówiąc, wydaje mi się jednak, że Ginewra miała powód, aby zachować się tak, jak się zachowała. A sposób w jaki Artur zachował się w stosunku do Morgawse! Oczywiście działo się to przed jego ślubem, niemniej...

— Faktycznie legendy — kontynuowała Vivienne. — Znam je dobrze! Wydaje mi się, że przykryły obecnie prawdę. Mogłabym opowiedzieć niejedną rzecz. Idę o zakład, że zrobio-no teraz bohatera z tego notorycznego rozpustnika Lota. Dostał z pewnością to, na co sobie zasłużył. Na pewno tak! Lecz uważam, że chamstwo zawsze wyjdzie na wierzch. Był sobie król Anguish i jego myśliwski domek w puszczy, i jego polowania na jednoroźca. Tak, tak!

— Zaiste, polowania na jednoroźca — mówiła dalej. — Jest prawdą, że na przynętę dla jednoroźca konieczna jest dziewczica, ale mówię ci, że niewiele było rogów, które Anguish Irlandzki przywiózł jako trofea z polowań! A przyjrzyj się jego córce Izoldzie! Kropka w kropkę jak jej tatuś. Ona i Tristan — minstreł. Wszyscy wiedzą, kto to minstrele. Już to wystarczy, że mężem Izoldy nie był żaden Galahad. Ani Mark! Jeśli już mowa o Galahadzie, to posłuchaj. Nie chodzi tu tylko o to, że był bękartem. Mówi się, że pewnego gorącego lata w lasach Bredigraine...

Przerwał jej bulgocący głos Nurmali. Nimfa stała przy zasłonie maskującej drzwi.

— O pani, zrobiłam już wszystko, co mogłam bez

ciebie. Lecz teraz trzeba suknię dopasować.

— O nieszczęsny dniu! — westchnęła Vivienne, podnosząc się. — Opowiem ci o Uterze i pewnej wdowie innym razem. Dziesięcioro dzieci — wyobrażasz sobie! No dobrze, nie musisz iść do Drżącej Skały wcześniej niż po obiedzie, więc może byś miał ochotę na obejrzenie zamku?

— Zaczekaj chwileczkę! — Poczul zaniepokojenie. — Jeśli chodzi o tę próbę, Vivien-ne...

— To prosta sprawa. Przypaszesz miecz, pójdziesz do Drżącej Skały — ktoś zaprowa-dzi cię tam — i zabijesz stwora, którego Morgan tam umieściła. Następnie wrócisz na ucztę.

— Tak po prostu zabiję, co? — powiedział Woodley z lekką ironią. — Ale skąd mam mieć pewność, że miecz zabije to coś? Wyobraźmy sobie, że to smok?

Nurmała wydała z siebie krótki, zduszony chichot. Woodley spojrział na nimfę, przypo-minając sobie coś, co się wymknęło jej wcześniej. O co jej chodziło? Nurmała zaczęła mówić, że wypłynęła i widziała...

Stwora za Drżącą Skałą? Oczy Woodleya rozszerzyły się. Można by zrobić użytek z nimfy!

Oczywiście nie teraz. Jest jeszcze dużo czasu. Byłoby lepiej najpierw poznać wodne życie zamku.

— Czy mam przysłać ci Bleysa, aby cię oprowadził? - zapytała Vivienne.

— Bleys? Druid czarodziej — wcale niezła myśl. Może być cennym źródłem informa-cji, albo i czymś więcej. Gdyby tak dało się zastosować czary przeciwko czarom...

Przyszło mu to do głowy nie z tego względu, że miał nieprzewartą chęć odwiedzenia Drżącej Skały. Przy pierwszej lepszej okazji zwieje stąd. Przecież umie pływać.

Gdyby Bleys pokazał mu wyjście, on z kolei pokazałby mu pięty.

— Dobrze — powiedział. — Chodźmy.

Vivienne zbliżyła się do drzwi.

— Nurmala zaprowadzi cię do Bleysa. Nie ociągaj się, nimfo. Suknia musi być gotowa na czas.

Wyszła. Woodley odczekał, dopóki nie zamarł odgłos jej miękkich kroków. Nurmala przyglądała mu się z zaciekawieniem.

— Panie...

Przytrzymał ją wyciągniętym ramieniem, a drzwi zamknął drugą ręką.

— Chwileczkę. Chcę z tobą porozmawiać.

Zielona galaretowata twarz nimfy podbarwiła się z lekka na niebiesko. Rumieni się, domyślił się Woodley, przełknął ślinę i szybko kontynuował:

— Chcę, abyś powiedziała mi, co jest za Drżącą Skalą.

Nurmala rozejrzała się.

— Jak mogłabym to zrobić? Tylko Morgan wie.

— Pływałaś tam dziś rano, nieprawdaż? Tak też myślałem. Nie potępiam cię za cieka-wość, w szczególności dlatego, że potrzebuję informacji. No, powiedz. Co to jest? Smok? — zaryzykował.

Nimfa drżała na obrzeżach.

— O nie, panie, nie mam odwagi powiedzieć. Gdyby Morgan się dowiedziała...

— Ale się nie dowie.

— Nie mogę powiedzieć!

Woodley wyjął sztylet i przytknął ostrze do ramienia. Nurmala obserwowała go z nagłą chciwością w oczach.

— Vivienne mówiła, że nimfy mają bzika na punkcie

ludzkiej krwi. Tak jak wampiry, prawda? Nawet jeśli chodzi tylko o kroplę lub dwie...

— Nie! Nie! Nie odważę się!

Woodley nakłuł sobie palec.

— Więc — powiedziała Nurmala po jakimś czasie — to jest tak. Morgan le Fay wyczarowała wodnicę i umieściła ją za Drżącą Skałą.

— Co to jest wodnica?

— Ona ma około pięciu metrów długości i jest... jak z włosów — tłumaczyła nimfa, oblizując usta.

— Jak z włosów?

— Nie da się zobaczyć jej ciała, które jest bardzo małe. Pokrywają je długie włosopo-dobne wypustki, które silnie parzą przy dotknięciu.

— Rozumiem — potwierdził ponuro Woodley. — Super chelbia. Elektryczna meduza. Bardzo miło walczy się z tym za pomocą miecza!

— Owszem, to demon — zgodziła się Nurmala. — Ale zabijesz ją z łatwością.

— Oczywiście. A może wiesz jak?

— Niestety, nie. Ale mogę ci powiedzieć, jak ją przywabić. Trzeba wziąć korzeń mandragory i wycisnąć z niego sok. Spowoduje to, że wodnica pośpieszy w twoim kierunku, nawet gdyby starała się ukryć przed tobą.

— Kociomętka — mruknął tajemniczo Woodley: - No, ale przynajmniej wiem, co to takiego.

— Nie powiesz Morgan, że ci to zdradziłam? Przyrzekłeś!

— Nie powiem jej... Hm-m-m! Zastanawiam się, czy...

Nurmala podskoczyła.

— Lady Vivienne od dawna czeka na mnie. Chodźmy, panie. Pośpieszmy się!

Woodley w zamyśleniu szedł za nimfą, najpierw do zawieszonych kobiercami holu, następnie poprzez ten hol do rzeźbionych drzwi, które Nurmala otworzyła pchnięciem.

— Bleys! — zawołała.

— *Hep!*

— Pijany druidzki głupek — mruknęła nimfa z niecierpliwością. — Jest zadanie dla ciebie.

— Czy smokowi znowu skończył się ogień? — raczej żałośnie zapytał piskliwy głos. — Na Midera, na salamandrę można by bardziej polegać. Przypuszczam, że to woda ciągle gasi mu ogień. Mówiłem mu tyle razy, żeby nie robił takich głębokich wdechów. *Hep!*

— Oto pan Artur Woodley. Pokaż mu zamek. Jest on ukochanym Lady Vivienne — dodała Nurmala po namyśle, Woodley zaś zaczerwienił się mocno.

W komnacie było bardzo ciemno. Morskie pająki uprzedły dookoła swe sieci, a pomieszczenie wyglądało jak pracownia starodawnego alchemika i faktycznie było nią. Znajdowały się tu stosy ciężkich woluminów, jeden czy dwa tygle, kilka aparatów do destylacji, wypchany krokodyl i Bleys.

Bleys był cokolwiek podeschły karzełkiem, wystarczająco wątłym, aby mógł go zdmuchnąć najłżejszy powiew wiatru. Jego brudna biała broda zwieszała się w wodnej atmosferze jak welon przed jego pomarszczoną jak orzech, brązową twarzą. Ubrany był w długą togę koloru błota, ze spiczastym kapturem, i siedział ze skrzyżowanymi nogami, trzymając w wychudłych rękach gliniany dzban.

- Pan Artur Woodley — wyskrzeczwał Bleys. — Pozdrawiam. *Hep*. — Napił się z dzbana. — *Hep!*... raz jeszcze.

— Masz... hm... masz tu ładne pomieszczenie — spróbował rozmowy Woodley.

Wydawało mu się, że zaprzyjaźnienie się z druidem będzie dobrym początkiem w werbowaniu jego pomocy.

Bleys machnął od niechcienia ręką w kierunku destylatorów i retort.

— To wszystko było kiedyś do czarów. Kamień filozoficzny — pojmujesz. Ale teraz już nie. Robię tylko likwor. *Hep!*

— Likwor?

— Wszelkich rodzajów. Miody, wino — wszystko za pomocą czarów, oczywiście. Prawdziwy likwor nic przetrwałby długo pod wodą — sam rozumiesz. *Hep!* Nie byłem pijany od czasu, jak przybyłem tu wraz z Morgan. Wyczarowane piwo nie ma takiego kopa jak prawdziwe. *Huu!*

— Bleys — mruknęła Nurmala.

— O tak, tak, tak. — Czarownik usiłował dostrzec coś poprzez brodę. — Vivienne chce, abym cię oprowadził. Właściwie to nie ma po co. Ten zamek to nudne miejsce. Co byś powiedział na to, żeby zostać tutaj i napić się trochę?

W czasie gdy Woodley zastanawiał się, co odpowiedzieć, nimfa zagroziła:

— Powiem Lady Vivienne, Bleys.

— Dobrze, dobrze. — Druid podniósł się sztywno i ruszył niepewnie naprzód. — Chodźmy więc, Arturze. Artur... Artur? — Zmrużył oczy i uważnie przyjrzał się twarzy Woodleya. — Przez moment wydawało mi się... ale

ty nie jesteś Pendragonem. Istnieje takie proroctwo, że on wróci znowu. Nurmala, wynoś się, bo zamienię cię w żabę i rozdepczę.

— Oprorowadzisz teraz pana Artura po zamku?

— Tak, tak — odpowiedział zgryźliwie Bleys.

Gdy Nurmala odplynęła, zza brody doleciał gniewny głos:

— Wszyscy mną pomiatają. Nawet przeklęte nimfy. Lecz czemu miałyby być inaczej? — Napił się z dzbanu. - Jestem starym przeżytkiem. Ja, który nauczyłem Merlina wszystkie-go, co umiał. Nienawidzą mnie, bo nie chcę się im wysługiwać. A niby czemu miałbym? Zamiast służyć im magią, robię to. Napij się. Nie — dodał pośpiesznie i cofnął dzban. — Nic nie dostaniesz. Ja to zrobiłem i to jest moje. Nie o to chodzi, że jak wszystko wypiję, to się spiję! Zaiste — magiczne piwo! Czasami żałuję, że żyję. *Hep!*

Skierował się w kierunku drzwi, a Woodley za nim.

— Co chcesz zobaczyć najpierw?

— Nie wiem. Będzie jeszcze dużo czasu na zwiedzanie po próbie. Słyszałeś o tym — prawda?

Bleys przytaknął.

— O, tak. Ale nie wiem jakie stworzenie umieściła Morgan za Drżącą Skalą. — Spojrzał przenikliwie. — Zanim coś jeszcze powiesz, uprzedzam, że nie mogę ci pomóc. Nie mogę dać ci żadnych zaklęć, ponieważ królowa nie pozwoli mi na to, a nie posiadam żadnej wartościowej informacji, której posłuchałbyś z chęcią. Jedyłą rzeczą, którą mogę dać, jest miecz, a przechowuję go dla — dla kogoś, kto przyjdzie później. — Głos zmienił mu się dziwnie. — Musisz wyjść na spotkanie tego, co cię czeka, uzbrojony w prawdziwą odwagę i ona będzie twą tarczą.

— Dzięki — powiedział Woodley, a jego usta

zacisnęły się w gorzki grymas. Żadnej informacji? No tak, Bleys musi wiedzieć, jak wydostać się z zamku. Ale ten sekret trzeba wyciągnąć z niego subtelnie. Nie można pytać bezpośrednio.

— Tak więc — mówił druid, prowadząc Woodleya przez hol — zamek zbudowano w kształcie kwadratu z dziedzińcem pośrodku. Bez okien. Ryby są gorsze od komarów. Wyry-wają pożywienie z rąk. Trzymamy smoka na dziedzińcu — w charakterze śmieciarza. Zała-twia problem nieczystości. *Hep!*

Niewyraźne wspomnienia z muzeów mieszały się w pamięci Woodleya.

— Nie dostrzegam żadnej zbroi.

— Uważasz, że ci się jakaś przyda? — Bleys zachichotał nieprzyjemnie. — Są w zbro-jowni. — Przebierał niepewnie nogami z jakimś ponurym zacięciem. — Tu nie jest Czarowny Ogród ani Zamek Płonącego Ogniska. Zupełnie inne środowisko. Nie ma naczyń do topienia ołowiu na wieżach. Niemożliwe, by nas oblegano. Z tego właśnie powodu cała konstrukcja zamku jest zaprojektowana funkcjonalnie, zupełnie bezpieczna pod jeziorem.

— Z jakiego powodu nic nie zamaka?

— Z tego samego powodu, z którego woda wydaje się powietrzem. Wodna magia. Ten rodzaj czarów doprowadzono do perfekcji w Atlantydzie — nie moja dziedzina, ja jestem druidem. Zajmujemy się głównie ogniem. Dąb, jesion i cierń — Bleysa ogarnęły wspomnienia... — Kiedy byłem chłopcem w Stonehenge... o-ho. Tak przemija — pojmujesz. *Hep!* A niech przekleństwo spadnie na to piwo — jak pomyje. Jak ja tęsknię za łykiem czegoś z

suchego ładu! Niestety, nie potrafię teraz żyć poza wodą. Na co patrzysz? A, to. Poznajesz tę scenę? — Druid zachichotał nieprzyjemnie.

Woodley uważnie przyglądał się kobiercowi pokrywającemu jedną ze ścian pokoju, do którego właśnie weszli. Spłowiały i wiekowy, ale o wciąż doskonałych kolorach, przedstawiał sceny, które wydobywały bliskie mu wspomnienia. Mężczyzna i kobieta — drzewo — wąż — i w tle inna kobieta uderzającą piękną nawet w tym żywiole.

— Lilith — powiedział Bleys. — Zamek jest pełen kobierców. Przedstawiają legendy, bitwy, oblężenia — no wiesz. — Spojrzał poprzez welon swej pływającej brody. — *Ars longa* — lecz reszta tego powiedzenia niezupełnie odpowiednia, prawda? *Bip!*

— Chodźmy — dodał i silnie pociągnął gościa za ramię.

Nie było to turystyczne zwiedzanie zamku. Bleys był niecierpliwy i gotów na postoje, jedynie gdy miał ochotę się napić. Woodley był chcąc nie chcąc holowany, z rzadka widząc cośkolwiek. Mimo tego udało mu się stworzyć jakiś obraz całości.

Zamek miał trzy kondygnacje i został wybudowany wokół centralnie położonego dzie-dzińca. Najwyższym punktem była olbrzymia baszta, której wielki prostopadłościan domino-wał nad jednym z narożników budowli. Po przeciwnej stronie dziedzińca znajdował się barba-kan — dwie potężne wieże z umieszczoną pomiędzy nimi bramą zamkniętą żelazną kratą, przez którą od czasu do czasu leniwie przepływała ryba, oraz na próżno podnoszony most zwodzony, który kiedyś rozciągał się ponad już nie istniejącą fosą. Woodley zobaczył to wszystko z wieży strażniczej, z której po raz pierwszy

wyszli na zewnątrz zamku. Ziemia była nieprzyjemnie daleko.

Może raczej dno jeziora. Chciał natomiast znaleźć drzwi jakiegokolwiek wyjście!

Woda była dlań obecnie tym, czym przedtem powietrze, przypomniał sobie. Tak więc skok ze szczytu wieży oznaczałby najprawdopodobniej złamanie karku.

— Chodź — ponaglał niecierpliwie Bleys. —
Idziemy na dół.

Na dole znajdowały się puste sale z galeriami, magazyny i kuchnie, koszary i sypialnie. Mniejszych pomieszczeń było niewiele. Minęli zapajęczoną destylarnię, w której morskie pająki skryły pełne półki za welonami z pajęczyn. Bleys nadmienił, że Morgan le Fay kiedyś, dawno temu, zabawiała się destylowaniem lekarstw i trucizn, lecz obecnie już nie stosuje takich prymitywnych urządzeń.

Pewien pomysł zaczął krystalizować się w umyśle Woodleya. Zaczął pytać.

— Co to? Destylator. A to? Róg z gumą arabską. Głównie przy narodzinach dziecka. W tamtym dzbanie są suszone pluskwy. Mastyka, korzeń wężowy, koper, mandragora, piżmo, kora drzewa niesplik.

Mandragora. Pamiętając, co powiedziała mu Nurmala, Woodley przysunął się bliżej.

— A co to tam?

— To Wiedźmia Kołyska. Jest używana do...

Woodley zgrabnie podwędził mandragorę, wsuwając ją pod tunikę. Na razie nie najgo-rzej. Pozostało wymyślić, jak efektywnie zastosować korzeń. Gdyby tak mandragora zamiast przyciągnąć wodnicę, odstraszała ją! Gdyby miało

dojść do najgorszego, można by odciągnąć jej uwagę za pomocą zainteresowania korzeniem, samemu zaś zwiać.

— Chodźmy. *Hep!*

Obecnie znajdowali się na małym balkonie, wychodzącym na dziedziniec.

— Oto smok — rzekł Bleys. — Draedan. To anglosaskie imię, a Anglosasi nie byli lubiani w naszych czasach — smoki zresztą również. Widzisz te śmieci?

Bezkształtne zwaliska wznosiły się z mułu na brzegu dziedzińca, większy kopiec pośrodku.

— Stajnie, klatki na sokoły, zagrody dla bydła, kaplica — kiedyś dawno. Nie żeby ktokolwiek modlił się w tej kaplicy. Pojmujesz — Morgan. Powietrze i Mrok. *Hep!* — Bleys zamyślony zajrzał do dzbana. — Chodźmy.

— Czekaj — zbuntował się Woodley. — Chcę przyjrzeć się smokowi. — Faktycznie to miał ochotę wypatrzeć wyjście z tego korzystnego dla obserwacji punktu.

— A, Dreadanowi. Temu robakowi. Niech będzie. — Druid opuścił się do pozycji siedzącej i zamknął oczy. — *Hep!*

Smok nieodparcie przyciągał wzrok Woodleya — faktycznie zdumiewające widowisko. Wyglądał jak stegozaur, z falującym kołnierzem na łukowato wygiętym grzbiecie i długim spiczastym ogonem z galką na końcu. Głowa jednak nie była malutka jak u roślinożernego dinozaura, lecz raczej jak skrzyżowanie krokodyla z tyranozaurom — trzy rogi na czubku nosa, przepastny pysk, wielki jak wrota. Miał długość dwu tramwajów i był dwa razy od nich wyższy. Płonące żółte ślepia błyszcząły nienawistnie. Gdy oddychał, z jego przerażającej gardzieli tryskał strumień ognia.

Ponure monstrum żarło właśnie śmieci, cokolwiek wybredzając.

Woodley zastanawiał się, w jaki sposób jego ognisty oddech może płonąć pod wodą, i wówczas przypomniały mu się czary Morgan.

— Gdyby tak udało się zaimprovizować miotacz płomieni i wziąć go przeciwko wo-dnicy — ale jak? Obserwował strumień baniek dryfujących do góry przy każdym wydobyciu się płomienia. Hordy małych rybek usiłowały zwędzić Dreadanowi obiad.

Niezgrabny na swych kolumniastych nogach smok brał odwet na swych dręczycielach, zionąc obficie ogniem, od którego uciekały. Bleys zbudził się i poinformował:

— To stworzenie ma pewne kłopoty. Nie znosi gotowanego jedzenia, ale w czasie gdy odgania te ryby, wszystkie śmieci zdążą się upiec. Zgasiłbym te płomienie zupełnie, lecz smok potrzebuje ognia w brzuchu do trawienia pożywienia. Ma to coś wspólnego z jego metabolizmem. Szkoda, że nie mogę zgasić ognia w moim brzuchu — dodał i po napiciu się z dzbana i refleksyjnym czknięciu zasnął znowu.

Woodley wychylił się z balkonu i badał wzrokiem smoka z ciekawością i zgrozą. Powolne ruchy jaszczura — wszystkie smoki są jaszczurami — nadawały mu wygląd zmory ze straszego snu. Wyglądał jak poczwara produkcji techników z Hollywoodu, kiepsko wyko-nana i o wielce nieprzekonywającym wyglądzie.

W tym momencie ktoś chwycił Woodleya za kolana, podniósł i cisnął w dół z balkonu.

Spadł z łoskotem na amortyzujące, miękkie bagno. Gdy podniósł się na nogi z dna po-wstała chmura osadu

dennego. Niecały metr od jego nosa jeziorowy pstrąg wisiał nieruchomo w wodzie, zawieszony falującym ruchem płetw, i przyglądał mu się uważnie. Inne ryby, zwabione zamieszaniem, napływały w kierunku Woodleya, któremu serce podeszło do gardła.

Gdy chmura osadów osiadła, oczom Woodleya ukazał się Draedan. Smok odwrócił łeb i spoglądał wprost na Woodleya. Ziewnął ogniście, podniósł jedną z kłocowatych nóg i zaczął posuwać się niezgrabnie do przodu.

— Bleys! — ryknął Woodley.— B l e y s! R a t u n k u!

Nie było odpowiedzi — nawet czknięcia.

— Bleys! W s t a w a j!

Zaczął biec. Blisko w murze znajdowały się drzwi i Woodley zaczął uciekać w ich kierunku. Draedan nie był daleko, ale jaszczur poruszał się powoli i niezgrabnie.

— B l e y s!

Drzwi były zamknięte na głucho od wewnątrz. Woodley jęknął i odskoczył, a Draedan toczył się ciężko za nim, niepowstrzymany — jak czołg.

— Bleys!

Po drugiej stronie dziedzińca były jeszcze jedne drzwi. Woodley sprintem pomknął w ich kierunku. Kłocowate kroki słyhać było tuż za nim.

Lecz te drzwi również były zamknięte.

Przylgnąwszy do nich Woodley uważnym spojrzeniem ogarnął, co się dzieje z tyłu. Ścieżka z mułu falującego w wodzie wyznaczała jego trop. Draedan szedł tym tropem, jego oczy świeciły żółto jak przeciwmgielne światła, z pyska zaś buchał mu ogień.

— Bleys! Obudź się!

Wciąż żadnej odpowiedzi. Odskoczył, potknął się o

kamień, upadł w muł i chmura osa-dów podniosła się wokół. Kiedy podnosił się, przyszedł mu do głowy pomysł.

Zasłona dymna...

Zaczął biec, pocierając stopami o dno. Osady podnosiły się do góry. Potężne ruchy Draedana również wspomagały ten proces. Wołając od czasu do czasu Bleysa, Woodley okrążył dziedziniec i przeciął własny trop, stawiając mroczną zaporę. W kilka minut woda zmętniała jak grochówka.

Lecz Draedan nie poddawał się łatwo. Tupot jego nóg nie ustawał, błyszczące dyski jego oczu wyłaniały się z otaczających ciemności z zatrważającą częstotliwością. Woodley był już zbyt zmęczony, aby krzyczeć. Lecz jeśli uda mu się kluczyć dostatecznie długo, Draedan w żaden sposób nie zobaczy go teraz.

Smok miał inny pogląd na tę sprawę. Niespodziewanie z mroku wytrysnął długi jezor ognia. Nieomalże natychmiast pojawił się powtórnie. Woodley zaczął biec.

Draedan dyszał ciężko. Ogniste strugi siekły bagnistą mgłę. Najpewniej smok zdał sobie sprawę, że istnieje więcej niż jeden sposób obdarcia kota ze skóry — albo zdobycia sobie obiadu. Woodley pojmował, iż gdyby dosięgnął go jeden z tych ognistych powiewów, zmieniły go na węgielek. Głupio byłoby spalić się pod wodą, rozmyślał ponuro, pędząc zapamiętałe.

Cząsteczki mułu zmuszały go do kaszlu. Zderzył się z metalową kratą barbakanu i zatrzymał się, dysząc ciężko. Żelazo, zardzewiałe i słabe, zgięło się pod jego ciężarem, czy-niac dziurę w ogrodzeniu.

Z mroku wyłoniły się ślepie Draedana. Z rozpaczliwą desperacją Woodley zaczął szarpać inne prety. One

również były skorodowane i słabe, i łatwo dały się wyłamywać. Gdy smok zaatakował, Woodley zanurkował głową do przodu w dziurę, którą zrobił w kracie barbakanu. Płomienie opaliły mu spodnie.

Niemniej w dalszym ciągu znajdował się w tarapatach. Most zwodzony był podniesiony i zwieszał się nad nim jak pochylona ściana. Lecz trudność była pozorna, jak okazało się po ześlizgnięciu się z bocznej krawędzi mostu. Znalazł się na otwartej przestrzeni, poza murami — nie było fosy, która wstrzymywałaby ucieczkę.

Był na dnie jeziora. Zamczysko Morgan le Fay wznosiło się za nim i ponad nim jak turnia i nie było już więzieniem...

Woodley stał i słuchał. Draedan najwyraźniej zaprzestał pościgu. A Bleys na pewno wciąż spał. W tym wszystkim najlepsze było to, że droga do wolności stała otworem. Upadek na dziedziniec okazał się szczęściem w nieszczęściu. No i dobrze. Woodley odetchnął z ulgą. Nie będziesz musiał poddawać się tej nieprzyjemnej próbie z wodnicą. Zaczął pospiesznie oddalać się od zamku.

Okrągłe kamienie raziły go poprzez skórzane podeszwy. Grunt ostro się podnosił. Posuwając się do przodu, zdał sobie sprawę, że jezioro miało kształt bardzo głębokiego naczynia. Zamek znajdował się w jego najgłębszym miejscu.

Zastanawiał się, gdzie może leżeć Drżąca Skala. Nie to, żeby miał ochotę pójść tam teraz!

Przez chwilę poczuł, że żal mu Vivienne, która była bardzo ładna. Jej buzia tkwiła mu w pamięci jak żywa, lecz nie była aż tak nęcąca, by zwolnić tempo wspinaczki. Szedł przez las wodnego zielska, nie będącego w marszu zbyt

dużą przeszkodą, odprowadzany przez ławicę ciekawych płotek. Z góry przebijało się chłodne, niebieskie światło.

Szedł wyżej i wyżej. Daleko w górze ujrzał błyszczącą płaszczyznę — jasne niebo ograniczone okrągłą linią horyzontu. To była powierzchnia.

Głowa prawie wystawała mu ponad wodę. Zobaczył skaliste wybrzeże i drzewa dziwa-cznie zniekształcone w fantastycznej perspektywie. Pływak żółto-brzeżek zanurkował, aby mu się przyjrzeć, i uciekł pośpiesznie.

Głowa Woodleya wynurzyła się z wody i w tym momencie zaczęło się.

Powietrze wlało mu się do nozdrzy, ust, płuc, niosąc z sobą bolesne ukłucia jakby małych ostrzy. Kaszłał i dusił się, stracił równowagę i upadł, woda zaś zamknęła się mu nad głową. Co za ulga! Woodley usiadł i oddychając obserwował kaskady bąbelków powietrza unoszących się z jego ust i nosa. Po chwili bąbelki skończyły się i poczuł się lepiej.

Ależ oczywiście. Powinien był spodziewać się tego. Lecz...

Mój Boże!

Morgan zmieniła go tak, że woda była obecnie jego naturalnym żywiołem. Powietrze było dlań równie niebezpieczne jak dla ryb.

Sprawa była tyle śmieszna co logicznie uzasadniona. Zamknął oczy i zebrał myśli. Ostatecznie przypomniał sobie, że w normalnych warunkach mógł brać wdech ponad wodą, a wydech pod wodą. Odwrócił procedurę, biorąc głęboki wdech wody i wstał powoli wypu-szczając ją z płuc.

Znajdował się blisko stromego, skalistego brzegu jeziora, otoczonego wysokimi górami. Niedaleko strumyk

wił się przełomem i wpadał do jeziora. Zachowane w tym kanionie urwi-ste ściany nie były spękane i wydawały się niedostępne dla wspinaczki. Woodley przez nieu-wagę wciągnął do płuc haust powietrza i aby sobie ulżyć, musiał zanurkować. Znajomy głos doszedł go poprzez kaszel.

— No, nareszcie cię znalazłem — rzekł Bleys. — Czego ja nie przeżyłem, szukając ciebie. Czemu nie zbudziłeś mnie, gdy spadłeś na dziedziniec?

Woodley spojrział na druida z goryczą, ale nic nie powiedział. Było oczywiste, że plan jego ucieczki spalił na panewce. Nie mógł opuścić jeziora. Nie mógł dopóty, dopóki zaklęcie wodnej magii nie zostanie zeń zdjęte.

Morgan mogłaby to zrobić, lecz najprawdopodobniej nie zrobi. Vivienne na pewno nie zrobiłaby, nawet gdyby mogła. Ale Bleys jest magiem. Gdyby tak udało się namówić go do zdjęcia zaklęcia...

— Dobrze, chodźmy — powiedział Druid. — Zostawiłem dzbanek w zamku, a pić mi się chce setnie. *Hep!*

Woodley idąc za Bleysem myślał intensywnie. Powrót do warowni Morgan był konie-cznością — ale co potem? Próba przy Drżącej Skale? Woodley pomyślał o wodnicy i zagryzł wargę. Nic przyjemnego — o nie.

— Wiesz, że Draedan nie może wyjść poza dziedziniec — nadmienił Bleys. — Co cię opętało, aby spadać z balkonu na dziedziniec? Nic głupszego zrobić się już nie da.

— Ja nie spadłem — warknął Woodley. — Zostałem zepchnięty. Najprawdopodobniej przez sir Boharta.

— Ach tak — rzekł Bleys i dmuchnął w swą pływającą białą brodę. — W każdym razie — dodał w

końcu — ty nie możesz oddychać poza wodą. Niebezpiecznie jest nawet próbo-wać.

Woodley powoli odpowiedział:

— Gdy pierwszy raz spotkałem Vivienne, ona była na suchym lądzie.

— Morgan nauczyła ją tej sztuczki — mruknął Druid.
— To za trudne dla mnie — nigdy się nie nauczyłem. Jeśli jeszcze kiedyś zechcesz pospacerować po suchym lądzie, zgłoś się do Vivienne. — Zaśmiał się nieprzyjemnie. - Albo do Morgan. Według mnie, Vivienne jest córką Morgan. To tłumaczyłoby wiele rzeczy. No, ale wróciliśmy i wejdziemy tędy.

Zatrzymał się przy furcie w zewnętrznym murze, pomajstrował coś przy zasuwie i przekroczył próg.

— Chodź — ponaglił. — Ryby wpływają.

Ruszył korytarzem, a Woodley za nim. Wkrótce byli znowu w komnacie Bleysa i druid zaczął wybierać nowy dzban ze swojej kolekcji.

— Gatunek „Camelot Potrójne X” — mamrotał pod nosem. — Czterdzieści procent. To oczywiście nieprawda, ale etykietuję butelki ze względu na stare tradycje.

Napił się i wypluł z siebie całą serię archaicznych przekleństw.

— Przeklęte samooszukiwanie się, ot co. Czterdzieści procent, akurat! Nie ma żadnych wątpliwości co do tego, że magia nigdy nie wyprodukuje dobrego alkoholu. *Hep!* — Wręcz tryskał niezyczliwością.

Woodley rozmyślał ponuro. A więc Bleys nie znał zaklęcia wodnej magii. Tak więc pozostawały Vivienne i Morgan. Nie miał pojęcia, jak wyciągnąć sekret od którejkolwiek z nich. Lecz będzie musiał coś zrobić, i to szybko. A kiedyż odbędzie się ta próba? Zapytał o to

Bleysa.

— Teraz — odpowiedział druid, podnosząc się sztywno. — Słońce prawie zachodzi. Idziemy!

Zamglonymi oczyma uważnie przyglądał się Woodleyowi.

— Vivienne będzie miała miecz dla ciebie. Wprawdzie to nie Excalibur, ale spełni swe zadanie.

Zeszli do holu, gdzie czekała Vivienne i sir Bohart. Na widok Woodleya mina rycerza zrzędła, lecz zebrał się dzielnie w sobie.

— Spóźniłeś się, panie — powiedział z trudem.

— Lepiej późno niż wcale — odparował Woodley, widząc z satysfakcją zmruczenie oczu Boharta. Vivienne wysunęła się do przodu, w rękę miała wielki miecz.

— Panie mój! Broń otrzymujesz z mych rąk. A gdy powrócisz z Drżącej Skały, będę czekała na ciebie.

Oczy jej wiele przyrzekały, a sir Bohart zagryzł rude wąsy.

Woodley dotknął tuniki, w miejscu, gdzie schował korzeń mandragory. Usta skrzywiły się w surowym uśmiechu. Wpadł na pomysł...

— W porządku — powiedział — jestem gotów.

Vivienne zaklaskała w ręce.

— Przebóg, co za dzielny rycerz! Wezwę Nurmale, aby cię odprowadziła.

— Daj sobie z tym spokój. Wolałbym, aby sir Bohart pokazał mi drogę.

Rycerz wydał bulgocący dźwięk.

— Nie jestem fagasem!

— A fe — zareplikowała Vivienne. — To przecież bardzo niewinna próba.

— W porządku — Woodley wzruszył ramionami. —

Jeśli sir Bohart się boi, to nie ma o czym mówić. Potrafię zrozumieć, jak się czuje. Wypadek może przydarzyć się nawet posiada-czowi magicznej zbroi. Nie, zostań tu przy kominku, Boharcie. Tak będzie znacznie bezpie-czniej.

Bohart spurpurowiał. Pozostała mu oczywiście tylko jedna możliwość odpowiedzi.

Tak więc dziesięć minut później Woodley, u boku rudowąsego rycerza, maszerował poprzez bagniste dno jeziora w kierunku kamiennego wzniesienia mającego zielono w oddali.

Sir Bohart zachowywał wściekle milczenie. Raz zadzwonił jego miecz w pochwie, lecz Woodley rozmyślnie udał, że nie usłyszał. Zapytał natomiast:

— Zastanawiam się, co może być za Drżącą Skałą. Masz jakieś pojęcie?

— Morgan nie powierza mi swych sekretów.

— Mhm. Jednak musi to być coś mocno niebezpiecznego. Nie?

Na to Bohart uśmiechnął się przez zęby.

— Mam nadzieję, że tak.

Woodley wzruszył ramionami.

— Może lepiej zastosować trochę magii. Miecz może okazać się zawodny.

Rycerz obrócił głowę i spojrział.

— Czary?

— Oczywiście. Jestem magiem. Nie wiedziałeś?

— Vivienne mówiła... ale nie uwierzyłem.

W oczach Boharta pojawił się respekt i pewna doza strachu. Woodley zachichotał z niefrasobliwością, której wcale nie odczuwał.

— Znam parę sztuczek. Wiem, na przykład, jak uczynić się niewidzialnym.

— Za pomocą nasion paproci. Słyszałem o tym.

— Ja stosuję sok mandragory — wyjaśnił Woodley. - Szczerze mówiąc, ta sztuczka mogłaby okazać się teraz użyteczna. Biorąc pod uwagę to coś, co kryje się za Drżącą Skalą — ha.

Czynił rękoma zawile ruchy.

— Saskatchewan, Winnipeg, Mauch Chunk, Filadelfia, Kalamazoo — dodał i zrećcznie wyciągnął mandragorę z tuniki. Przyglądającemu się Bohartowi wydawało się, że mały ko-rzeń został wyczarowany z wody.

— Na Atysa! — zawołał rycerz wielce poruszony. — Fantastyczne!

Woodley podniósł mandragorę w kierunku głowy i zawahał się.

— Czekaj no. A może by tak ciebie...

— Uczynić mnie niewidzialnym również? — Bohart z lękiem rzucił okiem do przodu na Drżącą Skalę i złapał przynętę. — Tak — to mogłoby być rozsądne.

— Dobra. Daj mi swój hełm. Hm... może mógłbyś pomóc mi w walce przeciwko temu... potworowi... gdybym potrzebował pomocy. Aczkolwiek nie wydaje mi się, abym jej potrzebował.

Czerwone wąsy Boharta niezupełnie skryły jego ironiczny uśmiech.

— Zobaczymy. Mój miecz jest zawsze w pogotowiu.

Pozorne usiłowania ułagodzenia Boharta rozwiały podejrzenia rycerza. Podał swój hełm i obserwował Woodleya, który odwróciwszy go do góry nogami zastosował rękonożę swego sztyletu w celu rozbicia korzenia mandragory na pulpę metodą młotowca i tłuczka.

— No, gotowe. Włóż hełm na głowę — uważaj, aby mandragora nie wypadła — a będziesz niewidzialny.

Sir Bohart usłuchał i obejrzał siebie od góry do dołu.

— To nie działa.

Woodley rozglądał się bezradnie wokół siebie.

— Gdzie jesteś? Ja... Sir Boharcie!

To zaskoczyło rycerza.

— Ja... Ja jestem tu. Ale widzę siebie równie dobrze jak zawsze.

— Ależ oczywiście — tłumaczył Woodley, nie patrząc na Boharta — ty widzisz siebie, ale nikt inny nie widzi. Właśnie w ten sposób działa mandragorowe zaklęcie.

— No dobrze. To zrób teraz siebie niewidocznym.

— Za dużo zachodu — rzekł Woodley lekceważąco. - Nie chciałbym, aby wszystkie szanse były po mojej stronie. Uczyniłoby to walkę nieciekawą. Jeżeli będę miał kłopoty, zastosuję magię, lecz wydaje mi się, że sam miecz wystarczy zupełnie. No i doszliśmy do Drżącej Skąły.

Wysoko ponad nimi głąz, umieszczony na szczycie kamiennego pagórka, powoli koły-sał się w prądach wody. Woodley zauważył małą jaskinię oddaloną o kilka metrów. Zatrzy-mał się.

Sir Bohart, który wyraźnie się denerwował, zatrzymał się również.

— Dalej nie idę.

— Dobra — przytaknął Woodley, któremu zaschło w gardle. — Poczekaj więc tutaj. Wracam za minutę. O... nie pożyczylbyś mi tej swojej zbroi, nieprawdaż?

— Nie.

— Tak też myślałem. No to... *adios*. — Woodley ociągał się jeszcze przez chwilę, obserwując wejście do

pieczary, lecz nie było już sposobu odwrócenia biegu zdarzeń. W każdym razie sztuczka powinna się udać. Nurmała powiedziała, że wodnice bardzo silnie przy-ciąga sok mandragory...

Zostawił sir Boharta wspierającego się na mieczu i zanurzył się w cień znajdujący się za Drżącą Skałą. Poczul, że dno zaczyna się nachylać, i poruszał się ostrożniej. I tak prawie nic nie widział. Było zbyt ciemno.

Coś poruszyło się w zielonym mroku. Olbrzymia kula włosów przepłynęła obok, zatrzymała się, a następnie z nieomylną dokładnością zawróciła w kierunku Woodleya. Była to wodnica.

Liczyła sobie pięć metrów długości, była kształtu grubej łodzi podwodnej i otaczało ją przymglenie w miejscu zanikania jej włókien. Nie miała ostro zarysowanego konturu. Po prostu stapiała się z zieloną pomroką otoczenia.

Płynęła poruszając włóknami, podobnie jak pierwotniaki. Woodley źle obliczył jej prędkość i zanim zdążył się odwrócić, była już tuż, tuż. Włókno smagnęło go po twarzy, paląc jak drut pod napięciem elektrycznym.

Podświadomie obnażył miecz, lecz rozsądek powstrzymał go od zrobienia zeń użytku. Przeciw temu stworowi stal nic nie pomoże. Poza tym miał plan znacznie bezpieczniejszy. Jeśli nic było już za późno...

Obrócił się i zaczął biec, najszybciej jak potrafił, wokół podstawy Drżącej Skały. Sir Bohart wciąż stał w tym samym miejscu, lecz na widok Woodleya również zaczął uciekać, zapominając zupełnie o swej „niewidzialności”. Nie ma się jednak co dziwić, ponieważ wo-dnica wyglądała dostatecznie strasznie, aby zmusić każdego człowieka do ucieczki.

Wlot małej jaskini rozwierał się jak przyjazne usta. Woodley skoczył głową do przodu, gubiąc miecz i koziółkując kilka razy, zanim się zatrzymał. Obrócił się pośpiesznie i wyrżał, aby sprawdzić, co się dzieje. Czy wodnica wciąż go ściga, czy też zwęszyła zapach soku mandragory, którego wyziewy były zawieszane w wodzie, w miejscu gdzie stał sir Bohart?

Chmura wijących się włókien szła za tropem. Wodnica, jak torpeda, pędziła za ryce-rzem...

Woodley odetchnął głęboko. Znalazł miecz, ostrożnie podszedł do otworu jaskini i obserwował, co się dzieje. Wodnica dopędziła Boharta. Niebezpieczne włókna nie mogły mu nic zrobić, skoro był ubrany w magiczną zbroję, lecz na pewno nie było przyjemnie być otoczonym i głaskanym przez wodnicę.

Błysnął miecz. Sir Bohart zaczął w końcu walkę. Woodley wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Miał nadzieję, że wodnica nie wytrzyma długo. Odczuwał już głód. No, ale oczywiście musiał czekać, dopóki... hm... dopóki nie zda egzaminu, który przygotowała mu Morgan le Fay.

Krzyki Boharta wyrwały go z marzeń.

— Oszukałeś mnie! Ty lizusie i łotrze! Rozpłatom ci cały tułów! Posłużyłeś się mną.

— Stój! — odkrzyknął Woodley, zwinnie uskakując. Nagi miecz miał jeszcze w rękę i machinalnie sparował cios Boharta. Wodnica, jak zauważył, leżała martwa w odległości około pięciu metrów. Małe rybki już zbliżały się do niej.

— Ty tchórzliwy kundlu!

— Zaczekaj! Co powie Vivienne, jeśli zostaną

znaleziony martwy z głową odciętą mieczem? A co na to Morgan powie?

To otrzeźwiło sir Boharta. Staął, wstrzymał miecz w połowie cięcia, a jego czerwone wąsy wiły się z furią. Twarz poczerwieniała mu jak burak.

Jednak nie ponowił ataku. Woodley opuścił miecz i zaczął szybko mówić.

— Nie zapominaj, że byłem przy tym, gdy Vivienne powiedziała, iż nastawi Morgan przeciwko tobie. Jeszcze teraz pamiętam, jakiego miałeś stracha. Vivienne chce mieć mnie żywego i gdyby odkryła, że mnie zabiłeś — a na pewno tak by się stało...

— Ty czarowniku! — warknął sir Bohart. — Ty diabelski czarowniku! — Ale plamy bladości na jego już nie purpurowych policzkach zdradziły go.

Woodley odłożył miecz.

— No i czego się żołądkujesz? Nic ci się nie stało, prawda? Masz swoją magiczną zbroję. A popatrz na mnie! - Przesunął wskazującym palcem wzdłuż sonej przęgi biegnącej od skroni do szczęki. — Wodnica obdarzyła mnie tym znamieniem. Ty nie doznałeś nawet draśnięcia.

— Posłużyłeś się mną — mruknął ponuro Bohart.

Woodley sugestywnie przesunął ręką po zgiętym ramieniu sir Boharta.

— Zapomnijmy o tym. Możemy się przydać sobie nawzajem, jeśli pójdziesz na współ-pracę, a jeżeli nie — to jak wiesz, mam duży wpływ na Vivienne. Chcesz, abym go użył?

— Ty diable! — warknął rycerz, ale przegrał i wiedział o tym. — Pozwalam ci żyć. Muszę się zgodzić na to. Pod warunkiem, że będziesz mnie bronił przed Morgan. — Twarz mu się rozjaśniła. — Ależ tak! Powiedz

Vivienne, że jestem twoim przyjacielem, i wtedy...

Woodley wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Wyobraźmy sobie, że jej powiedziałem, iż zepchnąłeś mnie na dziedziniec do Drae-dana dziś po południu.

— Ależ... mój panie! — Bohart złapał go za ramiona.
— Nie! Nie zrobiłem tego. Nic możesz udowodnić, że to byłem ja.

— Jednak to byłeś ty, prawda? A Vivienne uwierzy mnie, nie tobie. Lecz uspokój się. Nie powiem, lecz pod warunkiem, że coś zapamiętasz.

Bohart obliznął wargi.

— Co?

— Że to ja zabiłem wodnicę.

— Och, bądź po tysiakkroć przeklęty! Ale chyba muszę się zgodzić. A jeśli się zgodzę, użyjesz swoich wpływów na Vivienne. Ona jest kapryśna, Morgan zaś już nie raz prosiła ją aby... aby... — Rycerz przełknął ślinę i zaczął raz jeszcze: — Morgan chce mnie zniszczyć. Jak dotąd Vivienne nie pozwalała na to. Możemy dobić targu. Otrzymasz zaszczyt za tę próbę, a w zamian za to spowodujesz, że Morgan ode mnie odstąpi — gdyby takie niebez-pieczeństwo powstało.

— Zgoda.

— Ale jeśli Morgan się dowie o naszym podstępie, obaj wówczas umrzemy i to w okropny sposób. Ona nie wybacza.

— Nie dowie się o tym.

— Gdyby dowiedziała się, to nawet Vivienne nas nie ocali.

Woodley skrzywił się cokolwiek. Ryzyko nie było ponętne. Niemniej musiał je podjąć. A poza tym Morgan

nigdy się nie dowie...

— Umowa stoi — potwierdził sir Bohart — ale pamiętaj, że jeśli kiedykolwiek mnie zdradzisz, będzie to oznaczało twój własny upadek. Twoje i moje życie stają się od tej chwili jednością. Jeśli upadnę, pociągnę cię za sobą, bo wszystko opowiem. A Vivienne będzie opłakiwać cię, jeśli nie mnie.

Woodley zadrżał. Z wysiłkiem zrzucił z siebie wszystkie nieuchwytnie lęki.

— Daj sobie z tym spokój. Obiad czeka, a musimy jeszcze zaholować wodnicę do zamku.

Nie było to trudne, jako że zdechłe monstrum pływało łatwo. Wlokąc się dnem jeziora Woodley czuł, że duch w nim rośnie. Dotknął rękojeści miecza. Posiadanie takiej broni było bardzo satysfakcjonujące. Przypuśćmy, że nie udało mu się przechytryć Boharta i zmusić do udzielenia pomocy? Przypuśćmy, że musiałby sam, jedynie mieczem, walczyć z wodnicą? Przez chwilę żal mu było, że nie dokonał tego niebezpiecznego czynu.

Ale byłoby to bardzo niebezpieczne. Zbyt niebezpieczne. No i tak naprawdę nie istniała faktyczna potrzeba ryzykowania własnej skóry, co zresztą udowodnił. Chłodna rozważa była lepsza. Możliwe, iż właśnie ona pozwoli mu uciec z zamku, wrócić na suchy ląd i wyzwolić się ze wszystkich niebezpiecznych zaklęć Morgan.

Z próby wyszedł pomyślnie, więc przez pewien czas nic mu nie groziło. Następnym etapem będzie poznanie zaklęcia wodnej magii, które pozwoliłoby mu znowu oddychać powie-trzem.

Woodley ciągnął z wysiłkiem pęk włókien wodnicy, które trzymał w zaciśniętej ręce. Z tyłu jeziorowy potwór płynął powoli jego śladem, a małe rybki, uformowane w

kształt ogona komety, ciągnęły z tyłu. Zamek wyłonił się przed nimi...

— Pamiętaj! — ostrzegł sir Bohart. — Nasze życia zwały się w jedno. A oto Bleys. Koniec gadania — to nie jest bezpieczne w zamku.

Dno jeziora było spowite w wieczorne cienie. W świetle powyżej musiało już być po zachodzie. Bohart usunął się na bok i przepadł. Ubrana na brązowo sylwetka Bleysa była widoczna w drzwiach u podnóża wieży.

— Oto łup! — zawołał Woodley. — Chodź i weź go!
Druid brodził po bagnistym dnie.

— Wodnica. I ty ją zabiłeś...

Woodley poczuł straszliwy wstyd, gdy napotkał wzrok czarodzieja. Ale to uczucie nie ma sensu. Czy ma się wstydzić, że nie popełnił samobójstwa? Cholera!

Bleys rzekł wolno:

— Mówiłem ci, że odwaga zastąpi ci zarówno miecz, jak i tarczę. Magia też z nią nie wygra. Teraz ja... — Przerwał, a ręka wysunęła się do przodu w dziwnym, starym geście. — Lata przytłaczają mnie. Gdy zobaczyłem cię niosącego zdobycz do zamku, wydało mi się, że stoję za murami Camelotu i patrzę na Artura Pendragona...

Cichy głos stopniowo zanikał. Bleys dodał jeszcze:

— O n b y ł i z a w s z e b ę d z i e.

Pomruk Nurmali przerwał oczarowanie, któremu Woodley uległ. Wpłynęła przez drzwi do wieży, niosąc zapaloną lampę.

— Och! Pan Artur Woodley zabił potwora! Mój panie! — Skłoniła się nisko. — Będzie ucztowanie. Podano do stołu.

Bleys zdawał się powracać do swego normalnego pijackiego wcielenia.

— W porządku — warknął, dziewczyna zaś odwróciła się i poszła z powrotem do wie-ży. Woodley zauważył, że płomień lampy prześwituje przez jej przezroczyste szmaragdowe ciało. Wyglądało to dosyć interesująco, tyle że zbyt mocno odwracało uwagę.

— Te nimfy gorsze są od piromaniaków — zauważył Bleys i wyciągnawszy dzban, napił się z niego. — Nie można zostawiać ognia bez dozoru. Noszenie lampy nocą w zamku jest bez sensu — pomieszczenia są i tak oświetlone magią. Krew i ogień, to wszystko, o czym myśli nimfa. Straszne, mokre, ciekące kreatury — zakończył w wybuchu starczej pasji. — Nienawidzę ich. Nienawidzę wszystkich. Chodźmy! Zostaw swoją wodnicę, tutaj będzie bez-pieczna.

Woodley zauważył krótkie, uważne spojrzenie druida i zastanawiał się, czy Bleys jest faktycznie tak pijany, jak na to wygląda. Pozornie tak, jako że jego drogę korytarzem wyzna-czały przekleństwa, stękania i czknięcia. Bleys prowadził do komnaty Woodleya, gdzie ten ostatni dokonał szybkiej niekompletnej toalety — nie można się umyć pod wodą — a następ-nie zaprowadził do wielkiego holu. Woodley nie widział przedtem tego pomieszczenia.

Było naprawdę bardzo duże, a w połowie wysokości jednej ze ścian miało galerię. Znaj-dowały się tu dziesiątki gobelinów, podłogę wysłano sitowiem — prawdopodobnie jakoś obciążonym, ponieważ nie unosiło się do góry — oraz podium w drugim końcu. Właśnie tam, przy małym stoliku, siedziała Vivienne. Wyglądała uderzająco pięknie w satynowej sukni ko-loru jabłkowej zieleni, haftowanej perłami. Jej włosy, splecione w warkocze, przyozdobiono

perłami. Przynajmniej ona wyglądała jak esencja magii.

— Mój pan! — Podbiegła do Woodleya. — Powiedziano mi, że jesteś bezpieczny. Lecz twój biedny policzek... och! Ta okropna wodnica!

— Drobnostka. Nie boli.

— Drobnostka! Zabicie wodnicy... ale ja wiedziałam, że okażesz się wielkim rycerzem. Chodź i usiądź obok mnie, mój ukochany, i porozmawiajmy w trakcie jedzenia. — Pożerała go wzrokiem, Woodley zaś czuł się tym zakłopotany.

Bleys niezdarnie wyszukał sobie miejsce i łakomie spoglądał na stół zasłany lnianym obrusem.

— Nie chcę znowu ryby — warknął. — Mam jej po uszy.

— Będzie pieczone prosię — powiedziała Vivienne, spoglądając na bok. — Morskie prosię. Ptactwo i pasztety... och, mój panie! Teraz gdy już przeszedłeś pomyślnie próbę Morgan, ty i ja będziemy mieszkać tu przez wieczność.

Nim Woodley zdążył odpowiedzieć, rozległy się tony muzyki. Była powolna, a docho-dziła z galerii po drugiej stronie holu, lecz nie było widać ani jednego muzyka. Vivienne podążyła za wzrokiem Woodleya.

— Ach, to? Morgan uczyniła muzyków niewidzialnymi. Oni są prymitywni, a brzydcy na tyle, aby popsuć nam apetyt. Królowa przyłączy się do nas później. Ona nie je.

Zasłonę na końcu podium rozsunięto na boki i ukazało się kilkanaście nimf podobnych, na ile Woodley mógł dostrzec, idealnie do Nurmali. Wnosiły jedzenie i tace, obsługując w kompletnej ciszy. Pożywienie w większości znane było Woodleyowi, lecz niektóre potrawy

smakowały dziwnie. Kompot miał cokolwiek niesamowity smak. Woodley nie był też specja-lnie zachwycony wszechobecnym zapachem migdałowym.

Jadł z zapalem, jako że był wygłodniały. No i będzie potrzebował dużo energii do wykonania swych planów — uzyskania zaklęcia wodnej magii od Vivienne lub od Morgan. Ale jak...

Bleys pił ciągle, a Vivienne jadła wybrednie, stęskniona za osobiście wybranym kochankiem. Nalegała, by nauczył się poprawnej etykiety czasów arturiańskich.

— Jemy z tego samego naczynia, mój panie — powiedziała, wstydliwie mrugając oczy-ma. — Powinieneś odcinać najlepsze kawałki i podsuwać mi je na czubku noża. Ja... och. Oto sir Bohart.

Faktycznie rycerz kroczył po sitowiu. Oczy jego, utkwione w Woodleya, zawierały ostrzeżenie.

— Wybacz mi spóźnienie, pani — powiedział. — Uważałem, że pan Artur nie wróci tak szybko z polowania na potwora.

Vivienne przywitała rycerza dosyć chłodno i wkrótce sir Bohart ogryzał baranią kość, ukradkiem spoglądając na Woodleya. Kolacja przebiegała w ciszy przerywanej jedynie grą niewidzialnych muzyków. Wreszcie zakończyła się podaniem orzechów, bardzo aromaty-cznych owoców oraz wina, które wydało się Woodleyowi bez smaku. Lecz po tych wszy-stkich korzennych przyprawach nawet kwas siarkowy przypominałby mleko, pomyślał Woodley, delikatnie dotykając zmaltretowanego języka. Czuł się jak Draedan.

Nimfy sprzątnęły obrusy, pozostawiając nagi stół inkrustowany szachownicą. Woodley, najedzony do syta, rozsiadł się wygodnie. Zasłużył na odpoczynek. Mógł

obecnie zająć się następnym problemem — zaklęciem, które posiadała Vivienne — lecz jeszcze nie teraz. Lepiej zabawić dziewczynę i bardziej wkraść się w jej łaski. Vivienne złożyła głowę na jego ramieniu.

— Och, opowiadałam ci o Utherze — zaczęła — i o tamtej wdowie. Dziesięcioro dzie-ci, jak mówiłam. Jakież to był łobuz. Wydaje się, że...

I Vivienne pogrążyła się w opowieści. Sir Bohart kręcił się niespokojnie jakby zdener-wowany i zaniepokojony. Woodley drzemał. Vivienne odkrywała sekrety zamierzchłej prze-szłości, a orkiestra grała.

Woodley zdał sobie nagle sprawę, że Vivienne umilkła. Wstrząsnął nim dreszcz i z na-głym uczuciem strasznego szoku usiadł wyprostowany jak strzała. Przez moment czuł zawrót głowy i upiorne uczucie, jak gdyby ciało odpadało mu od kości.

Wtedy zobaczył kobietę siadającą po drugiej stronie stołu.

Ubrana była w prostą białą suknię o długich zwisających rękawach, a wokół szczupłej talii miała pasek wysadzany klejnotami. Gwiazdne kwiaty pobłyskiwały w jej włosach, w których akcenty brązu prześwitywały w głębinach czerni. Twarz miała piękną i młodą. Woodleyowi nic udawało się zobaczyć jej oblicza, z wyjątkiem ukradkowych spojrzeń z boku. Czemu?

On — on nie mógł spotkać jej wzroku.

N i e p o t r a f i ł spojrzeć jej w oczy. Dlaczego tak się działo, nie miał pojęcia. Zmusił się do obrócenia głowy, tak by mógł zajrzeć w oczy Morgan le Fay.

I jego własne oczy odmówiły mu posłuszeństwa. Zbuntowały się, gdy już prawie osiągnął to, czego pragnął. Woodley miał uczucie, jakby jego własne ciało nie słuchało

rozkazów płynących z mózgu.

Niemniej udało mu się zobaczyć jej twarz, aczkolwiek nie wprost, i wydała mu się ona dziwnie znajoma. Gdzież to on widział ją przedtem?

Ależ oczywiście. Ten kobierzec z drzewem i węzem. Morgan miała twarz Lilith...

Woodley wstał trochę niezgrabnie i skłonił się.

— Wasza wysokość...

— Nie — powiedziała Morgan głosem miękkim i beznamiętnym. — Nie potrzebujesz wstawać. Nazywam się Morgan i proszę cię, mów mi po imieniu, a ja również będę zwracać się do ciebie „Arturze”.

Imię zatrzymało się na jej języku, jakby nie miała ochoty go wymówić.

Woodley usiadł. Zapadła cisza. Raz jeszcze spróbował spotkać wzrok Morgan i nie udało mu się.

Powiedziała:

— Zabiłeś wodnicę? Pytam, ponieważ jeśli nie przeszedłeś przez mą próbę uczciwie, nic cię nie może ocalić. Szczególnie z powodu twego imienia, którego nie lubię.

Woodley napotkał błagalny wzrok sir Boharta, przełknął i poczuł suchość w gardle.

— Zabiłem wodnicę. Oczywiście uczciwie.

— Bardzo dobrze — rzekła Królowa Powietrza i Mroku. — Zapomnijmy więc o tym. Wiele czasu upłynęło od chwili, gdy ktoś sponad jeziora gościł tutaj. Wydaje mi się, że sir Galahodin był ostatnim.

Bohart zakasłał nerwowo. Morgan uśmiechnęła się do niego. Jej szczupłe palce stukały w blat stołu.

— On grał w szachy ze mną — dodała na wpół

złośliwie. — Widzisz... Arturze... przez setki lat, po przybyciu tutaj zapraszałam od czasu do czasu gości. Grywałam z nimi w szachy. Potem znudziło mnie to i dopiero ostatnio poczułam znowu potrzebę. Nie jest to specjalnie ważne i nie będę opuszczała jeziora dla tak drobnego kaprysu. Lecz sir Bohart jest tu i... Vivienne, czy nie znudził ci się on jeszcze?

— Znudził mi się dawno — krótko odrzekła dziewczyna. — Ale przyzwyczaiłam się do niego i jego sposobu bycia.

— Masz nowego kochanka — mruknęła Morgan. — Czy nie wycofasz swej protekcji dla starego?

Sir Bohart poruszył się niespokojnie, Artur zaś pośpiesznie wtrącił:

— Vivienne, mam nadzieję... chodzi mi o to, że Bohart przyrzekł mi pokazać dużo rzeczy, jak się walczy w szrankach. Ty nie wycofasz...

Morgan powoli, słodkim głosem powiedziała do Vivienne:

— W swoim czasie zbrzydnie ci również twój nowy kochanek i nie będziesz płakać, widząc go grającego ze mną w szachy.

Woodley z trudem przełknął ślinę.

— Zawsze będę kochała Artura — stwierdziła Vivienne stanowczo. — Kiedy zobaczyłam go po raz pierwszy, przypomniał mi Merlina. A ponieważ towarzystwo sir Boharta sprawia przyjemność memu panu...

Morgan śmiała się przez chwilę.

— Merlina! A niech cię. Dobrze. Nie tknę sir Boharta bez twego przyzwolenia, lecz... — Wzruszyła ramionami. - Coś wewnątrz mówi mi, że tak naprawdę to wołałabym

Artura. Być może imię przywołuje stare wspomnienia.

— Eee... —wybąkał Woodley.

Morgan przyglądała mu się.

— Teraz jesteś bezpieczny. Tak długo, póki Vivienne przebywa tutaj, a nie ma zamiaru opuszczać jeziora, będzie mogła zatrzymać swe zabawki. Lecz ona jest człowiekiem i kobietą, a więc jest kapryśna. Kiedyś będzie miała cię dosyć i wtedy zagrasz ze mną w szachy, Arturze.

— Ja... ja nie gram dobrze w szachy — powiedział Woodley i przerwał, zdziwiony gwałtownym chichotem Bleysa. Druid uspokoił się natychmiast łykiem wina.

— Kto grywa w szachy z Morgan, zawsze przegrywa — powiedział.

Woodleyowi ni stąd ni zowąd przypomniał się kobierzec z widokiem raj. No tak — musi wyciągnąć od Vivienne formułę zaklęcia wodnej magii. Morgan była poza jego zasięgiem. Była zbyt — niepokojąca.

— Dopóki tu jestem — stwierdziła Vivienne — mój pan Artur nie będzie grał w szachy.

Morgan uśmiechnęła się powtórnie.

— Wszystko ma swój koniec — stwierdziła tajemniczo. — Porozmawiajmy o czymś innym. Czy świat zapomniał już o mnie, Arturze?

— Och nie! Pisali o tobie Tennyson i Mallory — nakręcono również film z tobą.

— Film?

Woodley wytłumaczył, o co chodzi, a Morgan potrząsnęła głową.

— Wierność! Bez wątpienia myślą, że jestem tylko legendą.

— Tłumaczyłaś mi coś na temat historii i baśni — odezwała się Vivienne. — Chciałam wytłumaczyć to memu

panu Arturowi, lecz sama nie bardzo pojmuję. On nie rozumie, w jaki sposób legenda może być prawdą, a tak prawdę mówiąc, to ja też nie.

— Bleys, wyjaśnij sprawę — zarządziła Morgan.

Druid popił wina i zaczął:

— Och, to bardzo proste — związane jest z płynnością czasu. Historycznie Pendragon nazywał się Artorius i był wodzem małego brytyjskiego oddziału, który walczył z Rzymianami około 500 roku. W tych czasach nie było żadnych zamków ani rycerstwa. My jesteśmy czystej krwi Plantagenetami.

Woodley wyglądał na skonfundowanego i tak też było.

— Lecz ja myślałem...

— Legendy mogą mieć wpływ na przeszłość. Czy kiedykolwiek napisałeś jakieś opo-wiadanie, Arturze?

— No — próbowałem scenariusza czy dwóch.

— Więc niewątpliwie cofałeś się czasami, aby zrobić wstawki i przeróbki. Wyobraźmy sobie, że piszesz historię świata. Interesuje cię — historycznie — akurat Artorius i jego czasy, i napisałeś już kilka tysięcy słów na ten temat, lecz wówczas wpadasz na lepszy pomysł. Decydujesz się zrobić z Artoriusa wielkiego króla, wymyślasz heroiczną sagę o rycerzach i okrągłym stole — o Bloysie, Ginewrze i Merlinie, i tak dalej. Cofasz się, aby zrobić w pie-rwotnym tekście wstawki i zmiany. Trochę później wprowadzasz jeszcze jedną postać imie-niem Malory i wprowadzasz szereg powiązań z czasami arturiańskimi. Działa prawo kompen-sacji i rewizji — niejasno tłumaczył Bleys.

— Ale my nie rozmawiamy o literackiej fikcji — upierał się Woodley — lecz o prawdziwych wydarzeniach. Życie nie jest opowiadaniem, które ktoś pisze.

— Tak ci się wydaje — niezbyt grzecznie odwzajemnił się druid. — A dużo ty na ten temat wiesz. *Hep!*

Nastąpiła cisza, którą przerwała Vivienne, opowiadając o Izoldzie oraz Błędnym Rycerzu. Woodley jak zwykle zasnął. Ostatnie, co zapamiętał, to na wpół wyraźna twarz Morgan, śliczna, tajemnicza i straszna.

Zbudził się w łóżku i zobaczył, że Nurmala zagłąda przez zasłony.

— Śniadamy wcześniej, mój panie — wybulgotała nimfa — Czy byłbyś łaskaw wstać?

— A co, to już rano?

— Słońce świeci przez jezioro.

— Och — mruknął Woodley i przystąpił do stałej operacji wkładania spodni pod prześcieradłem. Wydawało się to niezrozumiałe Nurmali, która właśnie „wyfalowywała” z ko-mnaty. Widok jej zielonych galaretowatych pleców przypomniał Woodleyowi, że jest głodny.

W wielkiej sali znalazł tylko Vivienne. Bolała go lekko głowa i po cmoknięciu Vivien-ne — na jej żądanie — przysiadł się do piwa, bułeczek i solonej ryby. Wolalby sok pomido-rowy. Dziś na galerii nie było niewidzialnej orkiestry.

— Przytulne miejsce — rzekł, trzęsąc się z lekka. — Nie zdarzyło mi się nigdy jeść śniadania na dworcu centralnym.

Zrozumiała ironię zawartą w jego stwierdzeniu. Wszystkie zamki miały wielkie sale.

— Potem będziemy jadać na werandzie, jeśli ci to odpowiada. Dawnymi czasy bywały tu potężne uczyty.

Deski rozkładano na kozłach, aby zrobić stoły — zdarza się, że miewamy bankiety nawet teraz.

— Goście, tu na dole? — zapytał zaciekawiony.

— Morgan wskrzesza umarłych — wytłumaczyła Vivienne. — Bawi ją to czasami.

— Lecz mnie to wcale nie bawi — stwierdził zdjęty grozą Woodley. — Gdzie to podziewa się Morgan dziś rano?

— Jest... zajęta. A Bleys? Pewnie usiłuje się upić. Dziadowska kreatura.

— No dobrze, a gdzie jest sir Bohart? — chciał wiedzieć Woodley.

Oczy Vivienne przybrały dziwny wyraz.

— Gdy zapadłeś w sen ostatniego wieczoru, po odejściu Boharta Bleys powiedział mi, że ten nikczemny rycerz zrzucił cię na smoczy dziedziniec i z tego powodu wycofałam swoją protekcję. Obecnie gra w szachy z Morgan.

Woodley zakrztusił się piwem.

— O mój Bo... Vivienne, gdzie on jest?

— Gra w szachy z Morgan. Nigdy już go nie zobaczysz.

Woodley odłożył na bok róg do picia. Poczul chłód w żołądku. A więc stało się naj-gorsze. Bleys zapamiętał i wygadał. Teraz...

— Vivienne! Wydawało mi się, że chciałaś zachować Boharta przy życiu. Musisz go ocalić!

— Po tym, jak próbował cię zamordować? O nie! Poza tym jest już za późno. Gra nie zakończy się przed zachodem, ale sir Bohart jest już w stanie uniemożliwiającym ratunek.

Brązowe brwi dziewczyny zeszyły się razem.

— Przypomniało mi się coś. Morgan chce cię zobaczyć.

— Ona... naprawdę? .

— Powiedziała, że dziś wieczorem. Nie wiem po co. Mówiła, że chodzi o coś, co powiedział jej sir Bohart. To nie ma znaczenia.

— Oj, czyżby — wymamrotał Woodley i wypił piwo do końca. Wiele nie pomogło. Nie potrafił przewidzieć, co się teraz stanie. Bohart, patrząc śmierci w oczy, wyjawiał Morgan sztuczkę z wodnicą. A co to Morgan powiedziała ostatniego wieczoru?

„Jeśli nie przeszedłeś mej próby uczciwie, nic nie jest w stanie cię uratować.”

Dziś wieczorem nastanie więc godzina zero. Woodley miał czas do zachodu — może troszeczkę więcej, lecz niewiele.

Jeden dzień, w którym musi się dowiedzieć od Vivienne zaklęcia mokrej magii!

Nagle zdecydował się na śmiały ruch. Atak jest najlepszą formą obrony.

— Vivienne — powiedział. — Ja chcę wrócić.

Nie drgnęła.

— Zostaniesz ze mną na zawsze.

— Przypuścimy, że Morgan coś mi zrobi?

— Nie zrobi... A... — oczy Vivienne pociemniały. —

A raczej zgodziłabym się na to, niż abyś mógł wrócić ponad jezioro, gdzie inne kobiety by cię zabrały. Pamiętaj, Arturze: nie możesz teraz oddychać ponad wodą. Tylko Morgan lub ja możemy to zmienić. Na powietrzu umrzesz. Nie pomożemy ci opuścić tego jeziora, lecz jeśli będziesz próbował — przyprowadzę cię z powrotem, mój panie. Słuchaj! — Pochyliła się ku niemu, opierając się łokciami o

szachownicę. — Jesteś niewidzialny i niewyczuwalny dla ludzi. Jesteś jednym z nas. Twego głosu nie usłyszy nikt z wyjątkiem ludzi ze świata czarów.

— Mogłabyś to zmienić, Vivienne!

— I oddać cię w ramiona innej kobiety? Prędeż zobaczę twoje martwe ciało. Nie wra-caj więcej do tego tematu, mój panie, bo nastrój może mi się zmienić i powiem Morgan, że może sobie wsiąść cię na partnera do gry w szachy!

— Nie zawracaj sobie głowy — powiedział przez zaciśnięte zęby. — Morgan sama sobie da radę.

W tym momencie zdał sobie sprawę, że posunął się za daleko i obrał złą taktykę. Więc zaczął ją przeproszać, a ona poddała się jego zabiegom z przyjemnością. W końcu, z głową na jego ramieniu, rozpoczęła opowieść o sir Pellinorze i Gończej Bestii.

— Nazywała się Glatissant — tłumaczyła aksamitnym głosem. — Stary Pellinor miał dosyć swej żony, więc stwierdził, że musi wybrać się na wyprawę. Honor tego wymagał. Poszedł więc, romansując jak Brytania długa i szeroka. Nikt nigdy, z wyjątkiem Pellinora, nie widział Bestii, a niejedna dziewczyna z tych, co przysłuchiwały się opowiadaniom Pellinora o Glatiscancie, żałowała potem tego. Zaiste! Można by wyznaczyć szlak Pellinora w dokładnie dziewięć miesięcy po jego przejściu. Zawsze mówię, że...

Woodley nie słuchał. Myślał intensywnie i pośpiesznie. Wiedział, że na pewno przed zachodem słońca musi wydostać się z jeziora. Morgan... nie jest ona z rodzaju ludzkiego. No i ta... gra w szachy!

Nie potrafił odgadnąć, jaki koszmar maskował ten eufemizm, lecz doskonale wiedział, że nie ma najmniejszej

ochoty grać w szachy z Królową Powietrza i Mroku, co właśnie czynił biedny Bohart. I znowu przypomniał mu się kobierzec z rajem.

Jak tu uciec?

Był niewidzialny, niewyczuwalny i głuchoniemy — z punktu widzenia normalnych ludzi. Nikt nie mógł zobaczyć go, usłyszeć lub wyczuć. Z wyjątkiem mieszkańców świata czarów, kimkolwiek są. Co więcej, jeśli opuści jezioro, to się udusi.

Chwileczkę! Jakaś myśl przemknęła niepostrzeżenie. Człowiek może żyć pod wodą w ubiorze nurka. Najprawdopodobniej więc mógłby żyć w powietrzu, gdyby udało mu się cały czas oddychać wodą.

Strój nurka, ze względów oczywistych był wykluczony. Lecz — dobry Boże — wszystko co mu potrzebne, to naczynie z wodą, które musi nieść ze sobą. Nieomalże uśmiechnął się, lecz zdążył zapanować nad twarzą.

W tym górzystym kraju niewiele było strumieni i tylko jeden wpadał do jeziora. — Lecz... chwileczkę... Woodley nie miał ochoty zostać istotą wododyszną do końca życia; byłoby to bardzo niewygodne.

A Vivienne będzie go ściagać. Ona potrafi latać...

Woodley wyteżył pamięć. Czyż nie było czegoś w arturiańskiej legendzie, co mogłoby mu pomóc? Niewyraźny zarys pomysłu wpadł mu do głowy... Merlin.

Będąc już starym, Merlin zakochał się w Vivienne i włączył się za nią po całej Brytanii. W końcu dziewczyna, zmęczona swym starożytnym kochankiem, wyuczonym zaklęciem zamknęła go w pniu starego dębu. Gdyby tak Merlin był w pobliżu!

— Dobry Boże! — rzekł siadając — oj... och, nic, nic kochanie, coś mnie ugryzło.

— Biedactwo — powiedziała Vivienne podsuwając się bliżej. — Po zabiciu tej wodni-cy wczoraj... tak jak już mówiłam, rycerz ten zszedł z wieży i ukrył się w fosie, dopóki...

Woodleyowi przypomniały się przeżycia, których doznał tuż zanim spotkał Vivienne — ta mała pieczara z korzeni pod dębem, w której coś kopnęło go w siedzenie. Wkrótce potem Vivienne powiedziała: „pachniesz Merlinem”.

Merlin — oczywiście! — jest w tym dębie. I bez wątpienia jego uczucia do Vivienne osłabły. To co pamiętał z Malory'ego, mówiło mu, że Merlin i Morgan le Fay zawsze byli zajadłymi nieprzyjaciółmi, a zwykle wygrywał Merlin.

Merlin pomógłby mu teraz z prostej wdzięczności, gdyby on potrafił uwolnić czarodzie-ja. Merlin na pewno potrafiłby odwrócić działanie wodnej magii, uczynić Woodleya powie-trznodysznym i obronić go przed Morgan i Vivienne. Zamknięty w tym dębem przez stulecia — ha!

Było to cudownie logiczne. Pozostawało tylko nauczyć się zaklęcia, które uwolniłoby Merlina.

Bleys stanowił rozwiązanie tego problemu.

— Kochanie — powiedział nagle — co się stało z ubraniem, które miałem na sobie, kiedy przeniosłaś mnie do jeziora.

— Czemu pytasz? — W jej ciemnych oczach ukazało się podejrzenie.

— Chciałbym papierosa — wytłumaczył jej, co to jest tytoń. Dziewczyna przytaknęła.

— Ależ oczywiście. Morgan za pomocą magii zrobi

ci tytoń, lecz zajmie to trochę cza-su, nim znajdzie właściwe zaklęcie. Zaraz polecę, aby dostarczono ci twe rzeczy. Nurmala!

Nimfa wypłynęła zza kotary, wysłuchała polecenia i wyszła, aby po chwili wrócić z ubraniem Woodleya. Przeszukał ubranie i znalazł papierosy, które były magicznie suche; palenie było oczywiście pod wodą, lecz... Woodley puścił kółko z dymu.

Bystro przyjrzał się Vivienne.

— Spróbujesz, kochanie?

Pod jego nadzorem dziewczyna poznała smak tytoniu. Dziesięć minut później jej twarz stała się bladofioletowa, przerwała opowiadanie historii o Ginewrze i Borre, wyszła z pokoju i nie powróciła.

Spięty nerwowym podnieceniem Woodley znalazł flaszkę brandy w kieszeni munduru. Zostało więcej niż połowa. To dobrze!

Skierował się do komnaty Bleysa. Po drodze znalazł gliniane naczynie i zostawił je tuż za drzwiami komnaty druida.

— Czy mogę wejść?

— *Hep!*

Woodley wziął to za zaproszenie. Odnalazł Bleysa odparowywującego retortę i próbują-cego zawartości dzbana.

— Pomyje! Świńskie pomyje! Papka dla osesków! Pracowałem nad tym zaklęciem godzinami i miałem pewność, że wyjdzie coś o mocy co najmniej piętnastu procent. Niech mi szatan pokruszy kości! Nie... — dodał szybko, rozglądając się dookoła. — Cofam to.

— Spróbuj tego — zaproponował Woodley,

trzymając flaszkę w wyciągniętej ręce. — Zapomniałem, że mam to z sobą.

Oczy Bleysa rozbłysły poprzez jego dryfującą w wodzie brodę, a jego szponiasta ręka wystrzeliła do przodu.

— Alkohol z suchego łądu? Mój panie Arturze, kocham cię za to. Wino? Piwo?

— Brandy. Spróbuj.

Bleys łyknął raz, a następnie przechylił flaszkę, usta skurczyły mu się konwulsyjnie, głowę odrzucił do tyłu. Niski pomruk wydobył mu się z gardła.

— Brandy. — Jego głos pieścił to słowo. Druid miał oczy szeroko otwarte, a w nich łakomstwo i zapamiętanie. — Upiję się. Po raz pierwszy od stuleci.

— Nie — rzekł Woodley, który zdążył odebrać flaszkę. — Przykro mi, ale więcej nie dostaniesz.

— L-lecz!... — Szczeka mu opadła. — Mój panie Woodley! Ty żartujesz!

— Ani mi to w głowie.

— Poczekaj — druid mówił, śliniąc się. — Zrobię ci wina. Miodu. Piwa. Całe tony. Dam ci, cokolwiek zechcesz.

Woodley odczekał. W końcu doszedł do wniosku, że Bleys jest już gotów.

— Dobrze — rzekł wówczas — możesz wziąć resztę brandy. Ale musisz zapłacić mi za nią. Chcę znać pewne zakłęcie.

Bleys spojrzał przenikliwie.

— Zakłęcie zmieniające mieszkańca wód na oddychającego powietrzem? W porządku.

— Nie — warknął Woodley, cofając flaszkę z zasięgu Bleysa. — Powiedziałeś mi kie-dyś, że nie znasz tego zakłęcia. Nie oszukuj.

— Dobrze, czego więc chcesz? — zapytał druid ponuro.

— Czy Merlin znał... znał zaklęcie wodnej magii?

— Tak, znał. Merlin kiedyś był moim uczniem, ale umiał znacznie więcej niż ja. Czemu pytasz o to?

Woodley odetchnął z ulgą.

— Mało ważne. Czy znasz zaklęcie zwalniające człowieka zamkniętego w dębie?

Przez długi czas Bleys nic nie mówił. Potem śmignął do pobliskiego stołu, podniósł dzban i napił się z niego, a następnie z furią w oczach i przekleństwem na ustach rozwalił go o podłogę.

— Dostyc tego! — krzyknął przenikliwie. — Nie mogę pić tego świństwa przez wieczność! Dębowe zaklęcie? Dąb jest drzewem druidów. Oczywiście, że znam.

— Więc podaj mi je w zamian za brandy.

Chciwość zatryumfowała. Bleys podał formułę zaklęcia.

— To jest właściwe zaklęcie?

— Tak! *Hep!* Dawaj brandy!

— Przysięgnij na... hm... na Midera.

— Przysięgam na Midera — rzekł gniewnie Bleys. — Jestem durniem, mój panie. Ale rób, jak uważasz. Jeśli Morgan mnie zabije, to przynajmniej umrę pijany.

Napił się brandy. Woodley odwrócił się.

Zatrzymał go głos druida.

— Poczekaj. Przyszło mi coś do głowy.

Bleys trząśł głową, broda powiewała i mrugał wodnistymi oczami.

— Ta brandy rozjaśnia mi umysł. Dziwne. Byłem na wpół pijany przez zbyt długi czas... chwileczkę. — Napił się znowu.

Woodley przypomniał sobie Morgan i zawahał się, lecz wyschnięta ręka druida chwyciła go za ramię. Bleys wyciągnął się do góry, zamglonymi oczyma szukając wzroku Woodle-ya.

— Arturze... powinienem był pomyśleć o tym przedtem. Kiedy zobaczyłem cię wczoraj wracającego z wodnicą... Ba, przy moim zdziecinnieniu... starzeję się i głupieję, ale w tej chwili przypomniałem sobie.

Zacisnął mocniej chwyt na ramieniu Woodleya.

— Musisz mnie wysłuchać. To ważne. Być może, ponieważ Morgan cię nie lubi, być może, ponieważ na imię ci Artur — słuchaj! Czy pamiętasz, co ci mówiłem, że bieg historii można zmienić? Że czas jest płynny?

— Tak. I co z tego?

— Silne charaktery mogą przekreślić pióro autora i zmienić historię, którą on pisze. Artorius z Brytanii dokonał tego. Dowodził małym oddziałkiem, ale był silny — dzielny. Tak silny, że wymusił na sobie znacznie większą rolę, niż miał początkowo. Nastąpiła poprawka. Ten drobny wódz wziął Excalibur i stworzył legendę. Już jako Artur Pendragon ocalił Anglię od ciemnych mocy.

Woodley zerknął na drzwi, niecierpliwiąc się do wyjścia.

— No i?

— Na grobowcu Artura znajdują się słowa: on był i będzie. Istnieje legenda, która mówi, że Artur przyjdzie raz jeszcze w godzinie, w której Anglia będzie w potrzebie, i ocali ją raz jeszcze. Czy nadeszła ta godzina?

— Więc... — Woodley zatrzymał się, oblizując wargi. Spojrzał na Bleysa.

— Słuchaj jeszcze! — szponiaste palce zacisnęły się

mocniej. — Każdy mąż może być Arturem, jeśli jest wystarczająco silny, by przekręcić pióro autora. Każdy mężczyzna może być Arturem, jeśli waży się trzymać Excalibura. A na imię ci... Twe życie nie musiało być, do tej chwili, doniosłe. To nie ma znaczenia. Artorius nie był wielki, dopóki nie wziął Excalibura... Czy wiesz, czemu tu jestem, czemu Morgan trzyma mnie w niewoli?

— Czemu?

— Jestem strażnikiem Excalibura. Po zniknięciu Merlina obowiązek ten przekazano mnie. Artur śpi na Avalonie. Niemniej przepowiednia mówi, że w godzinie potrzeby przyjdzie znowu, a ja muszę podać mu Excalibura. Wyglądałem Pendragona — druid kontynuował cicho. — Zapomniałem, że Pendragon był kiedyś tylko Artoriusem. Wydaje mi się, że teraz czas nadszedł. To nie przypadek cię przywiódł pod jezioro. Excalibur leży tutaj, przygotowany do twojej ręki. Mając go, możesz stać się Arturem.

Oczy Woodleya rozbłysły.

— Bleys... — przerwał, zagryzając wargi. — Morgan.

— Z Excaliburem możesz wyzwąć ją — i jeszcze coś. Mężczyzna dzierżący Tnącego Stal ocali Anglię!

— Czemu sam nie użyłeś go przeciw Morgan? — zapytał Woodley szybko.

— Jestem jego strażnikiem — jedynym człowiekiem na ziemi, któremu nie wolno go użyć — w głosie Bleysa odezwała się głęboka nuta żalu. Zestawienie głębokiego dostojenstwa, jakie zeń emanowało, i jego brudnej szaty było zupełnie niedorzeczne.

— Wiem, co chodzi ci po głowie — powiedział druid. — Ucieczka i bezpieczeństwo. Nie tędy droga. Excalibur leży przygotowany do twojej ręki. Widziałem znaki i myślę,

że czas nadszedł. Pamiętaj — każdy mężczyzna może stać się Arturem, jeśli ma wystarczająco odwagi, by ująć i zespolić się z Excaliburem. Artorius miał tę odwagę. Gawain, syn Morgawse, nie miał. Tnący Stal został mu najpierw ofiarowany, a on się bał. A obecnie...

— Ja... mogę być Arturem — powiedział bardzo cicho Woodley.

— Możesz zmienić przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Silny i dzielny mężczyzna może zmienić bieg historii. Twoja własna przeszłość nie ma znaczenia. Jeśli weźmiesz Excalibura teraz, nastąpią... zmiany.

Woodley nie odpowiedział. Przypomnił sobie uczucie, gdy trzymał miecz w dłoni, i dziwnie silne podniecenie, które czuł, gdy przez chwilę skierował broń przeciwko Bohartowi. Trzymać Excalibura...

Być Arturem!

— Możesz się nim stać — rzekł Bleys. — Zabiłeś wodnicę. Powinienem być wiedzieć, że jesteś tym, na którego czekam.

Lecz Woodley wcale nie zabił wodnicy. Poczul w żołądku kulę z lodu. Zapytał:

— Co będę musiał zrobić, jeśli wezmę Excalibura?

Wychudłe ciało Bleysa drżało z podniecenia.

— Będziesz sam wiedział. Najpierw zabijesz Morgan. Potem twoja gwiazda cię poprowadzi.

— Zabiję Morgan?

W jakiś sposób miecz, nawet Excalibur, wydawał się marną bronią przeciwko grozie jej oczu. Nawet w tej chwili czarownica prawdopodobnie wykańczała Boharta i przygotowywała się na następną ofiarę.

Przyuśmy, że weźmie Excalibura, lecz nie uda mu

się pokonać Morgan? Przypuśćmy, że nie potrafi utrzymać magicznego miecza? Tak naprawdę, to nie on zabił wodnicę. Polegał na strategii, która jest najprawdopodobniej bardziej niezawodna niż sama odwaga.

Gdyby Woodley nie miał alternatywy, wydałby bitwę Morgan i walczyłby ile sił — przynajmniej tak mu się wydawało. Lecz miał alternatywę i była ona znacznie bezpieczniej-sza!

Ponadto — nie był Arturem!

Nie w tym rzecz, że był tchórzem — nie. Lecz propozycja Bleysa była grą, czystą, prostą grą. A niby czemu ma grać o własną przyszłość? Merlin jest w dębie, Merlin z całą jego mocą był przeciwnikiem godnym Morgan le Fay. Ten sposób był logiczny, bezpieczniej-szy, a wszystko przemawiało na jego korzyść.

Jednakowoż było coś szlachetnego w możliwości zaproponowanej przez Bleysa. Excali-bur! Posiadać taki miecz! Przez moment owa myśl rozświetliła mu mózg. Uzbrojony w ten zaczarowany miecz będzie miał mało powodów do obawiania się nawet Królowej Powietrza i Mroku.

Zalóżmy — to tylko założenie! — założmy, że potrafi utrzymać Tnącego Stal. A co będzie, jeśli nie jest właściwym człowiekiem? Z pewnością nie czuł się jak Artur Pendragon. Excalibur w niewłaściwych rękach będzie gorszy niż nic — najprawdopodobniej nie da się go nawet utrzymać. Poczul ciarki na myśl, że mógłby stawić czoła straszemu wejrzeniu Morgan uzbrojony w beużyteczny miecz.

Nie, w tym jest za dużo ryzykownej gry. Zaakceptowanie tej efektownej oferty może oznaczać, że

zostanie bezbronny sam na sam z Morgan i bez żadnej szansy ucieczki. Za duże ryzyko. Merlin oznaczał pewne bezpieczeństwo.

Druid pochylił się do przodu; we wzroku miał zachętę.

— Excalibur zostanie schowany w miejscu, do którego odważy się wejść tylko Artur. Pozwolisz, że wskażę ci to miejsce.

Woodley wziął głęboki wdech.

— Bleys — powiedział niezbyt pewnym głosem — wydaje mi się, że mam lepszy pomysł. I mam zamiar go spróbować. Jeśli się nie uda, wrócę, aby walczyć z Morgan.

Postać druida zdawała się kurczyć do wewnątrz. Jego ręka spadła z ramienia Woodleya; cofnął się o krok.

— Gawain — rzekł. — Excalibura nie proponuje się dwa razy.

— Lecz ja będę walczył z Morgan, jeśli trzeba. Tylko...

Nie było odpowiedzi, tylko kamienna cisza. Woodley miał uczucie, jak gdyby oblał jakiś bardzo ważny egzamin. W końcu odwrócił się w kierunku drzwi, zostawiając Bleyasa siedzącego na podłodze i wlewającego resztki brandy do gardła.

Przez moment starzec był otoczony dziwnym, ponurym dostojeństwem, a brandy w paradoksalny sposób nadała mu wygląd bardziej trzeźwego, niż był, w pamięci Woodleya kiedykolwiek przedtem. Lecz teraz wszystko minęło. Z wyjątkiem lekkiego ugięcia pleców znamionującego zniechęcenie wyglądał dokładnie jak zawsze, brudny i pijany.

— Żegnaj, durniu — powiedział. — *Hep!*

Woodley skinał głową i puścił storę, podnosząc naczynie, które zostawił na zewnątrz drzwi. Następnie udał się na poszukiwanie portalu, którym on i Bleys, weszli do zamku wczoro-raj. Propozycja Bleysa nie dawała mu spokoju — nieomal żałował swej decyzji.

Lecz znacznie ważniejsze było uważanie na ewentualne straże. A co będzie, jeśli spotka Vivienne albo Morgan? Lecz nie pokazała się nawet nimfa. W dziesięć minut później, Wood-ley wspinał się pod górę dnem jeziora.

Ryby przepływały obok. Włókł się naprzód, aż wreszcie głowa przebiła powierzchnię wody.

Tak więc podjął decyzję. Miał nadzieję, że właściwą. I był tylko jeden sposób, aby to sprawdzić...

Napełnił wodą naczynie i gdy chciał odetchnąć, zrobił to zanurzając twarz w naczyniu. Udało się.

Powtórzył procedurę kilka razy, zanim poczuł się zupełnie usatysfakcjonowany. Potem ruszył w kierunku brzegu. Strumień wytryskiwał ze swego przełomu kilkadziesiąt metrów w lewo. Doszedł doń i stwierdził, że aczkolwiek stromy, to jednak w żadnym wypadku nie jest niedostępny.

Obejrzał się. Z tyłu nieruchoma powierzchnia jeziora błyszczała jak srebrna, odbijając promienie południowego słońca.

Czy — serce podeszło mu do gardła — czy coś wynurza się z głębin?

To tylko ryba, dzięki Bogu. Ale ten widok przypomniał mu o konieczności pośpiechu. Przez nieuwagę wciągnął powietrze do płuc i przez chwilę parsknął i kaszlał z twarzą zanurzoną w wodzie, a następnie odwrócił się w kierunku przełomu.

Wspinał się szybko. Nie musiał iść daleko, kilometr lub nawet mniej, aż rozpoznał miejsce, w którym po raz pierwszy spotkał Vivienne. Dąb musi być nie dalej niż kilkaset metrów.

Instynkt kazał mu spojrzeć do góry. Wysoko w górze, w kierunku jeziora, w powietrzu kołował ptak. Nic, nie ptak — to Vivienne!

— Boże! — Zrobił głęboki wdech i zanurkował pod nawis skały. Gdy odważył się wyrzucić znowu, Vivienne zniknęła. Na szczęście nie zdążyła dostrzec swej zwierzyny.

W każdym razie sama Morgan nie została jeszcze powiadomiona. To już coś. Woodley pośpieszył w górę przełomu. Miał jednak trudności z oddychaniem. Woda z naczynia dusiła go. Wymienił ją na nową ze strumienia i szedł dalej. Dojrzał dąb.

Był taki, jakim go zapamiętał, z małą jaskinią z korzeni u podstawy. Więc to jest wię-zienie Merlina!

No, to do dzieła. Wymienił wodę w naczyniu, wspiął się na brzeg i ostrożnie dotarł do drzewa. Jak dotąd nie było znaku Vivienne.

Skóra wyschła i paliła go. Chciał zanurzyć się w strumieniu, lecz ten był za płytki, a poza tym nie miał czasu do stracenia. Zakłęcie, które dał mu Bleys...

Woodley zerwał siedem dębowych liści i ułożył je w rzędzie na ziemi przed drzewem. Zanurzył twarz w naczyniu, wziął głęboki oddech i podniósł głowę. Teraz...

Skóra paliła go jak ogniem. Wiedział, że powinien szybko wrócić do wody — i to nie po to, aby odetchnąć, lecz aby powstrzymać proces kurczenia się, niczym u meduzy wyrzuczonej na brzeg.

Wymówił zaklęcie, całkiem krótkie, wymawiając każde słowo wyraźnie.

Zahuczał grom, błysnęło i ze strasznym trzaskiem pień dębu rozsunał się na boki. Woodley przez moment obawiał się, że poruszenie zwabi Vivienne.

Pień drzewa był wewnątrz pusty. Wyszedł zeń mężczyzna.

Był to Merlin Ambrosius, wysoki, dostojny mężczyzna o haczykowatym nosie i długiej, białej brodzie. Wyglądałby dokładnie jak profesor historii, gdyby nie brązowa opończa i kaptur.

— Merlinie! — zawołał Woodley głosem napiętym ulgą i natychmiast zanurzył twarz w naczyniu. Niech sobie Vivienne przybywa teraz! Merlin jest już wolny!

— Ajajajajaj — odezwał się czarownik gderliwym głosem. — Ty... nie jesteś Arturem? Ależ nie. Widzę, że nie. Czemuż ludzie są tak wścibscy? Czemu nie pilnują własnego nosa?

Woodley, zupełnie zgłupiały, powiedział:

— Ja... ja uwolniłem cię z drzewa, w którym uwięziła cię Vivienne.

Merlin wyrzucił ręce do góry.

— Kto, na Boga, opowiedział ci tę fantastyczną historię? Przypuszczam, że to jedno z opowiadań Vivienne. Nie chciałaby, aby prawda wyszła na wierzch. Na Midera! Ona od stuleci szuka tego dębu, próbuje mnie odszukać, od kiedy zamknąłem się tutaj.

— Ty zamknąłeś się tutaj sam?

— Zakładam, że spotkałeś Vivienne — rzekł Merlin ze spokojem podszytym furją. — Śliczna dziewczyna. Urzekająca. Ale gada bez przerwy jak najęta. Plotki, plotki, plotki, rano, w południe, wieczorem i w niedzielę. Łaziła za

mną po całej Brytanii — nie mogłem się odczepić od tej dziewczuchy. Jak ona mnie kochała! A jak gadała! Nie mogłem myśleć. Kiedykolwiek próbowałem wymyślić zaklęcie, ona zaczynała paplać o romansie, który książkę Jakiśtam miał z Jakaśtam damą. O, nie! — stwierdził dobitnie Merlin. — To nie Vivienne za-mknęła mnie w tym dębnie. Sam się zamknąłem i od tego czasu wiedzie mi się bardzo dobrze z wyjątkiem chwil, gdy Vivienne zbliża się niebezpiecznie blisko. Od czasu do czasu drzema-łem, a także opracowywałem nowe doskonałe czary. Ale zawsze miałem stracha, że ta śliczna, bezmózga, ciągle szczebiocąca sroka kiedyś mnie znajdzie i robi mi znowu piekło z życia.

Nigdy — dodał. — Opracowałem nowe zaklęcie, na które nie ma antidotum. Zaczyna się od słów *somnus eternatis* i mam zamiar je zastosować, aby znowu zamknąć się w tym dębnie. Gdy już tego dokonam, nawet sam diabeł nie będzie nigdy mógł otworzyć tego drzewa. Powiniennem był dawno to zrobić, ale uważałem, że kilka stuleci w tę lub w tamtą stronę nie będzie miało znaczenia.

— Ależ! — zmartwił się Woodley, który czas swój dzielił pomiędzy przyglądanie się Merlinowi, a zanurzanie twarzy w naczyniu. — Więc nie pomożesz mi?

— Och, pomogę ci — chrząknął czarownik. — To będzie zupełnie proste. Zdejmę z ciebie zaklęcie wodnej magii i osłonę cię przed Morgan i Vivienne — po przeczytaniu twych myśli wydaje mi się, że o to ci właśnie chodzi. To nie zabierze dużo czasu. Potem wrócę do drzewa i po zastosowaniu mego nowego zaklęcia będzie ono opieczętowane od wewnątrz i od zewnątrz. Ja nigdy nie będę mógł wyjść i nikt nigdy nie będzie mógł wejść. Artur i tak nie będzie mnie potrzebował, gdy powróci i tak

dostanie Excalibura.

Z tyłu za Woodleyem rozległ się szum w powietrzu. Odwrócił się i zobaczył Vivienne z rozwianymi włosami, lecącą w dół w jego kierunku. A więc grzmot otwierającego się dębu przywabił ją!

— Mój panie Arturze! — krzyknęła przenikliwym głosem. — Jesteś więc tutaj!

Merlin wydał okrzyk przestachu i cofnął się do drzewa, głos jego rozległ się pośpie-sznie intonując:

— *Somnus eternatis...*

Vivienne wydała wrzask radości.

— Merlin! — krzyczała. — Mój ukochany Merlin! Nareszcie!

Spłynęła w dół, mijając Woodleya wytrąciła mu naczynie z rąk. Merlin schronił się we-wnątrz pustego dębu, zapamiętałe intonując zakłęcie. W tym momencie dotarła doń i zarzuci-wszy ramiona wokół szyi broniącego się czarodzieja, obsypała jego zarośnięte policzki namiętymi pocałunkami.

Bach!

Błysnęło i przetoczył się grzmot, a obie połówki dębu zatrzęsły się jak dwie połowy drzwi. Woodley, podświadomie wstrzymując oddech, stał, gapiąc się na drzewo. Merlin i Vivienne zniknęli.

Podniósł naczynie, które się nie rozbiło, pobiegł do strumienia i napełnił je wodą. Ciało paliło mu jak ogniem, więc szybko polał się wodą. Następnie, po ponownym napełnieniu naczynia, wspiął się na brzeg, wrócił do drzewa i ułożył siedem dębowych liści.

Powtórzył zakłęcie Bleyisa, lecz nic się nie stało. Powtórzył je jeszcze raz i jeszcze — aż sześć razy. Bez skutku. Merlin i Vivienne zostali na zawsze zamknięci

wewnątrz dębu.

Woodley wrócił do strumienia i usiadł w wodzie w małym zagłębieniu, pochylając się od czasu do czasu dla nabrania oddechu. Miejsca, w których skóra była poddana bezpośredniemu działaniu powietrza, okrutnie mu doskwierały. Pragnął zanurzyć całe ciało w wodzie, lecz strumień był za płytki w tym miejscu i mógł jedynie polewać się wodą z naczynia. Niewiele to pomagało.

Gdyby Merlin zdążył zdjąć z niego zaklęcie wodnej magii — gdyby Vivienne przybyła nie wtedy, kiedy to zrobiła...

Woodley zagryzł usta. Gdyby mógł uzyskać jakąś pomoc...

Gdyby tylko przyjął Excalibura...

Pomoc była daleko. Woodley wiedział, że musi trzymać się blisko wody, aby od czasu do czasu wymienić wodę w naczyniu. Za pomocą trzciny mógł jakoś natleniać wodę, którą nosił ze sobą, lecz nie mógł zbyt długo poddawać skóry na działanie powietrza. Tak jak meduza, nie mógł żyć na powietrzu i w słońcu.

Gdyby dało się znaleźć głęboki zbiornik wody...

Lecz nie było żadnego. Płytki strumień gnał przełomem bez przystanków. Tylko jezioro mogło go ocalić.

Nie, pomyślał. Zostanę tu. Śmierć będzie lżejsza. Bohart...

Lecz słabość ciała sprawiła, że się załamał. Z minuty na minutę palący ból, rozprze-strzeniający się na skórze, stawał się coraz gorszy. Było to nie do wytrzymania... nie do zniesienia.

Nie miał innego sposobu. Musiał wrócić do jeziora. I

do Morgan le Fay.

Zaczął schodzić w dół przełomu. W końcu nie musiał wracać aż do samego zamku. Mógłby ukryć się gdzieś pod wodą, gdzie Morgan nie mogłaby go znaleźć.

Rozpadlina skończyła się. Stopy rozpryskiwały coraz głębszą wodę.

Przez krótką chwilę oglądał miraż. Wydawało mu się, że ramię przyodziane w biały złotogłów wynurzyło się spod gładkiej powierzchni jeziora, i wywija mieczem, który w promieniach słońca błyszczał jasno — nie do zniesienia.

Wszystko znikło. Poczłapał głębiej. To był tylko miraż.

Zbawczy chłód wody, która zamknęła się mu nad głową, pieścił jego spaloną skórę. Położył się płasko na dnie jeziora, rozkoszując się żywiołem, który oznaczał ulgę dla jego wyschniętych płuc. Leżał długo, zupełnie nie zwracając uwagi na to, co się dzieje dookoła. Był szczęśliwy, że może odpoczywać.

W jeziorze ściemniało się. Słońce schowało się za szczyty gór. Wścibski pstrąg przebadał włosy Woodleya i uciekł, gdy ten się poruszył.

Merlin — Bleys — nie można się spodziewać od nich pomocy. Musi znaleźć miejsce, gdzie można się ukryć. Tamta jaskinia w Drżącej Skale. Morgan prawdopodobnie tam go nie znajdzie.

Ciało przestało palić. Woodley z wolna podniósł się i poszedł w dół dna jeziora. Otaczał go zielony półmrok.

Wtedy zobaczył — coś — co wolno poruszało się u jego stóp.

Przez moment zszokowane oczy Woodleya nie mogły pojąć tego, co widzą. Dostał napadu nudności. I nie tyle chodziło o wygląd tego czegoś, co o to, że niewątpliwie

było to kiedyś sir Bohartem.

I to coś wciąż żyło.

Morgan zakończyła grę w szachy.

Woodley zamknął oczy, zaciskając powieki z całej siły, starając się przemóc słabość swego ludzkiego ciała buntującego się przeciw temu, co zrobiła Morgan. Poprzez mrok dobiegł go głos:

— Ona teraz gra w szachy z Bleysem.

Woodley usiłował przemówić, lecz nie dał rady. To coś, co nie powinno mieć głosu, mówiło dalej:

— Nie ważyła się przedtem go zabić, ponieważ opiekował się Excaliburem dla Artura. Lecz czas na przyście Artura minął, powiedziała mi to, zanim umarłem, i już niczego się nie boi.

„Coś” nie powiedziało już ani słowa, ponieważ się rozpadło.

Woodley otworzył oczy. Zielona pomroka ściemniała. Niewiele było widać z wyjątkiem czarnego cienia daleko na przedzie — był to zamek. Na prawo była jeszcze jedna plama czerni — prawdopodobnie Drżąca Skała.

Mógłby ukryć się tam.

Nie. Morgan znalazłaby go. Woodley na wpół się obrócił, by rozpocząć odwrót, lecz wspomnienie cierpień, jakich doznał na powietrzu, powstrzymało go. Nie potrafiłby znieść tego raz jeszcze.

Lecz... byłoby to jednak lepsze od gry w szachy z Morgan. W końcu wiedział już, co ten eufemizm oznacza. Biedny Bleys!

Usunął z pamięci tę myśl oraz wspomnienie Boharta. Już wiedział, co ma zrobić. To było jedyne wyjście. Czyste, ostateczne rozwiązanie za pomocą ostrej stali pchniętej wprost przez jego serce. Będzie to czas przegranych.

Ręka przesunęła się do pasa, ale miecza nie było. Przypomniał sobie, że zdjął go w komnacie po walce z wodnicą. Dobrze — więc sztylet.

Nie miał go również. Był rozbrojony.

Przez moment wstrząsnęły nim szarpiące mdłości. Nie miał odwagi pozostać przy życiu, aby doznać takich samych cierpień jak Bohart. Obejrzał się znowu.

No więc nie będzie opuszczał jeziora. Oznaczałoby to zupełnie niepotrzebne cierpienia. Jakoś znajdzie sposób, aby się zabić. Nawet jeśli będzie musiał wrócić do zamku.

No i do tego w końcu doszło. Nie miał innego sposobu. Nigdzie pod jeziorem nie było broni, z wyjątkiem twierdzy Morgan. Woodley wiedział, którymi drzwiami wejść — tymi, które pokazał mu Bleys. Podbudowała go myśl, że nie musi spotkać Morgan. Ona będzie zajęta...

Niemniej skradając się korytarzem, trzymał się cienia. Dziwna ciemność zapadła ponad zamkiem. Była absolutna cisza i tylko delikatne światło, niewiadomego pochodzenia, roz-świetlało ciemności.

W drodze do komnaty nie widział nikogo, nawet Nurmali. Lecz nie znalazł broni w komnacie. Ktoś ją usunął.

W pokoju Bleysa może być sztylet. Poszedł tam, lecz drzwi były zamknięte, a nie odważył się ich wyłamywać.

Zbrojownia?

Gdy wędrował poprzez zamek, narastał w nim strach. Coś, obserwując go, kryło się w cieniu. Najgorsza była świadomość, że Morgan gdzieś w pobliżu gra w szachy z Blysem.

Bleys — Bohart — Morgan!

Na końcu holu zobaczył uchylone drzwi, a za nimi

błysk stali. A więc zbrojownia. Gdy wszedł pośpiesznie do środka, kotara z jednej strony zafalowała i Woodley zamarł, widząc, co zostało wyhaftowane na jej białej powierzchni. Wąż zwinięty w pierścień z gwiazdą ponad uniesionym łbem. Komnata Morgan.

Jakoś udało mu się wycofać, dotrzeć do zbrojowni i wybrać miecz na chybił trafił. Zupełnie zwyczajny miecz, lecz ostry. Wcale nie Excalibur. Usta zacisnęły się na myśl, do czego mu miecz posłuży.

To będzie czysta śmierć. A może sztylet będzie lepszy. Wybrał jakiś.

Lecz palce pozostały zacisnięte na rękojeści miecza. Zapomniał już o dziwnym uczuciu satysfakcji, jakie dawało trzymanie miecza. Miecz jak gdyby stanowił przedłużenie jego własnego ramienia, dając mu moc, której przedtem nie posiadał.

Woodley spojrział na sztylet, włożył go za pas i zważył miecz w dłoni.

To nie Excalibur. Nie ma już nadziei na zdobycie Tnącego Stal. Nie ma nadziei na zabicie Morgan lub przynajmniej przeciwstawienie się jej...

Twarz Woodleya zmieniła się. Dłoń mocniej zacisnęła się na rękojeści miecza. Przypomniawszy sobie swoje ostatnie słowa do Bleya.

„Wydaje mi się, że mam lepszy pomysł. I mam zamiar go spróbować. Jeśli się nie uda, wrócę, aby walczyć z Morgan.”

Walczyć z nią? Bez Excalibura? Pomysł był aż śmiesznie beznadziejny. Mimo tego, niespodziewanie w Woodleyu zaczął rodzić się dziwny gniew.

Od samego początku Morgan układała wszystko, tak jak się jej podobało. Wszyscy bali się jej. Bezpieczną mocą

swej czarnej magii, robiła to, na co miała ochotę, depcząc brutalnie wszystkich, którzy weszli jej w drogę. Może odczuwała pewien strach, że Artur wróci, aby ją zniszczyć. Lecz obecnie ta groźba znikła. Morgan, nie bez powodu, była pewna siebie.

Nikt nie ważył się jej przeciwstawić. Myśl, że mogłaby zatryumfować, stała się wręcz nieznośna. Nie zadała sobie nawet trudu, aby śledzić go i zniszczyć. Wiedziała, że będzie mu-siał wrócić i najprawdopodobniej popełni samobójstwo, by oszczędzić jej kłopotu rozgniecenia go jak muchy.

Bleys... Bohart... to coś co było Bohartem... Czemu drzwi zbrojowni zostawiono otwarte? Czyżby Morgan wiedziała, co Woodley ma zamiar zrobić?

Nagły przyływ gniewu omroczył mu twarz. Niech będzie przekłeta. Zawiódł — to prawda. Ale to...

Bardzo dobrze. Musi umrzeć, nie ma możliwości ucieczki. Lecz przynajmniej może sprawić jej ten kłopot, że będzie musiała zabić go osobiście!

Płonąc gniewem, Woodley zakręcił i pośpieszył z powrotem tym samym korytarzem. Przy białej kotarze zawahał się na moment, odsunął ją na bok i przeszedł przez próg.

Pokój był pusty. Ściana naprzeciwko nie była ścianą. Wydawało mu się, że jest to zasłona z czarnych pajęczyn, zwieszająca się od sufitu aż do podłogi. Lub też był to gobelin utkany z ciemności, niepojęty, przemyślny — jeszcze jeden przejaw magii Morgan.

Do diabła z Morgan!

Woodley maszerował naprzód. Z czeluści czarnej zasłony wynurzyli się dwaj odziani w zbroje rycerze z

opuszczonymi przyłbicami skrywającymi ich twarze. W ponurej ciszy pod-nieśli miecze.

Woodley wykrzywił twarz w grymasie uśmiechu. Stawał już raz przeciw sir Bohartowi — nie będzie to więc jednostronne polowanie oszczepami na niedźwiedzia. Postara się, by Morgan miała trochę kłopotów, zanim go zniszczy.

Nie czekał, aż zostanie zaatakowany, rozpoczął pierwszy pozorowanym, miękkim, kocim atakiem na jednego z rycerzy. Niczym nieuzasadniona pewność siebie zdawała się w nim narastać wyłącznie dlatego, że trzymał w ręku miecz. Artur na pewno czuł się tak kiedyś trzymając Excalibura. Gdy miecz przeciwnika poleciał do dołu, Woodley, nie obciążony ciężką zbroją, lekko uskoczył w bok i wraził ostrze miecza w szczelinę przyłbicy przeciwnika tak silnie, że aż zaklinowała się w kości.

Drugi przeciwnik ciął Woodleya. Nie było czasu na odzyskanie uwięzłego miecza, a broń pokonanego rycerza roztrzaskała się na kawałeczki o kamienną podłogę. Woodley po-czuł ból w ramieniu. Rzucił się do przodu, schwycił za zimną, nieustępliwą stal rycerza przed nim i sięgnął do pasa po nóż. Jednocześnie jego stopa zahaczyła o kostkę nogi przeciwnika i obaj z hukiem runęli na posadzkę.

Sztylet Woodleya zazgrzytał o zbroję i odnalazł to wrażliwe miejsce ramienia, w którym zbroja zawsze zawodzi tego, który ją przywdział. Ostrze zanurzyło się, wycofało i zanurzyło raz jeszcze.

Woodley wydarł miecz z dłoni konającego i zerwał się na równe nogi. Spośród fałd ciemnej kotary utkanej z pajęczyn wypelzał wąż, rozwijając swe lśniące zwoje, jeden za drugim. Świetlny punkt tańczył mu ponad łbem.

Herb Morgan — jej krewniak.

Woodley nie czekał, kiedy potężne zwoje go owina — a nie były one odporne na miecz, który dzierzył. Gęsta krew wylewała się z głębokiej rany na boku, gdy potężny wąż zwałił się obok niego, tłukąc cielskiem o posadzkę. Woodley siekł mieczem na oślep.

Płyty posadzki były śliskie od krwi, gdy podnosił się z wiotczących zwojów węża, nad którego głową już nie migotała gwiazdka.

Na niepewnych nogach poszedł naprzód na spotkanie czegoś chichoczącego, purpuro-wego i obrzydliwie antropomorficznego. Zostawił to coś jeszcze bardziej purpurowe, lecz już nie chichoczące. Tym razem nic więcej nie wyłoniło się spoza zasłony.

Za nią było już tylko delikatne purpurowe pełgające światło, poprzez które majaczyły bezkształtne cienie. Dostrzegł majaczącą w czerwonym świetle Morgan, podnoszącą się od stołu przy końcu komnaty. Bleys siedział po drugiej stronie stołu i na widok Woodleya podniósł bladą niedowierzającą twarz. Widać było, że nic mu się jeszcze nie stało, lecz nie po-wiedział nic.

Morgan zwróciła swe okropne spojrzenie na nowo przybyłego. Tak jak poprzednio oczy Woodleya ześlizgnęły się na bok. Nie potrafił spotkać jej wzroku, lecz zauważył, że twarz jej jest zupełnie pozbawiona wyrazu. Nie bała się — na pewno nie. Nic nie mogło uczynić jej krzywdy...

Ruszył naprzód przez mrok, podnosząc miecz do góry. Ręka Morgan uniosła się i miecz skruszył się w jego dłoni. Woodley spojrzał w dół ogłupiały, a w mózgu zaświtał mu tępy gniew pomieszany z bólem i rozpaczą.

Wydarł sztylet i rzucił się do przodu.

Ręka Morgan wzniosła się powtórnie i sztylet rozsypał się w pył.

Stał teraz rozbrojony, patrząc na Morgan poprzez odmet purpurowych cieni. Lecz pewność, która wypływała z tego, że czuł miecz w dłoni, pozostała przy nim. Nie bał się. A więc odwaga i siła nie zależały wyłącznie od miecza.

Zrobił długi krok naprzód w półmrok. Morgan zapłonęła białym płomieniem o kilkanaście metrów dalej, przesłaniając wszystko wokół siebie. Migotanie jej bladej szyi spowodowało, że palce jego rąk bezwiednie się zacisnęły. Zrobił jeszcze krok do przodu.

W ciemności dotknął kolaniem czegoś masywnego. Spojrzał na dół. Było to kamienne kowadło, z wbitym weń głęboko mieczem.

Broń! Broń przeciwko Morgan! Nie myślał o niczym więcej w chwili, gdy palce ujmowały zdobioną klejnotami rękojęść. Był jakby moment zawahania, zanim miecz uwolnił się z kowadła i przylgnął mu do dłoni jak żywy.

Kiedy zaś unióśł go na wysokość ramion, wydawało mu się, że podnosi płonącą pocho-dnię.

Mężczyzna trzymający Excalibura stał nieruchomo, mrużąc oczy od blasku własnej broni, czując w swych żyłach moc, która kiedyś ożywiała żyły Artura Pendragona. Biały blask Tnącego Stal rozgonił cienie komnaty. Bleys zsunął się ze stołu, ukląkł i skłonił głowę przed tym potężnym bladym ogniem.

Nastąpiła kompletna cisza i wówczas odezwała się Morgan:

— Przybyłeś znowu, mój wrogu. Żaden z mych czarów nie ma już mocy nad tobą. Jezioro przestało być ci więzieniem. Twa gwiazda wschodzi. Miecz Excalibur

został znów wyciągnięty, aby ocalić Anglię, i nie zawiedzie.

Jej chłodny głos pogłębił się trochę akcentem zemsty.

— Lecz ty nie dożyjesz radości ze swego zwycięstwa, Arturze, mój wrogu. Dotknięcie rękojeści Excalibura jest równie zabójcze jak jego ostrze. Umrzesz pewnego mrocznego jutra, gdy już wszystko zostanie wygrane.

Miecz był płomieniem żywego światła. Mężczyzna, który go trzymał, nie odpowiadał przez moment, a następnie...

— Tak — powiedział miękko. — Lecz ty umrzesz dziś.

I ruszył naprzód.

Chwała i potęga

Transmutacja

Niosąc w rękę dzbanek do kawy, Belg wyszedł z pokoju, zatraskując za sobą drzwi. Miller dostrzegł pytające spojrzenie Slade'a i wzruszył ramionami.

— To szaleniec — powiedział.

Slade opuścił kąciki ust w grymasie zniecierpliwienia.

— Może i tak — odrzekł. — Pamiętaj jednak, że oprócz niego mam jeszcze inne źródła informacji. Jestem pewien, że coś tajemniczego znajduje się na szczycie Siedmuset. A ty Miller znajdziesz to dla mnie — zaakcentował ostatnie słowa.

— Czyżby? — zapytał Miller.

— No cóż, powinno ci to odpowiadać. Zawsze tak jest, gdy masz okazję powrócić do Stanów. — W jego głosie zabrzmiała ukryta groźba.

— A ty wyślesz wówczas kilka depesz — odpowiedział z ironią Miller. — Związałeś mnie ze sobą na dobre, przyjacielu, zamknąłeś w sprytną pułapkę zależności.

— Muszę się przecież zabezpieczyć na wypadek, gdybyś zechciał zostać na stałe w Stanach. Sam to rozumiesz.

— Pracowałem dla ciebie przez dziesięć długich lat, Slade. Za późno już by wszystko zaczynać od nowa. Zresztą obydwaj ponosimy odpowiedzialność za morderstwo dokonane na niejakim Millerze. Dziesięć lat temu był on niczym się nie wyróżniającym prawnikiem. A teraz? Budzi tylko współczucie.

Slade odwrócił swą mocną, nieprzeniknioną twarz.

— Uzbrojony człowiek ma zawsze przewagę, Miller. Według moich danych na szczycie Siedmuset znajduje się najpotężniejsze w świecie źródło energii radioaktywnej. Nie jestem w tej dziedzinie specjalistą, lecz konsultowałem się już z najwybitniejszymi ekspertami. Jeśli uda mi się zdobyć tę broń, nie będzie mi równych.

Miller spojrział na niego z zaciekawieniem. Niezależnie od wszystkiego cenił w Sladzie jego siłę i wolę działania. Od dziesięciu lat stał na czele potężnego

imperium zbrodni i polityki, wciąż nienasycony w swej żądzy władzy. Wizja nowego źródła radioaktywnej energii brzmiała dość fantastycznie, lecz jak widać poruszyła Slade'a do głębi. Wiedział jednocześnie, że może posłużyć się w tej sprawie Millerem — miał go przecież w swych rękach.

Po chwili do pokoju wszedł pijany Belg, przynosząc ze sobą kolejną butelkę whisky.

— Napijmy się jeszcze, panowie! — wykrzyknął.

Miller zerknął na Slade'a, po czym zwrócił się bezpośrednio do Van Hornunga.

— Najpierw opowiedz nam o szczycie Siedmiuset.

Belg poruszył się niespokojnie.

— Ciekawi jesteście, co jest na szczycie! — wykrzyknął szyderczo. — Dobrze, powiem wam. Omijałem ten temat, bo nie chciałem waszej śmierci. Teraz jestem już na tyle pijany, że jest mi wszystko jedno. W końcu co za różnica czy człowiek żyje czy nie! Przez dwadzieścia ostatnich lat byłem półmartwy, niezdolny myśleć ani odczuwać cokolwiek. Pragnąłem tylko jednego: zapomnienia. Jeśli chcecie się tam dostać, wskażę wam drogę. — Wlał w siebie sporo łyk whisky.

Miller i Slade wymienili znaczące spojrzenia.

— Pamiętajcie jednak — kontynuował — że powrócicie stamtąd całkowicie odmienieni. Zrozumcie mnie dobrze, nie jesteśmy rasą wybrańców. Usiłujemy osiągnąć wyżyny, nie zdając sobie sprawy, że ktoś to mógł zrobić już przed nami.

Miller spojrzał ponownie na Slade'a, który wykazywał już krańcowe zniecierpliwienie.

- Mimo to spróbujemy — odezwał się Miller. — Powiedz nam jak się tam dostać.

W półmroku arktycznej nocy, po ośnieżonym stoku wiodącym na Szczyt Siedmiuset, Miller podążał z trudem za swymi eskimoskimi przewodnikami. Byli w drodze już od wielu, wielu dni, brnąć w pozornie spokojnym krajobrazie tej części świata. Przewodnicy wyglądali na zdenerwowanych i zmęczonych. Ich orientalne, skośne oczy obserwowały Millera bada-wczo i podejrzliwie. Dobrze wiedzieli, że bogowie tej ziemi nie tolerują długo obecności intruzów w swym królestwie. Dwóch z nich uciekło już, korzystając z ciemności. Ci, którzy pozostali, odnosili się do niego z nieukrywaną nienawiścią, trwając na posterunkach głównie z obawy przed jego pistoletem, która jak dotąd okazała się być silniejszą niż lęk przed zemstą bóstw Szczytu Siedmiuset.

Obserwował wznoszące się przed nimi potężne skalne cielsko. Na pierwszy rzut oka nie widniał na nim żaden szlak czy przejście. A jednak Eskimosi, prowadzeni swym instynktem, wspinali się po stoku z niebywałą precyzją. Nieoczekiwanie przewodnik, idący na przodzie, upadł na kolana, szukając czegoś gwałtownie w śniegu. Miller krzyknął na niego, słysząc jak jego głos odbija się echem w górskiej przestrzeni. Eskimos zwrócił się do Millera w swym dziwnym języku, w którym jeden wyraz oznaczał często całe zdanie.

— Ariartokasuaromarotit-tog, powiedział zdecydowanie. — Ton wkrótce odejdzie — mówił z wyraźną satysfakcją a zarazem ostrzeżeniem w głosie, wskazując na coś, co znajdowało się w śniegu. Wskazane miejsce połyskiwało kryształową powierzchnią, mieniąc się na przemian czerwienią i błękitem. W zimowym pejzażu zjawisko to wyglądało naprawdę pięknie i niesamowicie.

Miller uklęknął i dotknął ręką gładkiej płaszczyzny. Pomimo że miał na sobie grubą, skórzaną rękawicę, doznał uczucia mrowienia.

Złóże, pomyślał i uśmiechnął się do siebie. Miedź, może nawet złoto? Właściwie nie byłoby w tym nic dziwnego — złoża tego typu były przecież charakterystyczne dla wielu regionów — lecz jego regularny kształt i mrowienie jakie wywoływało przy dotyku zaintrygowano Millera. Wyglądało jak ścieżka, ukryta w śniegu...

Przewodnicy spoglądali na niego wyczekująco. Miller zrobił krok do przodu i postawił stopę na ścieżce. Jej powierzchnia opalizowała zmieniającymi się barwami. Nagle...

Nagle, niezależnie od swej woli, popychany jakąś nieznaną siłą, sunął po ścieżce z rosnącą wciąż szybkością. Obozowisko, przewodnicy i cały dotychczasowy świat pozostał daleko za nim. Stracił całkowicie kontrolę nad swym ciałem, doznając ponownie znanego już uczucia mrowienia w mięśniach nóg.

Ja chyba śnię, pomyślał. Zatoczył się, lecz nie upadł, a mrowienie obejmowało stopnio-wo coraz wyższe partie jego ciała.

Transmutacja, pomyślał przerażony. Poruszam się niezależnie od swej woli, przytwierdzony w jakiś sposób do tej cholernej ścieżki. Nie mogę się od niej oderwać. Moje nogi są jakby z kamienia... jak gdyby zjednoczyły się z tą dziwną substancją.

Eskimosi spodziewali się tego, wiedzieli. Kątem oka zauważył ich jeszcze. Pomachał bezradnie rękami czując, że i one stają się ociążałe i kamienne. Znalazł się w mocy obcej, nie-znanej siły, która mogła z nim zrobić wszystko, a

on bezbronny, tylko czekał...

Transmutacja ogarniała powoli jego mózg, myśli płątały się bezładnie. Zanurzył się w bezkresie nicości, niezdolny do jakiegokolwiek działania, utracił kontakt ze światem.

Zbudził go jakiś głos.

— Nudzę się, Tsi. Poza tym on nie wygląda na rannego. A jeśli nawet, to co za różnica?

— Nie, Brann — odpowiedział tym razem kobiecy głos. — Znajdź sobie inną rozrywkę.

Słowa, które z trudem dochodziły do jego świadomości, brzmiały obco i dziwnie. Nie potrafił określić na czym to polegało, lecz wyłapywał w nich tę samą niepokojącą nutę.

Nieznajomy roześmiał się szyderczo.

— On stanowi w końcu jakąś odmianę. I może okazać się interesujący — dodał.

— Wypuść go! — oponowała kobieta.

— Cicho, Tsi — przerwał jej mężczyzna. — Ja tu jestem panem. Sprawdź lepiej, czy już się obudził.

Nastąpiła chwila ciszy.

— Nie, jeszcze nie — padła odpowiedź.

— No dobrze, możemy jeszcze poczekać. Podejdz tutaj, Tsi.

Głosy oddaliły się i zapadło długie milczenie.

Miller wciąż pogrążony był w nicości. Próbował się poruszyć, lecz bezskutecznie. Inercja nie ustępowała, choć jego umysł pracował teraz z zadziwiajączą precyzją. O czym ja to myślałem? zastanowił się. Aha, o transmutacji. Oznacza ona zmianę samej struktury atomów. Uczucie mrowienia było zapewne wywołane przez ten proces. Jeśli

to prawda, znaczy, że musi istnieć jakaś kolosalna energia, pod wpływem której zachodzą strukturalne przemiany. Muszę przemyśleć to jeszcze raz, inaczej zwariuję. Chemiczna budowa opiera się na ilości elektronów, krążących wokół jądra atomu. Z drugiej strony jądro przyciąga tylko określoną ilość elektronów. Jakakolwiek zmiana powoduje anomalie w całej strukturze, zarówno ilości elektronów, jak i właściwości jądra. Niemniej sama natura przywraca po jakimś czasie początkowy porządek, a wraz z nim właściwy zapis strukturalny. Znaczy to, że proces skamienia, jakiemu uległ, ustępuje teraz, uwalniając go z bezwładu.

Jak Van Hornung, pomyślał. Powrócił przecież stąd bez widocznych zmian. Czy jednak na pewno? zastanowił się, przypominając sobie postać Belga. Zbyt wiele pytań, pomyślał. Wyteżył całą wolę, próbując się poruszyć. Po chwili wysiłku poczuł lekkie drgnienie w mięśniach. Otworzył oczy i rozejrzał się ciekawie dookoła.

Tsi

Był sam. Leżał na czymś twardym i niewygodnym. Nad nim, niewysokim łukiem wznosiła się kryształowa kopuła. Usiadł z wysiłkiem. Jego ciało było wciąż ocieężałe, jak gdy-by transmutacja nie ustąpiła jeszcze ostatecznie. Przed nim rozciągała się kolumnada złotych drzew, odbijająca w swym listowiu delikatne refleksy światła. Między nimi snuła się smuga dymu czy też mgły, o barwie tak niespotykanej, że nie potrafił określić jej nawet w

przybliże-niu. Powierzchnia, na której się znajdował, pobłyskiwała czerwienią i błękitem, podobnie jak ścieżka, po której tutaj dotarł. Zrozumiał, że energia, powodująca transmutację zanikała dokładnie w tym miejscu. Znów poczuł się sobą. Był jednak na tyle oszołomiony, że nie miał już pewności, czy wszystko co przeżył nie było tylko koszmarnym snem. Wstał z trudem, rozglądając się wokoło. W strukturze otaczających go kryształów odległości okazały się całkowicie złudne. Wyciągnął rękę. Kryształowe ściany nie stanowiły żadnej przeszkody, przechodził przez nie z łatwością. W powietrzu rozbrzmiewała dziwna, lecz na swój sposób piękna muzyka.

Świat barw i dźwięków, pomyślał. Pod stopami poczuł miękkie dotknięcie trawy, a na twarzy zimny i orzeźwiający podmuch wiatru. To na pewno halucynacja! pomyślał z nadzieją. Śnieg...

Lecz Van Hornung uprzedzał go przecież. Dwóch ludzi nie miewa przecież identycznych snów. To, co roztaczało się przed jego oczyma, nie mogło być prawdziwe. Kryształy, przez które przenikał, trawa, tam gdzie powinien znajdować się śnieg, złote drzewa — wszystko to kojarzyło mu się raczej z marzeniem niż rzeczywistością.

Po chwili usłyszał ponownie czyjś śmiech, który wywołał u niego falę lęku i niepokoju. Znów wychwycił w nim obcą i złowróżbną nutę. W jego kierunku szła między drzewami kilkusobowa grupa mężczyzn i kobiet. Mieli na sobie niespotykane szaty, przypominające togi lub sari, o wyrazistych, jaskrawych kolorach.

Idąca na przodzie kobieta wykrzyknęła:

— Popatrzcie, już się ocknął. Jaki jest zdziwiony i

śmieszny! — Zebrani wybuchnęli dźwięczną kaskadą śmiechu.

Miller spróbował coś powiedzieć i usłyszał nagle swój własny głos. W porównaniu z istniejącą tu harmonią dźwięków, brzmiało fałszywie i prostacko.

Kobieta z wyraźną odrazą nakazała mu milczenie.

— Nigdy nie mów głośno — powiedziała, a jej melodyjny głos był jak najwspanialsza sonata genialnego kompozytora.

Miller spojrział na nią z uwagą.

Jej twarz była piękna i dziwna zarazem. Miała olbrzymie, fioletowe oczy, a jej włosy układały się w niespotykaną kompozycję pastelowych barw. Miller nie wydawał się być zdziwiony tą oryginalną fryzurą — tak bardzo pasowała ona do nieznajomej. Już miał odezwać się ponownie, gdy kobieta przemieściła się w niezrozumiały sposób, ukazując się tuż przy nim (przedtem znajdowała się w odległości kilkunastu metrów).

— Musisz wiele jeszcze się nauczyć — powiedziała. — Po pierwsze, zapamiętaj to dobrze, nie wolno ci mówić tu głośno. Po prostu wyrażaj swe myśli, a usta niech milczą. Myśl! Zadawaj pytania myśląc.

Jej usta poruszały się nieznacznie, lecz nie wydobywał się z nich żaden dźwięk. Niezależnie od tego jej głos posiadał przepiękne, melodyjne brzmienie. Telepatia! pomyślał Miller.

Kobieta odezwała się ponownie.

— Swe myśli kieruj do mnie, rozumiesz? Przekaż w nich pełne przesłanie. Na razie nie próbuj nic abstrakcyjnego, na to przyjdzie czas. Skup się, skoncentruj. Jak na razie odbieram tylko bezładną płataninę.

Miller wyteżył całą siłę woli.

— Czy to jest telepatia? — zapytał.

— Wciąż mgliście, ale rozumiale — pochwaliła go.
— Chyba nigdy nie nauczysz się myśleć jasno — westchnęła. — Tak — odpowiedziała wreszcie — to jest telepatia.

— Gdzie jestem? Co to za miejsce?

— Wolniej, wolniej — upominała go kobieta. — Nie zapominaj, że urodziłeś się przed chwilą.

— Że co? — zdziwił się.

Myśli zebranych tu ludzi przepływały przez niego, niosąc na pół żartobliwe, na pół przyjacielskie komentarze. — Brann — przypomniał sobie Miller. — Gdzie jest Brann?

Zapadła długotrwała i ciężka cisza. Miller nie odbierał jej nigdy dotąd tak zmysłowo. Rozmowy urwały się tak gwałtownie, że Miller nie był już pewien, czy kiedykolwiek miały miejsce. Pastelowa kobieta ujęła go za rękę i poprowadziła w kierunku złotych drzew.

— Zwykle unikamy tego imienia. Poza tym Brann jest dzisiaj w wyjątkowo złym humorze.

Miller spojrział na nią koncentrując całą uwagę na ich psychicznym kontakcie

Zbyt wiele pytań kłębiło się w jego umyśle.

— Znam twój głos — powiedział. — A raczej... jak się to u was nazywa?

— Masz na myśli wewnętrzny głos? Słyszałeś go już? A ja byłam przekonana, że śpisz — dodała z namysłem.

— Masz na imię Tsi?

— Tak — potwierdziła skinieniem głowy.

Przed nimi rozciągała się osłona ze światła lub jakiejś cieczy, której nie zauważył wcześniej. Nie był w stanie

określić tej substancji. W górze wznosiła się wysoka kopuła błękitu. Pejzaż był niezwykle czysty i jaskrawy.

— Istnieją legendy o mieszkańcach tych gór, lecz nie o tym — zatoczył ręką szeroki łuk. — Kim jesteście i gdzie się to wszystko mieści?

Tsi uśmiechnęła się. Jej twarz wyrażały życzliwość i ciepło.

— Wasza rasa utraciła kiedyś to, czego jesteś świadkiem. Jesteśmy bardzo starzy, lecz zdołaliśmy zachować...

Zamilkła nagle, przestraszona.

— Cicho! — wykrzyknęła.

Trwali przez chwilę bez ruchu, połączeni bezgłośnym porozumieniem umysłów. W otaczającej ich ciszy Miller usłyszał narastający dźwięk, przypominający swym brzmieniem śmiech. Przestraszył się, pełen obaw czy to nie Brann. Na szczęście był to ptasi śpiew. Tsi odetchnęła z ulgą.

— W porządku — powiedziała.

— Kim jest Brann? — zapytał Miller.

— To pan tego zamku — odpowiedziała z namysłem pastelowa dziewczyna. — Jest trochę dziwaczny — dodała po chwili. — Prawdę powiedziawszy nie obchodzi go nic prócz własnych przyjemności. A ponieważ wyczerpał już ich zasób, stał się niespokojny i łatwo popada w irytację. Zresztą jest taki już od urodzenia. Nie pasuje w czymś do nas.

— Nie pochodzi stąd? — kontynuował Miller. — A może jest człowiekiem? — był już pewien, że ma do czynienia z obcą cywilizacją.

— Nie w tym rzecz — zaprzeczyła Tsi. — Brann urodził się tutaj. Ale odbiega od naszych norm. Zaś wasz

gatunek... — w jej głosie pojawiła się nuta odrazy i współczucia. Dziewczyna nie rozwijała tematu.

— Nie możesz tego zrozumieć — powiedziała stanowczo. — Nawet nie próbuj. Odkąd tu przybyłeś, zmieniłeś się, Miller. Czy kiedykolwiek wcześniej porozumiewałeś się telepatycznie?

— Oczywiście, że nie. Ale nie sprawia mi to problemów, ani też nie stanowi zasadniczej różnicy. Po prostu nowa umiejętność — odpowiedział z przekonaniem.

— Ślepiec, któremu przywrócono wzrok, nie rozumie tego, dopóki nie otworzy oczu — powiedziała filozoficznie. — Myślę, że najlepiej będzie, jeśli odejdziesz stąd. Spójrz tam, wzdłuż doliny — wskazała ręką kierunek.

W oddali, za połyskującymi w słonecznym blasku wzgórzami wznosiła się jakaś budowla.

— To pałac mojej siostry, Orelle — powiedziała. — Wydaje mi się, że cię przyjmie, choćby dlatego by sprzeciwić się Brannowi. Nie jesteś tu bezpieczny. Wielka szkoda, że przybyłeś właśnie tutaj, a nie gdzie indziej.

— To znaczy, że istnieją i inne? Czy człowiek o imieniu Van Hornung był tu przede mną?

Tsi zaprzeczyła gwałtownie.

— Nie, nie słyszałam o nim. Jest tu wiele zamków.

— Dlaczego stąd nie uciekniesz? — zapytał.

Dziewczyna uśmiechnęła się żałośnie.

— Jesteśmy tutaj ponieważ przypominamy w czymś Branna. Tak samo jak on chcemy spełniać wszystkie nasze zachcianki, nie dbając o nic. Jesteśmy zmęczeni tysiącami lat, które dane są nam przeżyć. Prócz mnie, oczywiście.

— Tysiącami lat?! — wykrzyknął.

Jej twarz zastygła w zadumie.

— Być może tak zostało zakodowane jeszcze przed

naszym urodzeniem. Poza tym Brann mnie potrzebuje, nie mogę go opuścić. Ale to nie powinno cię obchodzić. Zrozum, Brann jest niebezpieczny. Lubuje się w dziwacznych eksperymentach, a ty jesteś mu do nich potrzebny. Zresztą nie chcę o tym mówić.

Miller przerwał jej.

— Nie przybyłem tu przypadkiem - powiedział.

— Wiem o tym — odrzekła. — Wyczytałam to w twojej pamięci, gdy byłeś pogrążony we śnie. Szukasz skarbów. Oczywiście posiadamy je. A raczej, wyrażając się precyzyjniej, ma je Orelle. Skarb, którego poszukujesz, należy częściowo do mnie. Ty traktujesz go jak źródło energii, ja zaś jak przepustkę ku lepszemu. Nasz ojciec rozdzielił skarb między mnie i moją siostrę. W rezultacie ma go tylko Orelle. Jeśli odnajdziesz go, czy podzielisz się ze mną?

— Przypuśćmy — odpowiedział wymijająco Miller.

— Jeśli nie, Brann zdobędzie go wcześniej czy później. Jeśli zdobędę skarb wcześniej, będę mieć wówczas nad nim przewagę. Jeśli nie, no cóż, ty będziesz pierwszą ofiarą, chyba zdajesz sobie z tego sprawę. Idź więc i postaraj się zrealizować nasz plan. Miej oczy otwarte i nie ufaj nikomu. Jeśli zdradzisz się jaki masz cel, nigdy nie będziesz dopuszczony w pobliże skarbu.

— Chcesz więc, abym wpierv skorzystał z gościnności Orelle, a potem okradł ją?

Tsi zmieszała się przez chwilę.

— Ależ nie — powiedziała. Pragnę tego, co do mnie należy, po to, by zyskać przewagę nad Brannem. Potem zaś zwrócisz skarb Orelle, jeśli taka będzie twoja wola. A teraz wyciąg-nij rękę i pokaż mi swój nadgarstek.

Założyła mu zegarek, który, jak się domyślił, zdjęła,

gdy był uśpiony.

— Dokonałam w nim pewnych zmian — powiedziała. — Jeśli będziesz mnie potrzebo-wać, skoncentruj się nad nim, a ja cię usłyszę.

Chciał zadać jej jeszcze wiele pytań, lecz zanim zdołał je sformułować, dziewczyna zni-kła. On zaś... uniósł się w powietrze. Ogarnęła go panika.

— Nie obawiaj się — usłyszał daleki głos Tsi. —To tylko teleportacja.

Dolina złotych drzew pozostała daleko za nim. Po chwili lotu opadł delikatnie na zie-mię.

Świat, którego być nie powinno...

Miller usiadł na skalnym występie. Zimny powiew wiatru chłodził stopniowo jego roz-paloną twarz. Był niezadowolony. Powinien był bez wahania zaakceptować propozycję Tsi.

Wszystko wydarzyło się tak szybko, że nie zdążył zastanowić się, rozważyć jej słów. Poza tym była jedyną przyjazną istotą, spotkaną w tym dziwnym świecie.

Z zadumy wyrwał go znany już szyderczy śmiech Branna, który rozbrzmiał nieoczeki-wanie w powietrzu. Miller skupił się w sobie, oczekując na atak. Próbował nie myśleć, by nie dać Brannowi możliwości penetracji jego jaźni.

— Idź do Orelle — powiedział nagle głos. — Niech stanie się jak chce Tsi. Ależ ona jest jednak niemądra — roześmiał się ponownie. — Nie lubi nazywać rzeczy po

imieniu. Wciąż nie dopuszcza myśli, że znajdujemy się z jej siostrą w stanie permanentnej wojny. Łudzi się, że jej uniknie. A ja nie lubię zbyt łatwego zwycięstwa — dodał po chwili. — Poza tym nowa sytuacja dostarczy mi moc wrażeń. Idź więc! — rozkazał.

Pewność siebie przebijająca w głosie Branna irytowała Millera do głębi, niezależnie od lęku, który budził w nim groźny przeciwnik o nieznanym możliwościach. Spróbował unieść się w górę jak poprzednio, lecz jakaś ogromna siła rzuciła go z powrotem na ziemię. Rozległo się dzikie wycie wiatru. Brann roześmiał się złowieszczo i znikł.

Miller podniósł się z wysiłkiem. Nauczony przykrym doświadczeniem nie próbował już teleportacji. Ruszył w drogę, kierując się w stronę zamku Orelle.

Brann uważa się już za zwycięzcę, pomyślał ze złością. No dobrze, może uda mi się po-krzyżować mu szyki. Zauważył, że przemierza odległość z niebywałą szybkością. Wszystko tu jest inne, stwierdził, przypominając sobie baśń o siedmiomilowych butach. Z daleka budo-wła wyglądała jak ze szkła lub lodu. Przyjrzał się dokładnie tej dziwnej konstrukcji. — No cóż, pomyślał, cały ten świat nie powinien istnieć, a jednak jest! Jak ograniczona jest jednak nasza wiedza! Zaś granica między możliwym a niemożliwym — płynna i zmienna. W naszych rozważaniach opieramy się na pewnikach, które w określonych sytuacjach przestają być pewnikami. Najlepszym przykładem jest w końcu transmutacja, zmieniająca samą strukturę cząsteczek; poza tym nie jestem pierwszym człowiekiem, któremu dane jest przekroczyć granicę realności. Przede mną byli i inni. A raj, pomyślał, jest niczym innym jak wizją świata, takiego jak

ten.

Przeszedł bez trudu przez szklaną ścianę zamku, jak przedtem przez kryształową kopułę pałacu Branna. Znajdował się w wąskim, wysokim pomieszczeniu o ścianach pokrytych gęstą siecią soczewek. Przez chwilę poczuł na sobie zwielokrotniony przez nie wzrok, obserwujący go wnikliwie.

— Przychodzisz od Branna — usłyszał nagle rozbrzmiewający w jego świadomości kobiecy głos.

Miller rozejrzył się dookoła, lecz nie dostrzegł nikogo.

— Nie! — odpowiedział głośno.

— Nie kłam — rzekł chłodno głos. — Widzę na tobie pył, pochodzący z tamtych tere-nów. Czy jesteś szpiegiem? — usłyszał pytanie, którego obawiał się najbardziej.

— Przysyła mnie Tsi — odpowiedział pośpiesznie — zaprowadź mnie do Orelle.

— Ja jestem Orelle — usłyszał odpowiedź. — Tsi jest wprawdzie moją siostrą, lecz jak wszyscy ludzie Branna nie budzi mojego zaufania. Czego chcesz? — zapytała.

Miller zawahał się, czując ciągle badawczy wzrok rozmówczyni. Władzy, chciał odpowiedzieć. Daj mi źródło władzy, a odejdę. Jednak pamiętając o ostrzeżeniach Tsi, milczał uparcie. Wiedział, że Orelle nie może czytać w jego myślach, czuł się więc bezpiecznie.

— Pochodzę z zewnątrz — odpowiedział, udając lęk i zażenowanie. Zanim zacznę działać, pomyślał, muszę dowiedzieć się czegoś więcej o tym miejscu. — Tsi powiedziała, że pomożesz mi. Znajduję się w trudnym położeniu, tylko co uciekłem od Branna.

Nastąpiła długa chwila ciszy, która wydała mu się

wiecznością.

— Dobrze — padła w końcu odpowiedź — lecz wpieryw musisz udowodnić, że nie masz złych zamiarów. Będę zmuszona cię przeszukać.

Miller przypomniał sobie o zegarku, który otrzymał od Tsi. Miał nadzieję, że pastelowa dziewczyna wiedziała, co robi i zabezpieczyła go przed ewentualnym zdemaskowaniem.

— Czyń swoją powinność — odpowiedział, siłąc się na pewność siebie.

Zapadła ciemność. Miller poczuł, jak otacza go nagły wir powietrza, zamyka w sobie, porywa z nieoczekiwaną siłą w głąb nicości. Czas przestał dla niego istnieć...

Ciemność ustąpiła zimnemu, niebieskiemu światłu, które badało go dokładnie, przeni-kając do najskrytszych tajników jego jestestwa. Gdy spojrzął na swe ciało, zauważył, że staje się ono niemal przeźroczyste, bez trudu dostrzegał krew przepływającą w żyłach, zarys kości i mięśni. Zadrzał w spazmie dreszczy czując, że dzieje się z nim coś strasznego, że pod wpły-wem wszystko przenikającego światła zmienia się, przestaje być dawnym sobą!

Po chwili to przerażające wrażenie ustąpiło, powrócił do swej zwykłej formy, transmuc-tacja przestała działać. Odetchnął z ulgą. Do tej pory nie zastanawiał się nad zmianami, które mogły zachodzić w nim pod wpływem nowych warunków, zastanych tutaj. Czasami wydało mu się, że nabierając zadziwiających w końcu umiejętności telepatii, teleportacji i wielu in-nych, zatracił coś, co było w nim najcenniejszego — człowieczeństwo. Czuł, jak gdyby nosił w sobie załążek śmierci, rozwijający się nieuchronnie w żywych jeszcze trzewiach. Spuścił głowę i

zamknął oczy.

Obudził się w ogrodzie pełnym kwiatów. Leżał na ziemi, która mieniła się tysiącem kolorów. Orelle znajdowała się tuż przy nim. Była bardzo piękna, jak wszystko wokół.

Dostrzegł w niej wyraźne podobieństwo z Tsi, jednak obca była jej ekstrawagancja siostry. Długa, jedwabista szata okrywała szczelnie jej zgrabne ciało, opadając delikatnie na płózące się u stóp kwiaty.

— Witam cię — powiedziała uśmiechając się. — Nie znaleźliśmy przy tobie żadnej broni, lecz mimo to wciąż ci nie ufam. Nie zapominaj o tym — jej ton był na pół ostrzega-wczy, na pół żartobliwy.

— Nie zamierzam zawieść twego zaufania, ani też nadużyć twojej gościnności — rzekł po chwili namysłu. — Zresztą cóż mogę uczynić, wiesz dobrze, że jestem bezbronny. — Korzystając z okazji zadał jej nurtujące go pytania: — Czy wszyscy z was posiadają taką siłę jak ty i Tsi? Jak wielu jest was tutaj?

Orelle obruszyła się, zniecierpliwiona.

— Nie przywykliśmy do pośpiechu — powiedziała. — Mamy zbyt dużo czasu, by się śpieszyć. W przeciwieństwie do Was. Nawet przebywając tutaj jesteście tak... przelotni — powiedziała akcentując ostatnie słowo. — Rozumiem twoją ciekawość i postaram się wkrótce ją zaspokoić. Każdy z nas posiada jakieś niezwykle w waszym pojęciu umiejętności. Oczywiście są silniejsi i słabsi. Jest wiele czynników wpływających na to, na przykład faktor telepa-tyczny.

— Świadczący o przynależności do waszego gatunku — dokończył za nią. — Ale co ze mną? Jestem tu obcy!

— Niemniej jednak byli tu kiedyś twoi przodkowie. Potem odeszli, z własnej winy. Minęło wiele tysięcy lat zanim osiągnęli szczyt rozwoju, tworząc wspaniałe światy Atlantydy i Mu. Teraz znów trzeba wielu, wielu lat, aby nadrobili to, co utracili. Tylko tu, w sercu Arktyki, przechowujemy sekrety dawnych cywilizacji.

— Dlaczego? — zapytał Miller.

— Jak zawsze — odpowiedziała ze smutkiem Orelle, pochylając głowę nad bukietem świeżo zerwanych kwiatów — wynaleźli broń, nie będąc jeszcze do niej odpowiednio przygotowani. Zresztą nie tylko to. W tym czasie świat zbudowany był inaczej, u samej podstawy, w strukturze atomu.

— Rozumiem to — odpowiedział pośpiesznie Miller. — Zmieniając liczbę elektronów lub właściwości jądra, zmieniamy samą strukturę materii.

— Wówczas zdarzyła się katastrofa — rzekła Orelle. — Tylko tu istnieje jeszcze część dawnego świata, opierającego się na wcześniejszym typie materii. Wyzwała ona specyficzne promieniowanie, pozwalające nam żyć i rozmnażać się.

— Obecnie i my dysponujemy energią atomową — pochwalił się Miller.

— To dopiero początki — roześmiała się Orelle. — Potrzebujecie jeszcze wielu setek lat, by osiągnąć poziom istniejący niegdyś na Atlantydzie. Musicie zmienić samą strukturę waszego świata, co wyzwoli energię oddziaływującą bezpośrednio na was. Wówczas odzyskacie siłę i umiejętności, utracone tysiące lat temu. To co było kiedyś piękne i wyraziste stało się puste i odrażające. A jednak mimo to pozostała w was część dawnej potęgi, uśpione ziarno, gotowe zakiełkować kiedyś, dając obfity

plon. Tu zaś, pod wpływem tutejszych warunków, proces ten zachodzi znacznie szybciej, choć nic jest niestety długotrwały.

— Czy znaczy to, że upodabnam się do was. Że staję się kimś w rodzaju nadczołowie-ka?

— Pamiętaj, że za wszystko trzeba kiedyś płacić. Świat, w którym się znajdujesz, jest piękny, ale i okrutny.

— Tak bardzo różni się od naszego.

— Od ich świata! — powiedziała. — Nie zapominaj, że zmieniłeś się, a procesy strukturalne zachodzą tylko jeden jedyny raz.

Kątem oka zauważył, że przez szklane ściany idzie w ich kierunku jakiś nieznany mężczyzna. Wyglądał młodo jak Orelle, lecz zmęczone i szare oczy zdradzały jego prawdziwy wiek, długie stulecia dane mu przeżyć.

Bomba

— Orelle — powiedział i z roztargnieniem spojrzął na stojącego obok Millera. — Kim jest ten człowiek? Wydaje mi się, że już go gdzieś widziałem. — Przyglądał się badawczo. — Tak — stwierdził — przypominam sobie jego twarz. Widziałem ją w Przeglądzie Czasu. Znaczyła niebezpieczeństwo.

— Niebezpieczeństwo? — zdziwiła się Orelle. — Jakie niebezpieczeństwo?

— Oh, dziecko — rzekł, machając niecierpliwie ręką. - Istnieje przecież tak wiele wariantów przyszłości. Jak mogę spać wszystko, co zapisane jest w Przeglądzie.

Spoglądali na Millera z podejrzliwością. Zauważył, że byli podobni do siebie, cała trójka, włączając Tsi.

— Jeśli umiesz czytać w przyszłości, powinieneś wiedzieć, że nie jestem człowiekiem łamiącym obietnice. Przyrzekłem wam, że nie przybyłem tu w złych zamiarach — powiedział Miller.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

— Przyszłość nigdy nie jest określona ostatecznie. W odniesieniu do czasu przyszłego nie ma pojęcia: na pewno, jest tylko: przypuścimy, że tak będzie.

— Przysłała go Tsi — powiedziała Orelle. — Myślę, że musi mieć w tym jakiś cel.

— Przysłała mnie ze względu na Branna — wyjaśnił Miller.

— Zdarzało się już, że pomagała ofiarom Branna — dodała Orelle — czasami zaś bawiła się z nim wspólnie ich kosztem. Chce zapewne, abyśmy sądzili, że kieruje się zawsze chwilowym kaprysem. Wiemy jednak dobrze jakie są jej prawdziwe zamiary. Pragnie tylko władzy, naszej Potęgi!

— Tak jak i ja — pomyślał Miller, siląc się na obojętność.

— Potęgi, którą stworzyłem z moim bratem — kontynuował mężczyzna. — A teraz śmie się o nią dopominać. Obydwie są moimi bratanicami, Orelle i Tsi, choć czasami wydaje mi się, że w żyłach tej ostatniej nie płynie nawet kropla mojej krwi.

— Nie oskarżaj jej — przerwała mu Orelle. — Tsi jest po prostu słaba. Gdyby tylko Brann nie miał nad nią takiej władzy...

— Wówczas otrzymałaby to, czego pragnie. Jednak w obecnej sytuacji oznaczałoby to tylko pomnożenie sił

Branna, a tym samym zniszczenie naszego zamku i wszystkiego, co się tu znajduje.

— Kim jest Brann? — zapytał Miller. — Tak wiele o nim słyszałem, lecz nigdy nie udało mi się go zobaczyć.

Orelle pokręciła przecząco głową. Małe dzwoneczki, które nosiła w uszach, rozbrzmiały czystym, delikatnym dźwiękiem.

— Nikt go nie widział prócz Tsi. Tylko ona wie, jaki jest Brann naprawdę. Ukrywa się zawsze w ciemnościach. Nawet swych najbliższych przyjaciół przyjmuje schowany przed ich wzrokiem za zasłoną kurtyn. Przypuszczam, że tkwi w tym jakaś tajemnica. Osobiście wolałabym widzieć go martwego. Brann to wcielenie zła, jest groźny i pozbawiony wszelkich skrupułów. Nie wiem, dlaczego obrał właśnie nas za cel swych ataków, lecz odtąd nie pozostaje nam nic innego jak walczyć lub dać się zabić.

Zapadła długa chwila ciszy.

— Zanim udałem się do waszego zamku, przemówił do mnie Brann — przyznał się nieoczekiwanie nawet dla samego siebie Miller. — Powiedział, że łatwe zwycięstwa nie dają mu satysfakcji. Dlatego zgodził się, bym przybył do was jako dodatkowy przeciwnik w waszym obozie.

— Tak powiedział — zdziwiła się Orelle. — Naprawdę? A ja myślałam, że Tsi przysłała cię tutaj, by rozzłościć Branna, a tym samym zmusić go do skuteczniejszych ataków przeciwko nam. Jesteś potrzebny Brannowi do jego eksperymentów, gotów jest więc zrobić wszystko, by cię odzyskać. Niszcząc zaś nas dałby tym samym Tsi możliwość zawładnięcia naszą Potęgą. Czyż nie tak, Llesie? — zapytała wuja.

Llesie milczał, zastanawiając się nad czymś.

— Nie zapominaj, że Tsi mogła zaopatrzyć go w tajną

broń, której nie odkryliśmy jeszcze, niezależnie od naszych rutynowych poszukiwań. Jego twarz wryła mi się w pamięć, pewien jestem, że oznacza niebezpieczeństwo dla naszego świata.

— Już mówiłem, że nie przybyłem tu w złych zamiarach — zapewnił raz jeszcze Miller. — Co oznacza wasza Potęga? — zapytał.

Nie doczekał się odpowiedzi. Nagle, nieoczekiwanie dla wszystkich, powietrze przeszył ogłuszający huk, a z jego ręki eksplodował wysokim płomieniem ładunek wybuchowy.

— Zegarek — pomyślał z przerażeniem.

Llesie, który stał tuż obok, został porażony najdotkliwiej. Upadł na kolana, a jego pół-przytomna twarz okryła się śmiertelną bledością. Płomienista linia, wyznaczająca pole rażenia, przylgnęła ciasnym konturem do jego ciała. Orelle trzymała się na nogach, choć najwyraźniej znajdowała się w stanie głębokiego szoku. Miller spróbował poruszyć się, lecz bez rezultatu, jakby wrósł w ziemię. Z jego ręki wciąż emanowała silnym strumieniem nieznaną energią, kumulując się wokół Llesie. Na twarzy Orelle odmalowała się nadludzka koncentracja woli. Popłynął od niej prąd energii, która opadła na płomienie i zdusiła je ostatecznie. Llesie, wciąż nie dając najmniejszego znaku życia, leżał nieruchomo na ziemi. Orelle spojrzała na Millera z nienawiścią, poruszyła się idąc w' jego kierunku, pełna furii i chęci odwetu.

— Orelle — krzyknął z desperacją — nie rób tego! Jestem niewinny, zapewniam Cię!

Czuł jak mściwy wzrok Orelle odbiera mu siły, paraliżuje fizycznie i mentalnie. Nieoczekiwanie w jego świadomości zaistniała obca myśl, formułowała się powoli

w po-szczególne słowa, a potem powędrowała w kierunku nacierającej Orelle. Zamarł w oczekiwaniu.

— Zaczekaj — przemówił cudzym głosem. — To ja, Llesie.

Orelle znieruchomiła nie wiedząc, co ma uczynić. Rozpoznawała wprawdzie głos wuja, lecz jego bezwładne ciało wskazywało, że powinien znajdować się w stanie głębokiej apatii, lub co gorsze agonii.

— Bransoletka na rękę Millera — powiedział głos — zabierz ją, Orelle.

Orelle nie poruszyła się nawet, a jednak bransoletka rozpięła się samoistnie i powędrowała w powietrzu prosto do jej dłoni.

— Llesie? — powiedziała niepewnie Orelle, patrząc Millerowi w oczy. — Czy mnie słyszysz?

— Tak — padła odpowiedź rozbrzmiewając najpierw w umyśle Millera, a po ułamku sekundy docierając do Orelle. — Zaczekaj chwilę. Najpierw muszę porozumieć się z Mille-rem.

Kontakt urwał się. Orelle pochyliła się nad ciałem Llesie, badając je wnikliwie.

— Żyje — stwierdziła z ulgą. — Przypuszczam, że jest to rodzaj transu.

W tym czasie Miller usłyszał ponownie rozbrzmiewające w nim myśli Llesie.

— Pozwól, że przez chwilę posłużę się tobą jako moim pośrednikiem — powiedział.

Miller zwrócił się do Orelle, poddając się całkowicie woli rozmówcy.

— To sprawa Brauna — powtórzył za Llesie. - Umieścił na ciele Millera broń, której nie wykryły nasze najczulsze odbiorniki. Co tyczy się mnie, to oczywiście

istnieję, choć poza swym ciałem. Mam nadzieję, że to stan przejściowy. Jedyne kontakty możliwe są poprzez Millera. Zanim moje ciało odzyska życiową energię, której pozbawił mnie ten wybuch, upływie jeszcze jakiś czas. Do tego momentu muszę pogрузić się we śnie i odpocząć. Czuję się bardzo wyczerpany. Myślę, że Brann wie o tym i spróbuje to wykorzystać.

— Możemy go powstrzymać! — wykrzyknęła bojowo Orelle.

— Kiedy jestem z wami, tak. Ale w tej sytuacji... Póki co pamiętajcie, że Miller jest jedyną drogą porozumienia. Brann zniszczy go, jeśli uzna to za konieczne. Postaram się być z wami, lecz teraz chcę odpocząć i przemyśleć raz jeszcze to wszystko.

Kontakt telepatyczny urwał się. Miller odzyskał znów kontrolę nad sobą, przestając być medium, przekazującym cudze myśli.

Orelle obserwowała go z uwagą.

— Czy przekazałeś już wszystko Brannowi? — zapytała szyderczo.

— Zapewniam cię, że nic nie wiedziałem o bombie, umieszczonej w zegarku. Tsi powiedziała, że ma on nam ułatwić porozumienie, jeśli zaszłaby taka potrzeba. Zrozum ja naprawdę chcę wam pomóc walczyć z Brannem, jeśli tylko się wam przydam.

Orelle podeszła bliżej, opierając dłonie na jego ramionach.

— Popatrz mi prosto w oczy — poprosiła — powiedz prawdę — czy ty jesteś Brann?

Sygnal

Na firmamencie nocy połyskiwały jaskrawię tysiące złotych gwiazd. Miller przyglądał się im badawczo, zdziwiony nagłym przebudzeniem. Dawniej gwiazdy były dla niego błyszczącymi punktami, rozrzuconymi po niebie. Teraz przeszywał je swym wzrokiem na wskroś, widząc ich strukturę i stadium rozwoju, przekraczające czasami nawet jego możliwości poznania. Dostrzegał kształt kontynentów i mórz, linie gór, wyżyn i nizin, niezależnie od odległości, która dzieliła go od gwiazd. Odczuwał nie znaną mu dotąd przynależność do wszechświata. Obserwował łączenie się fal dźwięku i światła w niewyobrażalną dla zwykłego śmiertelnika kompozycję, symfonię chwały, rozbrzmiewającą w bezgranicznych przestrzeniach kosmosu. Ludzie słyszeli kiedyś tę muzykę, pomyślał Miller na granicy jawy i snu, do dziś przechowują w głębinach duszy jej echo. Pograżony w zamyśleniu poczuł jak w jego świadomości pojawia się nagle obecność Llesie.

— Miller — usłyszał nawoływanie i znów doznał wrażenia, że jest duchowo rozdwojony. Istniejący w dwóch psychicznych ośrodkach, umieszczonych w jednym mózgu.

— Tak, Llesie — odrzekł — słyszę cię.

— Chcę porozmawiać z tobą — powiedział Llesie. — Opowiedz mi, co działo się tu ostatnio? Czy jesteś bezpieczny?

Miller uśmiechnął się do siebie. Wciąż jeszcze nie zdołał przyzwycząić się do tych nie-zwykłych rozmów.

— Wszystko jest w porządku, Llesie — odpowiedział. - Posłuchaj, raz jeszcze chciałem cię

zapewnić, że nic nie mam wspólnego z bombą. Ja nie miałem zamiaru was zaatakować, uwierz mi!

— Wierzę ci, choć nie bez pewnych zastrzeżeń — powiedział poważnie. — A co z Orelle? — zapytał po chwili.

— Orelle — roześmiał się Miller — ona wyobraziła sobie, że to ja jestem Brann. Może wciąż jeszcze tak myśli, choć zrobiłem wszystko, by ją przekonać.

— Nie mamy czasu do stracenia, Miller. Trzeba coś zrobić, działać. Mam przeczucie grożącego nam niebezpieczeństwa, które nie opuszcza mnie od chwili twego pojawienia się w naszym zamku. Nie twierdzę, że pochodzi ono od ciebie, lecz pewien jestem, że w jakiś sposób jest z tobą związane. Lecz mimo to ufam ci, Miller. Mam nadzieję, że nie okaże się to moim błędem.

Miller wstał powoli i podszedł do szklanej ściany zamku. Od posiadłości Branna dzieliła ich głęboka dolina, którą, jak wspominał z rozbawieniem, przebył kiedyś siedmiomilowym krokiem. W oddali dostrzegł migocące światła.

— Widzę w ciemnościach! — wykrzyknął zdziwiony tą nową umiejętnością.

— Tak, ale nie trać czasu — upomniał go Llesie. — Skieruj swój wzrok na lewo... teraz w górę... daj mi popatrzeć twoimi oczami... Teraz udaj się do Przeglądu Czasu... Pośpiesz się! Brann gotowy jest na wszystko, by nas zniszczyć! On chce ciebie, rozumiesz? Twoje przybycie tutaj stanowi punkt zwrotny w wojnie, która trwa między nami od wielu, wielu stuleci. Brann nie podda się, dopóki nie odzyska ciebie, lub zginie. Przyszłość w znacznym stopniu zależy od nas, Miller. Nie strażymy tej szansy.

Udali się pośpiesznie do środkowej części zamku. Znajdowało się tu specjalne pomieszczenie, uwieńczone wysoką, szklaną kopułą, przez którą połyskiwały jaskrawie gwiazdy. Ich światło załamywało się tutaj, tworząc zmieniające się wciąż, płynne refleksy.

Jak w soczewce rozczepiał się tu strumień czasu... Świetliste refleksy przechodziły w mozaikę obrazów, które ukazywały przez chwilę przyszłość i przeszłość, by zatopić się potem w bezmiarze wieczności. Miller dostrzegł wśród nich pastelową postać Tsi, patrzącą na niego w milczeniu. Następnie zobaczył siebie, zmagającego się z czymś atakującym go, w swym kształcie przypominającego powietrzną wieżę. Nie zdążył się przyjrzeć temu zjawisku, gdyż wizja rozmazała się nagle i znikła.

— Czy to naprawdę przyszłość — zapytał, nie dowierzając własnym oczom.

— Niezupełnie — odpowiedział po chwili milczenia Llesie. — To przybliżenie przyszłości. Który z obrazów okaże się rzeczywistym, a który tylko mirażem, tego nikt nie wie. Można jednak odczytać z nich niebezpieczeństwo, a co za tym idzie, przygotować się na taką ewentualność. Nie łatwo jest poznać nieznaną, zakończył filozoficznie.

Przed ich oczyma wyrósł kolejny obraz, tym razem przedstawiający moment zniszczenia. Zobaczył jak zamek Orelle rozpada się w ruinę... Intuicyjnie wyczuł grożące im niebezpieczeństwo.

— Brann szykuje jakąś zasadzkę — stwierdził Llesie.

Jaką? — chciał upewnić się Miller, oszołomiony widzianymi przez chwilę obrazami.

— Nie jestem jeszcze pewien — odrzekł Llesie. — Wiem jednak, że jest to coś naprawdę groźnego.

— Więc zaatakujmy go jako pierwsi! — wykrzyknął

Miller. — Po co mamy czekać na jego ruch? Czy nie lepiej po prostu go uprzedzić?

— Próbowaliśmy już wielokrotnie. Zamek Branna jest twierdzą nie do zdobycia.

— Zawsze jest jakaś możliwość — zaproponował Miller — jakiś fortel. Trzeba to obmyśleć. Mam zresztą pewien pomysł — powiedział tajemniczo — ale nie mogę jeszcze zdradzić ci szczegółów.

— Nie zdradzaj — usłyszeli nieoczekiwanie głos Orelle. — Chyba, że to właśnie ty jesteś Brann!

— Jak długo tu jesteś, dziecko — zapytał Llesie z troską w głosie.

— Wystarczająco długo, by dowiedzieć się o grożącym nam niebezpieczeństwie — odpowiedziała. — Myślę, że powinniśmy go zabić. — Wskazała na Millera.

— Nie zapominaj, że jest nam potrzebny — przerwał jej Llesie. — Bez niego nie moglibyśmy się porozumiewać. Poza tym Miller może się nam jeszcze przydać.

— Wydaje mi się, że jest on w zмовie z Brannem - odparła Orelle. — Boję się — przyznała prawie wstydliwie.

Nagle, nieoczekiwanie dla wszystkich, przestrzeń wypełniła się jasnym światłem, oświetlającym jaskrawo nawet najdalsze części zamku.

— Sygnał! — wykrzyknęła z przerażeniem Orelle. — To coś jest już całkiem blisko.

Światło zgasło, pograżając zamek w ciemnościach.

Inwazja

Pośród otaczającej ich ciemności dostrzegli zbliżający się, nieznany obiekt, przypominający swym kształtem i strukturą mglisty obłok. W jego wnętrzu połyskiwały raz po raz tajemniczym blaskiem linie piorunów.

— Domyślam się, co to jest — przerwał milczenie Llesie. — To samoprogramująca się broń nowej generacji.

Tymczasem od „chmury” odrywały się poszczególne jej fragmenty, przybierając momentalnie różnorodne, geometryczne kształty.

— Gdy wyodrębnią się ostatecznie, będą twardsze od żelaza — powiedział posepnie Llesie. — Czeka nas trudne zadanie!

— Co można zrobić? — zapytał niecierpliwie Miller. — Jak to powstrzymać?

— Najpierw powinniśmy się dowiedzieć na jakiej zasadzie to funkcjonuje — wyjaśnił mu Llesie. — Tylko wówczas będziemy w stanie się bronić.

W międzyczasie obiekt dotarł już do ścian zamku, gdzie zatrzymał się, jakby w oczekiwaniu dalszych dyspozycji. Powoli zmienił swą gazową strukturę, przemieniając się w materię, przypominającą skryształizowaną stal. Po chwili uderzył z ogromną siłą w najbliższą bramę, taranując ją bez trudu. Obiekt przeniknął do środka.

— Pośpiesz się — powiedziała Orelle, chwyciwszy Millera za rękę. — Chodź za mną!

Zanurzyli się w szklanym labiryncie zamku. Prowadził ich Llesie, wydając krótkie, lecz stanowcze rozkazy, które Miller przekazywał później Orelle.

— Nie jestem pewien, czy zdołamy to zwalczyć — powiedział, gdy obiekt przemienił się ponownie w gazową substancję, rozprzestrzeniającą się błyskawicznie po

korytarzach i komnatach, obezwładniając znajdujących się tam ludzi.

— To podąża w kierunku Potęgi — wyszeptała z przerażeniem Orelle.

— Musimy być tam pierwsi — powiedział ustami Millera Llesie. — Nie mamy wiele czasu.

Przed nimi rozciągał się niczym nie oświetlony fragment zamku, zbudowany w kształcie zwartego czworoboku, o opalizujących lekko ścianach, w których dostrzegli własne odbicia. Orelle położyła na nich swe dłonie i skoncentrowała się, zamykając oczy. Na ciemnej powierzchni ukazała się szczelina, która po chwili rozszerzyła się na tyle, że mogli przez nią przeniknąć do wnętrza czworoboku. Wewnętrzne ściany pomieszczenia odzwierciedlały rozgwieżdżone niebo, tworząc coś w rodzaju minikosmosu. Ich światło skupiało się w niewielkiej skrzynce, umieszczonej w centralnej części budowli. Miller odczuł emanującą z niej niewidzialną energię, która powodowała częściowe zdrtwienie jego mięśni.

— Potęga — szepnęła Orelle z westchnieniem.

Podszedł bliżej, nie mogąc oderwać wzroku od jej rozjarzonej powierzchni. Oto moment, na który czekał tak długo, spełnienie jego planów i marzeń. Pomyślał o Sładzie. Gdyby tylko wiedział, że znalazł się tak blisko celu!

— Pośpiesz się — ponaglił go Llesie. — Będiesz jeszcze mieć czas, by się dokładnie przyjrzeć. A na razie — do dzieła! Podejdź do tylnej ściany — padł rozkaz. — Znajduje się tam źródło niebieskiego światła...

Gdy powrócił do świadomości, nie pamiętał nawet czynności, jakie wykonywał, kontrolowany przez Llesie.

— Myślę, że zdołamy powstrzymać Branna, ale

kosztem utraty znacznej części naszej energii — powiedział po chwili Llesie. — Istnieje jednak dodatkowe niebezpieczeństwo. Jeśli Brannowi uda się odtworzyć obiekt, znajdziemy się na przegranych pozycjach.

— Jeśli mi zaufasz — rzekł Miller, przewyciężając ogarniające go zmęczenie — proponuję ci pewien plan.

— Mów! — rozkazał Llesie.

— Przedtem powiedz mi, czy jesteś w stanie zbudować duplikat Potęgi?

— Tak, ale zajęłoby mi to sporo czasu. Myślę, że zbyt dużo, by powstrzymać kolejny atak — odparł Llesie po chwili zastanowienia.

— W takim razie nie pozostaje nam chyba nic innego, jak oddać Brannowi Potęgę! — zawołał z gniewem Miller.

— A jednak cały czas mamy jeszcze szanse — dodał po chwili. - Pozwólmy Brannowi ukraść skarb, wykorzystajmy jego zaślepienie i podstępnie dostaniemy się do jego zamku.

— Jak dotąd nikomu się to nie udało — powiedziała Orelle.

— Bo nigdy Brann nie był tak bardzo pewny zwycięstwa jak teraz! — wyjaśnił Miller. — Poza tym nie mamy wyboru. Chyba, że masz inny pomysł.

Dziewczyna potrząsnęła przecząco głową, spoglądając na niego z niedowierzaniem.

— Wciąż mi nie ufasz? — zapytał.

— A dlaczego powinnam ci ufać? — odpowiedziała pytaniem na pytanie.

— Ponieważ ja nie jestem Brann! — wykrzyknął zdenerwowany jej uporem. — Jeśli zdołałabyś przeniknąć do moich myśli, przekonałabyś się, że to prawda.

— Spróbujmy — podchwyciła Orelle. — Przy twojej

pomocy być może zdołam to zrobić.

Nie pozostawało mu nic innego, jak zaakceptować ten nieoczekiwany warunek. Nie było to łatwe! Przestraszył się wyjawienia swych sekretnych planów, lecz nie miał wyboru. Orelle podeszła blisko, patrząc mu prosto w oczy. Zauważył, że jej źrenice rozszerzają się nienaturalnie, przysłaniając ostatecznie całe jego pole widzenia. Czuł, jak jej wzrok przenika w głąb jego świadomości, odkrywa tajniki jego jestestwa, rozszyfrowuje myśli i zamierzenia, z których sam jeszcze nie zdaje sobie w pełni sprawy. Gdy się ocknął, zauważył poważną, aczkolwiek zadowoloną twarz dziewczyny.

— Dziękuję ci — powiedziała. — Teraz wiem, że na pewno nie jesteś tym, za kogo cię uważałam. Znam też powód, dla którego tutaj przybyłeś! Zamierzasz zawładnąć Potęgą i wziąć ją do swego świata!

Wziąć ją ze sobą — zdziwił się Llesie — czy nie rozumiesz, że... — nie dokończył swej myśli. — No dobrze — dodał — nie mamy teraz czasu się nad tym zastanawiać.

Miller poczuł się nieswojo. Rozmawiali o nim jak o nieobecny.

— Przedstaw swój plan, gdy dostaniemy się już do zamku — powiedział w końcu Llesie.

— Przede wszystkim musimy zdemaskować Branna — powiedział pośpiesznie Miller. — Myślę, że jeśli ukrywa się tak konsekwentnie, musi mieć ku temu jakieś specjalne powody. Jeśli znajdziemy się z nim twarz w twarz, kto wie, jaki będzie wynik?

— Kogo masz na myśli mówiąc „my”? — przerwała mu Orelle.

— Siebie i Llesiego — odpowiedział.

— I mnie — w jej głosie przebijała stanowczość i

determinacja. — Idę z wami!

— To może być niebezpieczne — ostrzegł ją Miller.

— Nie bardziej niż pozostać tu, oczekując kolejnego ataku. Poza tym Tsi jest moją siostrą. Być może moja obecność okaże się bardzo przydatna. Pomimo różnic w charakterze miałam zawsze na nią pewien wpływ.

— Dobrze — zdecydował Llesie.

Po chwili usłyszeli narastający w pobliżu metaliczny dźwięk.

— Zbliży się — szepnął Llesie. — Uwaga! — ostrzegł — ukrywamy się! Nie poddamy się bez walki — dodał.

Walka Gigantów

Obserwowali jak metaliczne cielsko, ukrywające w swym wnętrzu kosmiczną Potęgę posuwało się powoli w kierunku posiadłości Branna. Nic zauważeni, przemykali się w mroku za nim.

Nie mamy czasu do stracenia — odezwał się Llesie. - Jeśli Brann zawładnie Potęgą, będzie całkowicie ponad naszą kontrolą.

— Jak sądzisz, jak szybko uda mu się poznać sposób jej funkcjonowania? — zapytał Miller.

— Jest nader prosty — odrzekł Llesie. — Wystarczy tylko wyrazić telepatycznie swe życzenie, by się zmaterializowało. Zastanawia mnie bardziej, w jaki sposób Brann zamierza wpuścić „to” na teren swej posiadłości.

W tym momencie obiekt przywarł ciasno do

otaczającego zamek muru. Emanował wciąż zmieniającymi się barwami, skurczając się i rozkurczając na przemian. Powierzchnia muru rozwarła się wówczas bezszelestnie, ukazując mroczne wnętrze.

— Teraz! — wykrzyknęła Orelle. — Za nim!

Wtargnęli do zamku, ukrywając się w ciemnościach przed wzrokiem Branna.

— Czuję niebezpieczeństwo — powiedział nagle Llesie. — Wstrzymajcie oddech — rozkazał.

Materia zamku w zetknięciu z zewnętrznym powietrzem stawała się samoistnie trudną do pokonania przeszkodą. Teżala uniemożliwiając im poruszanie i grożąc uszkodzeniem narządów oddychania. Dopiero zwarcie się szczeliny przywróciło normalny stan, pozwalający na normalne funkcjonowanie ich organizmów. Przed nimi poruszał się powoli obiekt, który znowu przeistoczył się w ciało gazowe, przypominające dym. W jego wnętrzu połyskiwała wyraźnie Potęga, emanując łatwo wyczuwalną energią.

— Bądźmy czujni — uprzedził ich Llesie. — Brann jest zbyt perfidny, by nie zaskoczyć nas jakąś nową niespodzianką...

Nie zdążył jeszcze zakończyć swej myśli, gdy zerwał się gwałtowny wiatr, unosząc ich w powietrze. Pograżyli się w ciemności.

Pośrodku okrągłej sali, zakończonej kolumnadą, oddzielającą część zasłoniętą kurtyna-mi, siedziała Tsi. Na dziwnym instrumencie wygrywała niespokojną i tęskną melodię. Pod ścianą znajdował się nieruchomy już obiekt. W pokoju zgromadziła się cała świta Brauna.

— Gdzie on jest? — wykrzyknął ktoś z

niecierpliwością.

Tsi uśmiechnęła się nieznacznie.

— Zjawi się tu niebawem — odpowiedziała. —
Oczekuje gości — dodała.

— Zbudź go! — wykrzyknął znów ktoś z tłumu.

Pastelowa dziewczyna podniosła się i skierowała w stronę zasłon. W tym samym momencie Miller odczuł jak aktywizuje się w nim ogromna energia, pochodząca od Llesie. Odczuwał ją niemal fizycznie, choć nie kontrolował. Obiekt, który do tej pory spoczywał nieruchomo, uniósł się nieoczekiwanie i przesunął bliżej Tsi, po czym rozżarzył się i zapłonął. W powietrzu rozsypały się popioły, a u stóp dziewczyny opadła gwiazdzista bryła Potęgi.

— Najlepszą formą obrony jest atak — powiedział szyderczo Llesie.

Tsi zadrżała, odwróciła się i spojrzała w ich kierunku.

— Witaj w zamku Branna — zwróciła się bezpośrednio do Orelle. — Czy mam zawołać gospodarza, by przyjął cię osobiście? — Zapytała uśmiechając się złowrogo.

Orelle wydawała się panować nad sobą całkowicie.

— Zrobisz to, co uznasz za stosowne. Pamiętaj jednak, by być w zgodzie z własnym sumieniem — powiedziała poważnie.

Na twarzy Tsi odmalowała się niepewność i wahanie. Powaga z jaką przemawiała Orelle wywierała na siostrze silne wrażenie.

Miller zrozumiał teraz, dlaczego Orelle twierdziła, iż może okazać się niezbędną przy pertraktacjach. Jaka jest Tsi, zastanowił się, obserwując zachowanie dziewczyny. Wydawało mu się, że Tsi nie była zła i zepsuta jak Brann.

Orelle miała rację, dziewczyna była po prostu słaba. Obecnie zaś jej chwiejny charakter mógł okazać się dla nich niezwykle przydatnym.

Tymczasem zebrana wokoło świta Branna zaczęła się wyraźnie niepokoić.

— Brann! Brann! — wołali. — Zbudź się! Masz gości!

Tsi odwróciła się gwałtownie i wbiegła za ukrywające Branna zasłony. Miller podążył za nią, nie przekraczając jednak jeszcze zakazanego progu.

— Gdzie jesteś Brann!? — wykrzyknął. — Pokaż się! Chyba się nie lękasz?

Milczenie było jedyną odpowiedzią.

— Przynieśliśmy ci Potęgę, której tak pożądasz — wskazał na leżącą u jego stóp bryłę. — Czy już jej nie potrzebujesz? — zapytał ironicznie.

W powietrzu rozległ się dobrze mu znany szyderczy śmiech Branna. Jego świta odpowiedziała entuzjastycznie.

— Dobrze więc — kontynuował Miller — ja ci ją podam własnoręcznie!

Nie zdążył jeszcze pochylić się nad Potęgą, gdy ziemia zdrząła mu pod stopami, a wszystko dookoła zawirowało. Upadł utraciwszy na chwilę kontrolę nad swym ciałem. Ogarnęła go jednak fala energii płynącej od strony Orelle, która przywróciła mu siły i chęć działania.

Brann jednak nie rezygnował. Miller poczuł jak powietrze wokół niego zaczyna nagle tężeć, a rosnące ciśnienie przygniata go do ziemi. Zerwał się nieoczekiwanie wiatr, uderzając silnie w powierzchnię zasłon, wybrzuszając je i unosząc lekko w górę. Śmiech Branna, powtarzany echem, rozbrzmiewał w całym zamku.

Miller zamknął oczy. Odczuwał w sobie narastającą

siłę, pochodzącą od Llesie. Jego ciało wyprężyło się z wysiłku, a wola skoncentrowała się na czekającej go walce. Patrzył jak pod jego wzrokiem odrywa się od posadzki ogromny kawał marmuru i unosi się niczym piórko w powietrze. Powoli nacierał na zasłoniętą kurtynami kryjówkę Branna. Ciśnienie powietrza, odbierające mu oddech, ustąpiło. Poczul się znowu wolny i pełen energii. W tym samym momencie oderwał się spory fragment schodów, uniósł się w górę i natarł na znajdujący się tam marmurowy pocisk. Zderzyły się ze sobą jak dwaj zapaśnicy. Po chwili zmagania, opadły bezwładnie na ziemię. Remis... Nie na długo jednak! Llesie, kierował Millerem, niezależnie od jego woli. Jedna z pobliskich kolumn pękła z hukiem, pochyliła się i zawisła nieruchomo nad posadzką. Po chwili ruszyła w kierunku ukrytego przed ich wzrokiem Branna. Jednocześnie marmurowe sklepienie pokryło się nagle żyłkami pęknięć, a potem oderwały się od niego potężne, kamienne bryły, gotowe ruszyć do ataku. Miller zamarł, przerażony i zachwycony zarazem swą siłą.

Świta Branna zamarła z przestachu, po czym ruszyła do ucieczki. Piekielny śmiech, wypełniający do tej pory powietrzne przestrzenie zamku, zgasł, rozpluwając się w nieoczekiwanej ciszy.

— Jestem już zmęczony, Miller — szepnął Llesie. — Siły mnie opuszczają...

— Nie martw się — odpowiedział Miller. — Ruszamy do ataku!

Kamienny deszcz ruszył na zasłonę, która wygięła się i opadła. Po prawie pustym pomieszczeniu miotał się histerycznie Brann. Miał na sobie czarne, lekko błyszczące ubranie. Odwrócił się nagle i Miller ujrzał przed sobą

twarz, wykrzywioną w grymasie nienawiści, gniewu i rozpacz. To nie był Brann... To była Tsi, przebrana za mężczyznę i mówiąca męskim głosem!

Schizofrenia, pomyślał Miller patrząc na dziewczynę, rozdwojenie jaźni!

— Więc poznaliście już Branna — powiedziała Tsi nieswoim głosem. — Nie ujdzie wam to bezkarnie! Lecz zanim was zabiję, powiedzcie mi, gdzie jest Tsi?

Miller zadrżał nie wiedząc czy bardziej ze współczucia, czy z przestachu.

Ogień

Miller zrozumiał również, że ani Llesie ani Orelle nie będą w stanie skutecznie walczyć z Tsi-Brannem. Psychiczne kalectwo dziewczyny nie tyle ich poruszyło, co wykraczało poza zakres pojęć, jakie potrafili zrozumieć. Rasa, wydająca na świat wszechwładnych gigantów, powinna być, przynajmniej teoretycznie, wolna od podobnych anomalii. A jednak każda reguła ma swoje wyjątki...

W skrócie przekazał swym towarzyszom całą wiedzę, jaką posiadał na ten temat. Najważniejsze było, że Brann nie zdawał sobie sprawy z psychicznego pokrewieństwa, łączącego go z Tsi i na odwrót, Tsi nieświadoma była zapewne swego związku z Brannem.

— Więc wróciłeś — zwrócił się schizofrenik do Millera. — Pułapka, którą przy twojej pomocy zastawiłem na Llesie, nie była dostatecznie dobrze skonstruowana,

niestety... no cóż, postaram się naprawić już wkrótce ten błąd! — powiedział wybuchając szalonym, szyderczym śmiechem.

Miller poczuł jak pot spływa po jego ciele nieprzerwanymi strużkami. Muszę go powstrzymać, pomyślał błyskawicznie.

— Zaczekaj — wykrzyknął — a powiem ci, gdzie jest Tsi!

Na twarzy Branna odmalowało się przechodzące w zniecierpliwienie wahanie.

— Gdzie? — zapytał gardłowym głosem, zdradzającym najwyższy stopień emocjonalnego napięcia. — Gdzie ona jest?

— To ty jesteś... — powiedział Miller i zmienił zdanie. Brann i tak nie uwierzyłby mu.

— Odpowiedz — naciskał Brann głosem pełnym szaleństwa.

Kątem oka zauważył jak Orelle pobladła z niepokoju, wstrzymując oddech. Miller wpadł jednak na inny pomysł. Zdjął z ręki zegarek i podał go Brannowi.

— Weź to — powiedział. — Nie obawiaj się, nie ma w nim nic, co mogłoby cię zranić. To po prostu zegarek.

Brann-Tsi trwał bez ruchu.

— Po co mam tracić czas na twoje głupie sztuczki — powiedział, siląc się na spokój. Jak widać pragnienie odnalezienia Tsi było ponad wszystkim.

— Jeśli chcesz zobaczyć Tsi, powinienesz to zrobić — przekonywał go Miller stano-wczo. Zegarek wysunął się sam z ręki Millera i powędrował w kierunku Branna.

— Teraz odwróć go i zbliż do swej twarzy — mówił Miller. — Otwórz oczy!

— Nie — zaprotestował Brann — nie znoszę światła!

— Otwórz! — rozkazał Miller. — Tsi czeka na ciebie...

Brann powoli uchylił powieki, krzywiąc się przy tym boleśnie. Popatrzył na polerowaną powierzchnię zegarka, dostrzegając odbijającą się w niej twarz... Czyją? Tsi? Nie! Swoją...

Przerażone oczy wydawały się zarazem zafascynowane zastanym widokiem. Brann po raz pierwszy od czasu swego niezrozumiałego pojawienia się na świecie zobaczył tę, której poszukiwał tak uparcie i wytrwale. Tsi zaś ujrzała w tym samym momencie swą twarz, tak odmienną od jej zwykłego wyglądu, twarz, która już nie należała do niej, a do kogoś zupełnie obcego, po części znienawidzonego przez nią samą. Dla Tsi, wychowanej w kulcie doskonałości, odkrycie to miało wymiar prawdziwej katastrofy.

Pojęcie dobra i zła zajmowało w świadomości Tsi równorzędne miejsce. Pewnego, tragicznego w skutkach dnia, wyimaginowana istota, uosabiająca właściwe Tsi zło — Brann — wyodrębniła się w jej świadomości i rozpoczęła swój niejako samodzielny żywot. Dzie-wczyna okazała się zbyt słaba, by zapanować nad zaistniałą sytuacją. Czując niemal fizycznie obecność Branna, słysząc jego głos, a nawet czasami rozmawiając z nim telepatycznie, Tsi nie potrafiła nigdy mu się przeciwstawić. Stawała się okrutna i nienasycona w swej żądzy zniszczenia. Niezależnie od siebie stawała się Brannem...

— Chcesz mnie zniszczyć! — wykrzyknęła ta dziwna istota podwójnym głosem. — Bądź przeklęty, ty i cały twój ród!

Wymawiając te słowa spojrzała na niego dziwnym, hipnotyzującym wzrokiem, pod wpływem którego Miller

tracił stopniowo kontakt ze światem zewnętrznym, zatapiając się w głębinie niespokojnych, fioletowych oczu.

— Llesie — szepnął, łapiąc się rozpaczliwie ostatnich nici świadomości — pomóż... szybko...

Pomyślał, że on również jest na swój sposób „rozdwojony”, noszący w jednym ciele dwie uzupełniające się osobowości.

Spierali się wzajemnie w pozornej równowadze. Nagle Tsi poruszyła się niespokojnie i wykrzykując coś niezrozumiałego podbiegła do leżącej w pobliżu Potęgi. Nie mogąc pogodzić się ze swym podwójnym istnieniem, a jednocześnie nie zdobywając przewagi w toczącej się walce, Tsi postanowiła umrzeć. Jej umysł emanował tylko tym jednym pragnieniem. Potęga roziskrzyła się gwiazdnym blaskiem i wypuściła ze swego wnętrza w kierunku dzie-wczyny świetlny strumień, który otoczył ją gęstym całunem i unicestwił...

Zaklęte złoto

Miller siedział pochylony, z twarzą ukrytą w dłoniach. Nie wiedział już ile czasu upły-nęło od tamtych wydarzeń. Orelle podeszła do niego uśmiechając się nieznacznie, zachowując jednak powagę.

— Jak się czujesz? — zapytała. — Jesteśmy bezpieczni, Miller, i to dzięki tobie. Prawdę powiedziawszy jaki okrutny musi być twój świat, jeśli dopuszcza istnienie takich anomalii jak schizofrenia. Ocaliłeś nas, mając określoną wiedzę. Dzięki ci. Proś o co chcesz, Miller! —

powiedziała.

Instynktownie spojrzął w stronę Potęgi.

Orelle spojrzała na niego smutnym wzrokiem.

— Jeśli chcesz zrobimy dla ciebie jej duplikat. Jednak musisz wiedzieć, że nie ma to większego sensu.

Nie rozumiał, co chciała przez to powiedzieć. Orelle jednak milczała uparcie. Rozejrzał się wówczas po otaczającym ich krajobrazie, pełnym wyraźnych, czystych barw i dźwięków.

— Nie potrzebuję duplikatu Potęgi, ponieważ nie zamierzam was opuścić. Chcę tu pozostać, żyć w waszym świecie.

Orelle pokręciła przecząco głową. Jej piękne oczy nabrały jeszcze smutniejszego wyrazu.

— O co chodzi? — zapytał zaniepokojony Miller.

Usłyszał od Llesie odpowiedź, która ostatecznie wyjaśniła jego położenie.

— Więc zrozumiałeś, że jest to zaklęte złoto, które umyka ci z rąk, gdy się do niego zbliżyć — powiedział Belg.

Miller spojrzął na niego pustym wzrokiem. Bez słowa przyjął podany mu kieliszek. Zapadła długa chwila ciszy.

— Opowiedz mi — przerwał ją Van Hornung — czy to wszystko jeszcze tam istnieje: zamki, muzyka, kolory... ludzie, którzy mogą sięgać gwiazd...

— Nie chciałem wierzyć w słowa Llesie — rzekł nie słysząc jego pytania Miller — odmawiałem zaakceptowania całej prawdy, która nagle okazała się zbyt ciężka.

— Istnieją legendy — odezwał się Belg — o ludziach, którzy dotarli do Raju, by być z niego

wyrzuconymi... Nie jesteśmy ani pierwszymi, ani zapewne ostatnimi spośród nich.

Oczy Millera rozpały się ognikami gniewu.

— Nie mogliśmy tam pozostać! — wykrzyknął. — Strukturalne zmiany w naszych organizmach nie trwały wiecznie. Po jakimś czasie musiały ustąpić, a my tym samym musie-liśmy powrócić do stanu początkowego.

— Tak ciężko jest żyć z świadomością, że miało się naprawdę wiele, a teraz zostało z tego tylko wspomnienie — stwierdził Belg.

Miller przytaknął ze zrozumieniem. Powrót do dawnego życia okazał się rzeczywiście nadzwyczaj trudny. Czuł się jak ślepiec, któremu odebrano wzrok, by nigdy więcej nie mógł cieszyć się pięknem światła. Był martwy, martwy za życia, tak jak przepowiadał mu kiedyś Van Hornung. Wciąż pamiętał chwilę pożegnania. Odchodził, pozostawiając za sobą cały ich świat, Orelle, Llesie, szklany zamek... Potem ta rzeczywistość przemieniała się dla niego w nicość, nagle niedostępna, choć tak bliska jeszcze przed chwilą. Energetyczne reakcje, zachodzące w jego ciele, były niestety nieubłagane... Zabrał ze sobą miniaturę Potęgi, którą wykonał dla niego Llesie. W miarę jak posuwał się naprzód, jej gwiazdny blask słabł i mato-wiał. Wytworzona z materiału, istniejącego wyłącznie w innym wymiarze, Potęga traciła swą moc w zewnętrznym świecie ludzi. Zrozumiał wreszcie, co Llesie miał na myśli, mówiąc, że jego plany są nieziszczalne. Potęga w jego rękach stawała się bezużyteczna.

— Co chcesz teraz robić? — zapytał Belg.

— Nie wiem — odpowiedział Miller. — Nie wiem, czy istnieje jeszcze dla mnie coś warte mojego wysiłku.

— Możesz zostać ze mną — zaproponował Van

Hornung. — Tak wiele nas łączy.

Drzwi otworzyły się z hałasem i do pokoju wszedł Slade. Spojrzał z niedowierzaniem i wykrzyknął:

— Miller! Więc wróciłeś.

— Przed chwilą — powiedział obojętnie Miller.

— Masz to? — zapytał niecierpliwie.

— Co?

— No jak to? Nie pamiętasz? Źródło energii!

Miller spojrział na niego z chwilową uwagą. Tak bardzo Slade przypominał w tej chwili Branna — miał ten sam wyraz twarzy, tę samą żądzę władzy i posiadania. Był zadowolony z faktu, że Slade nigdy nie posiadał Potęgi. Wykorzystałby ją pewnie do swych niecznych celów, zadając ból i siejąc wokoło zniszczenie.

— Zostawiłem ją tam, gdzie jej miejsce — powiedział spokojnie.

— To znaczy gdzie?

— Na Szczycie Siedmiuset. Udaj się tam i weź ją sam.

— Zorganizuję ekspedycję! — wykrzyknął Slade.

— Odnajdź tam czerwoną ścieżkę i podążaj nią, a znajdziesz swą energię — zamilkł, głuchy na dalsze pytania.

Slade wyszedł, trzasnąwszy drzwiami.

— Dlaczego to zrobiłeś? — zapytał Belg.

— Uda się tam i spotka go dokładnie to co nas. Widzisz, nienawidziłem kiedyś Slade'a. Wyrządził zbyt wiele krzywd, mnie i innym. Kiedy powróci stamtąd, będzie niezdolny do dalszego działania. A Potęgi i tak nie zdobędzie.

Belg przytaknął, sięgając po kieliszek.

— Być może kiedyś porozumiemy się z naszymi braćmi z Gór — powiedział marząco Miller. — Ale zanim to nastąpi upłynie jeszcze wiele, wiele czasu.

Miller wznosił kolejny toast, po czym zatopili się we własnych wspomnieniach.

Jak bogowie

Nowe światy

Obserwował rozciągający się przed nim październikowy poranek, jakby nigdy dotąd nie widział podobnego zjawiska. Oczywiście nie była to prawda, ale nie mógł zapomnieć o tym, że być może nie zobaczy go już więcej. Chyba że październikowe poranki istniały także w świecie, do którego zmierzał. Nadzieja ta wydawała mu się jednak płonną, pomimo opowieści Starego Człowieka o tajnikach maszyn, różnorodnych światach zagubionych w nieskończoności jak wirujące okruchy materii.

— Przecież jestem człowiekiem! — wykrzyknął, siedząc po turecku na rozgrzanej, brązowej ziemi. Absurdalność powyższego stwierdzenia uświadomił sobie czując podmuch wiatru, delikatnie muskający powierzchnię jego skrzydeł. Podrażnione w ten sposób mięśnie karku i pleców zacisnęły się mimowolnie wokół nich.

Niestety nie był człowiekiem, a cały ten świat wraz z przepychem październikowego poranka stanowił schronienie tylko jednej rasy — dominującej i zazdrośnie

strzegącej swej władzy. W szeregach ludzkości nie było miejsca dla obcych. Pozostali jego towarzysze nie wydawali się zmartwieni tą sytuacją. Od najwcześniejszych lat wychowywali się pod specjalnym nadzorem, w całkowitej izolacji. To właśnie Stary Człowiek był ich opiekunem. Zbudował on na stoku wzgórza ogromny dom, plastikową konstrukcję o pastelowych barwach, doskonale wtapiający się w otaczający go pejzaż. Azyl, ostatecznie utracony...

— Kern — odezwał się ktoś za jego plecami.

Skrzydlaty człowiek odwrócił się, spoglądając za przysłaniającą mu widok powierzchnię piór. Ku niemu, po spadzistym stoku wzgórza, szła młoda dziewczyna. Na imię miała Kua. Jej rodzice byli Polinezyjczykami, a ona odziedziczyła po nich wzrost, lekkość i wdzięk ich rasy. Miała lśniące, czarne włosy i skórę o ciepłym kolorze miodu. Kua nosiła ciemne, zasłaniające oczy okulary, a na jej czole widniała czarna przepaska. Owal twarzy i doskonała linia ust dopełniały ten uroczy widok.

Ona także nie była człowiekiem.

— Nie warto się martwić, Kern — powiedziała z uśmiechem. — Wszystko będzie w porządku, zobaczysz.

— W porządku! — Kern odburknął pogardliwie. — Naprawdę tak uważasz?

Kua rozejrzała się wokoło, upewniając się, że są naprawdę sami. Potem zdjęła okulary i zsunęła z czoła przepaskę. Kern spojrzał na jej niczym nie osłoniętą twarz i jak zwykle w takich chwilach doznał chwilowego szoku. Kua była cyklopem. Na środku czoła miała tylko jedno błyszczące oko. Niezależnie od tego, jeśli przyjmować Kua taką jaką była, a nie według ogólnie przyjętych norm, wyglądała naprawdę pięknie. Nawet jej pojedyncze oko

było niepo-równywalnie bardziej wyraziste i głębsze niż jakiegokolwiek ludzkie oczy.

Oko Kui było doskonałą soczewką. Nikt nie potrafił odgadnąć tajemnicy tego fenome-nu. Dziewczyna widziała na odległość wykraczającą poza zasięg teleskopu, umiała także skoncentrować swój wzrok tak, by operować nim jak mikroskopem. Zresztą nie były to wszy-stkie jej zdolności. W domu mutantów obowiązywała jednak dyskrecja i nikt nie zadawał nikomu zbędnych pytań.

— Jesteś z nami zaledwie dwa lata, Kern — odezwała się ponownie. — Nie wiesz jeszcze jak wielka jest nasza siła, ani czego możemy wspólnie dokonać. Bruce Hallam wie, co robi. Jego działalność to nie teoria, a raczej teoria, która stała się rzeczywistością. Bruce to tęga głowa, Kern, a ty naprawdę nas nie znasz.

— Nie możecie walczyć z całym światem — powiedział.

— Nie — uśmiechnęła się — ale możemy go opuścić.

Kern wiedział, że dziewczyna nie dostrzegała otaczającego ich, pełnego złotych barw poranka. Nie była też świadoma istnienia wielkich miast, zapewniających świat 1980 roku, ani ich mieszkańców, całkowicie jej obcych. Kern znał ich dobrze. Jego skrzydła zaczęły rosnać gdy miał lat osiemnaście.

— Nie wiem, Kua — powiedział. — Nie jestem pewny, czy chcę tego. Miałem przecież rodziców, braci, przyjaciół .

— Twój rodzice są twymi największymi wrogami — odparła twardo. — Sprawili, że istniejesz.

Oderwał wzrok od badawczego spojrzenia Kui i przeniósł go na ogromny, plastikowy budynek. Po masakrze 1967 roku stanowił on azyl dla zrodzonych w

wyniku promieniowania potwornych mutantów, których ludzkość skazała na zagładę. Oczywiście nie mógł pamiętać tamtych wydarzeń, lecz czytał o nich, nie sądząc wówczas, że staną się i jego udziałem. Stary Człowiek opowiedział mu później tę historię.

Na początku była atomowa wojna — straszna choć krótkotrwała. Pozostawiła po sobie promieniowanie radioaktywne, o nie znanej dotąd sile skażenia. Konsekwencją tego była wciąż wzrastająca fala urodzin najprzeróżniejszych mutantów. Geny i chromosomy ludzi, którzy znaleźli się w zasięgu promieniowania, uległy niezrozumiałym deformacjom. Jedna na dziesięć mutacji okazywała się udaną. Ale nawet wśród nich zdarzały się niebezpieczne dla gatunku ludzkiego.

Ewolucja jest jak tarcza ruletki. Panujące na ziemi warunki sprzyjają powstawaniu określonych typów mutacji. Atomowe promieniowanie naruszyło równowagę genetyczną, powodując pojawienie się straszliwych odstępstw od natury. Nie wszystkie z nich były zdolne do życia. Rodziły się dwugłowe istoty, które trwały na pograniczu szaleństwa i geniuszu.

Przed podjęciem decyzji o eutanazji Światowa Rada długo analizowała biologiczny i socjalny aspekt problemu. Kierunek ewolucji gatunku ludzkiego stał się tematem naukowych rozważań i prognoz. Nie wolno było zboczyć z obranej ścieżki, inaczej świat pograżyłby się w genetycznym chaosie.

Jedynie mutanty-geniusze o niezwykle wysokim stopniu inteligencji mogli pozostać przy życiu. Inni, w przypadku ich wykrycia, byli skazani na śmierć. Czasami nastęczało to pewne trudności. Do 1968 roku pozostawiono przy życiu tylko prawidłowe warianty

genetyczne, w pełni odpowiadające biologicznym normom homo sapiens. Choć zdarzały się odstępstwa od tej reguły...

Jeden z nich to syn Starego Człowieka — Sam Brewster, potwór, posiadający jednak pewien niezwykle talent. Stary Człowiek złamał obowiązujące prawo nie odsyłając go do laboratorium, prowadzącego serię testów i badań, na podstawie których wydawany był ostateczny wyrok. Zbudował na wzgórzu ogromny dom i umieścił w nim chłopca. Dziecko nigdy nie opuszczało jego murów. Następnie, powodowany częściowo litością, częściowo pragnąc zapewnić mu towarzystwo, zgromadził w tajemniczym domu całą rodzinę różnorodnych mutantów.

Stary Człowiek nie prowadził swych poszukiwań przypadkowo. Osobniki niebezpieczne lub z góry skazane na śmierć nie były brane pod uwagę. Otaczał jednak troskliwą opieką mutanty, ukrywające w zdeformowanych postaciach niezwykle zdolności i talenty.

Przypadek Kerna sprawił, że świat poznał tajemnicę. Chłopiec żył zbyt długo między ludźmi, zanim zaczęły wyrastać mu skrzydła. Gdy pan Brewster odnalazł go i przyłączył do rodziny mutantów, Kern miał już osiemnaście lat. Jego rodzice próbowali ukrywać syna, lecz wieść o nim rozchodziła się szybko, docierając w końcu do władz. Te zaś, zaniepokojone istnieniem tajemniczego schroniska, wydały swe ostateczne ultimatum.

— To moja wina — powiedział gorzko Kern. — Gdyby nie ja, nigdy nie mielibyście kłopotów.

— Nie masz racji — odpowiedziała Kua, wpatrując się w niego badawczo. — Wcześniej lub później dowiedzieliby się o nas. Lepiej, że stało się to teraz, gdy jesteśmy jeszcze młodzi i z łatwością przystosujemy się do

nowych warunków — jej głos drżał z podniecenia. — Pomyśl o tym, Kern! Nowe Światy! Miejsca daleko od ziemi, gdzie być może żyją podobne do nas istoty!

— Kua, ja jestem człowiekiem! — wykrzyknął. — Ja czuję jak człowiek. Nie chcę opuszczać świata, do którego należę.

— Mówisz tak, ponieważ wyrosłeś między ludźmi. Powinieneś wreszcie spojrzeć prawdzie w oczy, musimy opuścić ziemię, by żyć.

— Wiem o tym — jego twarz wykrzywiła się w grymasie niezadowolenia. — Ale nie muszę się z tego cieszyć. Chodźmy już lepiej. Najwyższa pora, by wysłuchać ultimatum.

Dziewczyna przytaknęła, mimowolnie śledząc jego spojrzenie, skierowane na otaczają-cy ich pejzaż — czyste, błękitne niebo, pałdziernikowe wzgórza. Świat dla ludzi. Wyłącznie dla ludzi... Wrócili do domu Brewstera, gdzie zgromadzili się już wszyscy jego mieszkańcy.

— Nie mamy zbyt dużo czasu — głos zabrał pan Brewster. — Oni są już w drodze, gotowi poddać nas wszystkich eutanazji. — Sam Brewster zaśmiał się ostro. — Może pokaże-my im kilka naszych sztuczek — zaproponował.

— Nie — odpowiedział Stary Człowiek. — Nie możecie walczyć z całym światem. Nawet jeśli zabijecie wielu ludzi, to co z tego? Jedyным wyjściem z tej sytuacji jest maszyna Bruce'a. — Jego głos załamał się przez chwilę. — Bez was będę bardzo samotny — powiedział.

Spojrzeli na niego ze smutkiem, dziwaczna rodzina mutantów, prawie dzieci jeszcze, choć przedwcześnie dojrzałe w warunkach, w jakich przyszło im żyć.

— Gdzieś tam w kosmosie znajduje się niezliczona

ilość planet, na których wcale nie będziemy uważani za mutanty. Z pewnością można odnaleźć miejsca, dla których każdy reprezentowany przez nas rodzaj mutacji okaże się genetyczną normą. W tym celu zbudowa-łem urządzenie, wyposażone w genetyczne wzorce każdego z nas, które pomoże nam odna-leźć naszych braci w kosmosie. Na początku choćby dla jednego z nas. Pozostali mogą kontynuować poszukiwania. Jestem w stanie zbudować podobne urządzenie wszędzie tam, gdzie będę się znajdować — powiedział z uśmiechem Bruce, a jego oczy rozbłysły dziwnym bla-skiem.

Dziwne, zastanowił się Kern, jak często mutacje deformują właśnie oczy, Kua z cyklo-pim okiem, Sam Brewster, o straszliwym spojrzeniu spod podwójnej powieki, unoszącej się tylko, gdy był rozgniewany. W końcu Bruce Hallam, którego niezwykłość ukryta była w za-dziwiających zdolnościach jego umysłu, co odzwierciedlało w pełni jego tajemnicze spojrze-nie.

Bruce był specjalistą od budowy maszyn (z braku trafniejszego określenia nazwijmy te urządzenia maszynami). Potrafił czynić cuda! Kierowany siłą instynktu podświadomie prze-czuwał tajemnice przepływu energii i wykorzystywał je w swych konstruktorskich rozwiąza-niach.

Urządzenie, które znajdowało się w rogu pokoju, gdzie zebrała się cała rodzina mutan-tów, Bruce wykonał w przeciągu około dwóch tygodni. Miało kształt stalowego sześcianu z okrągłymi, metalowymi drzwiami. Ponad nim umieszczone było oświetlenie, o zmiennej intensywności i barwie. Gdy światło przechodziło w jednolitą czerwień, oznaczało to, że świat, zamknięty za stalowymi drzwiami, mógł być zamieszkały przez istoty ludzkie. Zna-czyło to

również, że jego ewentualni mieszkańcy mogli okazać się nosicielami tego samego genetycznego klucza, co przynajmniej jedno z nich.

Myśląc o bezmiarze zamkniętych w tajemniczej konstrukcji światów, Kern odczuł chwilowy zawrót głowy. Planety gazu i ognia, lodu i skał... A wśród nich, jeden na milion, świat pełny słońca i wody, na podobieństwo Ziemi!

To nieprawdopodobne, lecz właśnie dzięki jego umiejętności latania, tajemnikom wzroku Kui i Sama Brewstera oraz umysłowi Bruce'a Hallama powstał ten przedziwny most, łączący ich z wszechświatem. Zamyślony rozejrzał się dookoła i dostrzegł siedzącą pod ścianą Byrnę — najmłodszą w rodzinie mutantów. Ogarnęło go współczucie, jak zwykle, gdy patrzył na nią. Byrna była karlicą, sięgającą mu do łokcia. Wyglądała jak ze szkła, delikatna i krucha. Jej twarz o nieregularnych rysach oznaczała się niezwyklej wprost brzydota, a szare oczy wyraża-ły głęboki smutek niespełnienia. Za to głos dziewczyny posiadał magiczną siłę, podobnie zre-sztą jak jej umysł. Jak u Bruce'a Hallama, mądrość przychodziła jej z niesłychaną łatwością, miała jednak znacznie więcej od niego ciepła i serdeczności. Bruce, gdy potrzebował materiału do kolejnego eksperymentu, gotów był poćwiartować żywego człowieka, równie bezna-miętnie, jak gdyby chodziło o kawałek drutu. Pomimo swych zdolności i wyglądu, niewiele odbiegającego od normy, Bruce nie był prawdopodobnie w stanie przebrnąć przez najprostszy nawet test psychologiczny.

— Na co czekamy? Czy wszyscy są gotowi? — jego głos drżał z niecierpliwości.

— Masz rację — odpowiedział Stary Człowiek. —

Musimy się pośpieszyć. Patrzcie — wykrzyknął — światło staje się czerwone!

Rzeczywiście, światło umieszczone nad stalowymi drzwiami z wolna przybierało poma-rańczową barwę. Bruce wysunął się naprzód, kładąc rękę na dźwigni. Po chwili, oślepiiony migoczącą czerwienią, pociągnął ją w dół. Za uchylonymi drzwiami dostrzegli przedziwny krajobraz atomowej burzy, rozciągającej się aż po skalisty horyzont. Po przeciwnej stronie widniał zarys wież, łuków i kolumn. Nad nimi unosiły się świetliste punkty, jakby samolot, zanurzony w ciemności, krążący po stałej orbicie.

— To nie ten świat — powiedział Bruce. — Spróbujmy jeszcze raz.

W ciemności rozległ się głos Byrny:

— Co za różnica — każdy świat będzie dla nas taki sam — powiedziała, a słowa jej brzmiały jak muzyka.

— Słyszycie — odezwał się nagle Stary Człowiek — to dźwięk nadlatujących samolotów. Nadszedł już czas, moje dzieci, czas rozstania.

Ponownie zaległa cisza. Wszystkie spojrzenia śledziły zmieniającą się barwę światła, powoli przybierającego czerwony odcień.

— Jeśli wszystko będzie w porządku, tym razem zdecydujemy się — powiedział Bruce, kładąc ponownie rękę na dźwigni.

Gdy światło osiągnęło intensywną czerwień, bezszelestnie otworzył stalowe drzwi. Zobaczyli wlewającą się przez otwór słoneczną poświatę. Dalej zaś rozciągał się pejzaż, złożony z niskich, zielonych wzniesień, łagodnie przechodzących w dolinę, w której położone było miasto.

Bruce bez słowa przeszedł przez próg, dzielący ich od nowej rzeczywistości. Po chwili podążyli za nim, jedno za

drugim, wszyscy pozostali. Kern jako ostatni. Szedł nie rozglądając się dookoła, mocno zaciskając usta. Przez moment mógł jeszcze dostrzec za oknem znajome wzgórza i niebieskie, październikowe niebo nad nimi. Tak trudno było odchodzić...

Stary Człowiek przeżywał w ciszy chwilę rozstania. Jego wieloletnia praca dobiegła wreszcie końca. Obserwował wstępującą w nowy świat rodzinę mutantów, które uważał za swe własne dzieci. Ich sylwetki, w miarę jak posuwali się naprzód, stawały się wciąż mniej-sze i mniejsze, by zniknąć wreszcie z pola widzenia. Dla niego, z pewnością, na zawsze.

Zamknął stalowe drzwi i odwrócił się, słysząc za sobą donośne pukanie Policji Świato-wej Rady, której samoloty wylądowały przed chwilą opodal pustego już domu.

Wśród swoich

Nad nimi rozciągał się błękit nieba. Stali, zbici w gromadę, na szczycie wzgórza, spoglądając wokoło.

— Jak tu pięknie — powiedziała Kua z zachwytem. - Jak dobrze, że wybraliśmy wła-śnie ten świat. Ciekawa jestem, jakie byłyby następne, gdybyśmy tak zaczęli jeszcze trochę.

— Wszystkie są takie same, niezależnie dokąd się udamy — odpowiedziała Byrna swym śpiewnym głosem.

— Spójrzcie na horyzont! — wykrzyknął nagle Bruce. — Co to może być?

Na pierwszy rzut oka otaczający ich krajobraz

zadziwiająco przypominał ziemski — porośnięte lasami wzgórza, dachy domów w oddali... Na horyzoncie rysowało się jednak coś nieznanego, szokującego swym rozmiarem.

— Góra? — zastanawiał się głośno Kern. — Zbyt wysoka jak na górę.

— Szklana Góra — powiedziała z wahaniem Kua — szklana lub plastikowa, nie ma pewności.

To „coś” rozciągało się na ogromnej przestrzeni, jak ciemna chmura burzowa, zawieszona nad ziemią. Jeśli była to góra, musiała być rzeczywiście niewyobrażalnie wielka.

Kua skoncentrowała wzrok, zwiężając znacznie swą pojedynczą źrenicę.

— To jednak wygląda na górę — powiedziała. — Nie wiem, co znajduje się za nią.

— Wiatr się wzmaga — zaniepokoił się Kern.

Jako pierwszy dostrzegł narastający powiew, wciąż silniej uderzający o powierzchnię jego skrzydeł. Od strony tajemniczej góry dobiegał ich narastający świst powietrza. Po chwili stał się tak głośny, że ogłuszył ich wszystkich zupełnie, a wiatr przeistoczył się w prawdziwy huragan. Nie mogąc złapać oddechu, spoglądali na siebie z przerażeniem, malującym się na twarzach.

— Spójrzcie tam, prędzej! — wykrzyknęła Kua. — Jeszcze jedna góra.

W ich kierunku nadciągał jeszcze jeden tajemniczy obiekt, o kształcie gigantycznej wieży. Obserwowali jego wirujący ruch, przypominający trąbę powietrzną w czasie tajfunu. Powiew wiatru wzmógł się znowu, przechodząc w przeszywający powiew, przeraźliwy jęk, zaatakował ich z niespodziewaną siłą. Po chwili ustąpił, by wkrótce

ponownie przystąpić do ataku. Siła wiatru ogłuszyła Kerna na tyle, że całkowicie stracił orientację w terenie. Nie wiedział, co działo się z towarzyszami. Jego skrzydła poddały się całkowicie uderzeniom huraga-nu. Wiatr porwał go w górę, zakręcił nim w powietrzu jak piórkiem, rzucił w dół zbocza, ogłuszając przy tym piekielnym hałasem. Kern próbował odzyskać równowagę, lecz bez skutku. Przez moment dotknął stopami do ziemi, ale kolejny podmuch uderzył w jego skrzydła, popychając go brutalnie.

Spoglądając z góry dostrzegł w oddali ledwo widoczne postacie, rozrzucone po stoku wzgórze, targane kolejnymi spazmami wiatru. Dostrzegł także przez moment gigantyczne obiekty, sunące majestatycznie nad ziemią, siejące wokoło rozszalały wiatr i piekielny hałas. Po chwili, znalazł się w sercu trąby powietrznej, która miotła nim, ogłuszonym i bezbronnym, aż do częściowej utraty przytomności.

Nie był w stanie określić jak długo to trwało — miał wrażenie, że całą wieczność. Do zmysłów przywrócił go dotyk czyjejś ręki, który poczuł nagle na swym ramieniu. Muszę być już na ziemi, pomyślał, próbując podnieść się, lecz zbyt gwałtowny ruch spowodował, że Kern zachwiał się, tracąc równowagę. Otworzył szeroko oczy.

Ziemia znajdowała się daleko pod nim... Kern szybował w powietrzu, zostawiając w tyle rozszalały huragan, prowadzony przez trzymającą go za ramię nieznaną, skrzydlatą dziewczynę...

Jej długie, jasne włosy spływały swobodnie wokół zaróżowionej od wiatru twarzy o wyrazistych, niebieskich oczach. Mówiła coś do niego, lecz pęd powietrza zagłuszał jej słowa. Zresztą i tak prawdopodobnie nie zrozumiałaby

ich znaczenia. Język gestów był w tym przypadku zupełnie wystarczający — dziewczyna wskazywała ręką kierunek lądowania.

Potakując jej skinieniem głowy, Kern uniósł swe lewe skrzydło, ukierunkowując się na lot ku ziemi. Dziewczyna podążyła za nim. Unosili się płynnie w powietrzu, czując delikatne muśnięcie wiatru na swych wyprężonych ciałach. Kontrolowali lot instynktowną grą mięśni, poruszając lekko skrzydłami. W głowie Kerna pulsowała tylko jedna myśl — nie był sam! Nie wiedział nic o nowej planecie ani o towarzyszącej mu dziewczynie, ale ten pierwszy wspólny lot wydawał mu się najwspanialszym przeżyciem, jakiego kiedykolwiek doznawał. Płynęli w powietrzu na podobieństwo pary tancerzy, złączonych w doskonałej harmonii ruchu. Odkrył, że dotychczasowe samotne loty były tylko namiastką rozkoszy, którą daje po-czucie bliskości drugiej osoby, szybującej obok, skrzydło w skrzydło. Trwał w stanie głębokiej ekstazy!

Zbliżając się do ziemi, Kern zatrzepotał gwałtownie skrzydłami, przybierając pionową pozycję i dotknął stopami gruntu. Biegł przez chwilę, by wytracić szybkość, słysząc za plecami kroki i śmiech dziewczyny, podążającej za nim. Gdy zatrzymali się, poprawiła potargane przez wiatr włosy o jasnopopielatej barwie, identycznej jak jej skrzydła.

Nieznajoma ubrana była w cienką tunikę z delikatnej skóry i długie buty, z tego samego materiału. Zza paska, obejmującego jej talię, wystawała ozdobna rękkość sztyletu.

Natężenie wiatru słabło stopniowo, a powietrze stawało się znowu przyjemnie ciepłe i lekkie. Znajdowali się na szczycie wzgórza, pod drzewem, którego gałęzie

uderzały o siebie w ostatnich podmuchach. Z horyzontu zniknęły już tajemnicze obiekty-giganty. Huragan skończył się.

Dziewczyna odezwała się pierwsza, w niezrozumiałym dla Kerna języku, o lekko gardłowych dźwiękach. Nie doczekawszy się odpowiedzi, nieznajoma spojrzała na Kerna z niedowierzaniem.

— Przykro mi, ale nie rozumiem Cię — powiedział z uśmiechem. — Jesteś bardzo ładna — dodał po chwili.

Dziewczyna odwzajemniła jego uśmiech, wciąż ze zdziwieniem malującym się na twarzy.

Nie może zrozumieć, dlaczego nie rozumiem jej języka, pomyślał. Może na tej planecie istnieje tylko jeden, powszechnie używany język? Oznaczałoby to, że jej mieszkańcy są skrzydlaci, co daje im łatwość poruszania się, wykluczającą powstanie kilku, odrębnych na-rzeczy. Jego serce biło mocno ze wzruszenia. To byłoby wspaniałe, pomyślał. Nigdy przed-tem nie przypuszczał jak wiele będzie dla niego oznaczać poczucie przynależności do swego gatunku. Jest częścią większej całości, społeczeństwa, które wreszcie odnalazł i przez które pragnął być zaakceptowanym.

Fakt, że był pierwszym, który odnalazł swych braci, wydawał mu się niezwykle szczę-śliwym zbiegiem okoliczności. A jeśli się mylę, pomyślał. Może to wszystko jest tylko moim przypuszczeniem.

— Powiedz, proszę, czy jest was więcej — zwrócił się do dziewczyny — „skrzydlatych ludzi”.

Uśmiechnęła się, słuchając uważnie brzmienia jego słów, potem powiedziała coś i wskazała ręką, by się odwrócił. Po stoku wzgórza zbliżał się do nich kolejny skrzydlaty czło-wiek...

W pierwszym momencie Kern doznał uczucia bezgranicznej wdzięczności. Przybycie nieznanego rozwiało ostatecznie jego wątpliwości. Jeśli było ich dwoje, znaczyło to, że jest ich więcej.

Mężczyzna miał na sobie skórzaną tunikę i sztylet za pasem. Jego włosy i skrzydła były rude. Kontrastujące ze śniadą cerą oczy, o podłużnym kształcie i jasnym kolorze, wpatrywały się w Kerna badawczo i nieprzyjaźnie. Mężczyzna był garbusem z lekko przekrzywioną głową. Regularność rysów i ciemna karnacja sprawiały, że pomimo swego kalectwa, nieznanomy był przystojnym, młodym człowiekiem.

— Gerd — powiedziała do niego dziewczyna.

Kern domyślił się, że tak brzmiało jego imię. Rozmawiali między sobą z ożywieniem. Głos kobiety był wysoki i dźwięczny, nieznanego zaś głęboki w brzmieniu. Nieoczekiwa-nie mężczyzna wyciągnął groźnym gestem nóż i zwracając się bezpośrednio do Kerna, wska-zał nim kierunek w dolinie.

W pierwszej chwili Kern przestraszył się, szybko jednak doszedł do wniosku, że nie miał powodów do lęku. Jeśli bowiem mieszkańcy tej planety używali noży jako broni, zna-czyło to, że znajdowali się na stosunkowo niskim szczeblu cywilizacyjnym. Ostrze noża nie było jednak najlepszym drogowskazem w świecie, który miał uznać za swój własny.

Widząc jego zakłopotanie dziewczyna uśmiechnęła się przyjaźnie i dotknęła jego ramie-nia. Gestem drugiej ręki kazała Gerdowi odstąpić od Kerna. Rozwinęła skrzydła i ruchem głowy wskazała kierunek lotu. Po sprawdzeniu siły słabnącego już zupełnie wiatru była gotowa, by wznieść się w powietrze. Prąd powietrza uniósł ją

płynnie nad ziemię, igrając w jej rozpuszczonych włosach. W przestrzeni wykonała obrót, dając mu znak zachęty. Zachwycony Kern roześmiał się i ochoczo podążył za nią, rozwierając szeroko skrzydła. Po krótkim biegu unosił się już w powietrzu, przepełniony uczuciem radości. Za nim pośpieszył Gerd. Przyjemność wspólnego lotu była dostatecznie wielka, by wymieść z jego serca wszelką obawę i złe myśli.

Szybowali, unoszeni prądem powietrza, nad położoną w dole doliną. Krajobraz, zwłասzcza po niedawnym huraganie, wydawał się całkowicie spokojny, pogrążony w bezruchu. W oddali widniały dachy domów, jak grona zawieszane na stokach. Między nimi wiła się nie-wielka rzeczka.

W głowie Kerna aż huczało od nadmiaru myśli i domysłów. Moi ludzie, moi bracia... Ciekawe jakie jest to miasto w dole, zastanawiał się, jaką kulturę stworzył ten skrzydlaty naród? Żeby tak szybko nauczyć się ich języka... Tyle nowości, pomyślał. Nagle doznał dziwnego uczucia, trudnego do określenia. Przez jego umysł i ciało przelewała się fala niezrozumiałych emocji, doznania czegoś nowego i nieznanego. Jak gdyby otworzył się przed nim nowy wymiar, niedostępny dotąd dla ludzi.

Stan ten trwał zaledwie przez chwilę, potem ustąpił, równie niespodziewanie, jak się pojawił. Szok, wywołany niezwykłością doznania, zakłócił spokojny lot — z wrażenia Kern zapomniał nawet poruszać w powietrzu skrzydłami. Uświadomił sobie nagle, że kiedyś już przeżywał podobne uczucie. Było to wówczas, gdy po raz pierwszy odkrył wyrastające na jego plecach skrzydła. Moment ten stanowił dla niego punkt zwrotny, odcinający go bezpowrotnie od gatunku ludzkiego.

A może ciągle się jeszcze zmieniam, pomyślał. Może jest to kolejny etap mutacji? Ale ja nie chcę się zmieniać, kontynuował rozważania. Należę do tego świata i nic pozwolę, by cokolwiek ograniczyło tę przynależność. Gorąco pragnął pozostać takim, jakim był, żyć w otaczającym go świecie wraz ze swymi skrzydlatymi braćmi. Zrozumiał, że zrobi wszystko, by zahamować dalsze transformacje. To wszystko wydawało mi się tylko, pomyślał o niedawnym, dziwnym odczuciu. Nigdy się nie zdarzyło...

Rosnące niebezpieczeństwo

Słoneczne światło odbijało się od okiennic domów. Zataczali w powietrzu szerokie kręgi, szykując się do lądowania na płaskim dachu głównego budynku miasta, otwartego czworobocznym włazem. Dach wyłożony był tworzącymi mozaikę płytkami, przedstawiającymi kobietę i mężczyznę w locie. Z wysokości Kern obserwował rozciągający się poniżej krajobraz — wąskie, brukowane uliczki, wijące się między domami, małe, kamienne mosty, spinające brzegi niewielkiej rzeczki, toczącej wartko swe połyskujące srebrzysto wody. W przydomowych ogródkach rozkwitały kolorowo kwiaty. Na każdym dachu wydzielone było miejsce do lądowania oraz właz, przez który można było dostać się do wnętrza domu. Odkrycie to rozwiało ostatecznie obawy Kerna. Z pewnością znajdował się nad miastem skrzydlatych ludzi. Tak więc odnalazł wreszcie swe miejsce we wszechświecie.

Jego radosny nastrój został wkrótce jednak zakłócony. Gdy szykowali się do lądowania na dachu miejskiego ratusza, Kern znieruchomiał z przerażenia, po czym z niedowierzaniem spojrzął na leżące w dole ciała dwóch skrzydlatych mężczyzn. Dziewczyna, widząc jego reakcję, uśmiechnęła się porozumiewawczo i skinęła głową, by lądował. Kiedy była już na dachu, Kern, nadal osłupiały, wykonał jeszcze jedno okrążenie, obserwując z jaką obojętnością dziewczyna przeskakiwała przez kałuże niezakrzepłej jeszcze krwi. Kern usłyszał docho-dzący z góry, stopniowo narastający szum poruszających się skrzydeł i po chwili zobaczył zbliżającego się do powierzchni dachu Gerda. Promienie słońca odbijały się w ostrzu noża, który garbus wyciągał w kierunku Kerna. Niezwykła sprawność, z jaką Gerd poruszał w locie swym muskularnym ciałem sprawiła, że Kern postanowił zaniechać oporu.

Wylądował, jeszcze przez chwilę utrzymując swe skrzydła szeroko rozpięte, jakby nie wierząc w uzyskaną równowagę.

Dziewczyna czekała już na niego. Rzuciła obojętne spojrzenie na martwych mężczyzn, po czym wiele mówiącym gestem wyciągnęła sztylet i spoglądając na Kerna, kazała mu zejść po schodach w dół.

Czy oznacza to, że właśnie ona zabiła tych ludzi? — pomyślał. Co za dziwny świat! Szedł wąskimi schodami, słysząc za sobą kroki Gerda. W miarę jak posuwali się, dochodziły do nich wciąż wyraźniej głosy znajdujących się poniżej ludzi.

Po chwili znaleźli się w przestronnym pomieszczeniu, wypełnionym żywymi i martwy-mi, stłoczonymi pośrodku. Kern spoglądał z przerażeniem na rozrzucone bezładnie

pod ściami skrzydlate trupy. Na kamiennej posadzce widniały krwawe ślady stoczonej tu niedawno walki...

Zebrani wokół kominka mężczyźni dyskutowali nad czymś podniesionymi głosami. Powitali głośno dziewczynę, powtarzając wielokrotnie słowo „Elje”, które Kern przyjął za jej imię.

Nic miał wątpliwości, że rozmowa toczyła się na jego temat. Elje opowiadała im o czymś, spoglądając to na Kerna, to na swych towarzyszy. Jeśliby nie widok trupów na dachu i w komnacie, Kern czułby się całkiem zadowolony ze spotkania ze skrzydłatymi braćmi. Jednak ich bandycki wygląd nie napawał go optymizmem. Zebrani tu mężczyźni uzbrojeni byli co do jednego w noże, a ich twarze oznaczały się zaciętością i zahartowaniem w boju. Kern jeszcze raz rzucił spojrzenie na leżące pod ścianą zwłoki. Były wśród nich kobiety i starcy, niektórzy... bez skrzydeł.

Czyżby istniały tu dwie rasy, pomyślał zdziwiony. Jednak podobieństwo wszystkich za-bitych wskazywało, że należeli oni do jednego rodu. Ci bez skrzydeł byli albo bardzo młodzi albo już starzy.

Moje skrzydła zaczęły wyrastać, gdy miałem lat osiemnaście, pomyślał. Być może zdolność latania występuje tylko w określonym okresie życia, przy pełnym rozkwicie sił fizycznych? Myśl, że kiedyś utraci tę fantastyczną umiejętność, napawała go strachem i pesymizmem. Chyba nie będę żyć tak długo, zakończył rozważania.

Nieznajomość jedyne go języka, występującego na tej planecie, napawała zebranych wokół Kerna mężczyzn niedowierzaniem i podejrzliwością. A w świecie, gdzie życie ludzkie wydawało się nie mieć wysokiej ceny, takie

podejrzenia mogły okazać się w każdej chwili bardzo niebezpieczne. Kern nie mylił się w swych obawach. Niebawem dyskusja osiągnęła punkt kulminacyjny. Najpierw powiedziała coś Elje, na co padła za plecami Kerna krótka, gardłowa odpowiedź. Po chwili poczuł na plecach zimne dotknięcie noża. Znieruchomiał. Za nim stał Gerd. Jego jasne oczy odzwierciedlały wewnętrzną determinację i groźbę. Ktoś wprawnym ruchem związał mu z tyłu obie ręce. Nóż powędrował teraz w okolice jego szyi. Wszystko to trwało zaledwie chwilę.

Nieprzyzwyczajony do przemocy Kern nie wiedział jak zachować się w podobnej sytuacji. Jakikolwiek protest wydał mu się zbędnym. Nie rozumiał zachowania swych pobratymców. Ponadto wciąż przepełniało go uczucie przynależności do tego świata, pomimo jego niedostatków.

Ktoś zarzucił mu na skrzydła ciężką sieć i skrępował je mocno. Gerd powiedział coś i zebrani rozstąpili się, by zrobić im przejście. Pozostawiona sama sobie Elje splatała obojętnie swe długie włosy w warkocze, unikając starannie wzroku Kerna.

Garbus zaprowadził go do sąsiedniego pomieszczenia, o ścianach i podłodze wyłożonych ozdobną terakotą. Pojedyncze okno było zakratowane i wychodziło na dachy pobliskich domów. W pokoju znajdowało się niewiele mebli — zaledwie łóżko, stół i dwa krzesła, z oparciami przystosowanymi do skrzydeł. Gerd popchnął go brutalnie w kierunku jednego z nich. Usiadł bez słowa, patrząc z wyczekiwaniem na oprawcę. Wydarzenia, które się wów-czas potoczyły, przeszły wyobrażenia Kerna.

Gerd, patrząc uważnie w jego oczy, wskazał na nóż i wyraźnie powiedział słowo „Kaj”. Następnie dotknął

wiszącej na pasku pochwy i wykrzyknął „Kejen”. Nieoczekiwanie Kern usłyszał swój własny nerwowy śmiech. Przez cały czas spodziewał się śmierci, a wszystko wskazywało na to, że była to po prostu pierwsza lekcja tutejszego języka...

W zamknięciu spędził już wiele dni. Raz w nocy zbudziło go nagłe uczucie, że jest bacznie obserwowany. Spojrzał przez zakratowane okno na obce gwiazdy, lecz nie zobaczył nikogo. Wrażenie jednak pozostało wciąż silne. Na pograniczu snu i jawy wydawało mu się, że to Elje śmieje się z niego, przykładając do krat zakrwawioną twarz...

Przez następne dwa tygodnie Gerd był jedyną istotą, z którą Kern miał okazję się kon-taktować. Jego śniada twarz stała się dla niego dobrze znanym widokiem, a chrapliwy język z dnia na dzień był coraz bardziej zrozumiały. Gerd okazał się cierpliwym i wytrwałym nauczycielem, a tutejsza mowa nie oznaczała się zbyt dużą złożonością. Była przystosowana do rzeczywistości planety, brutalnej i prostej. Tempo, z jakim przyswajał ją Kern, wzbudziło ponownie podejrzliwość Gerda. Kernowi udało się kiedyś podsłuchać toczącą się na schodach między Gerdem i Elje rozmowę na swój temat.

— Myślę, że on jednak jest szpiegiem — powiedział garbus.

Dziewczyna roześmiała się z niedowierzaniem.

— Szpieg, który nie zna naszego języka? — zapytała.

— Przyswaja go zbyt szybko — powiedział Gerd. — Przypuszczam, że to sprawka Demona Góry.

— Nie przesadzaj — odpowiedziała uspokajająco dziewczyna.

Jednak Kern stał się od tamtej pory ostrożny w okazywaniu swych postępów.

Demon Góry... Myślał o nim przez kolejne, długie wieczory i noce. Przypomniawszy sobie to dziwaczne zjawisko, które obserwował w czasie sztormu — ogromna góra o niespotykany kształcie, jakby z obłoków lub dymu. Jeśli skrzydlaci mieszkańcy tej ziemi wyrażali się o niej z lękiem i obawą, musiała być czymś więcej niż tylko częścią tutejszego krajobrazu.

Przez następne tygodnie Kern trwał w stanie wyczekiwania, ucząc się pilnie nowego języka. W tym okresie, gdy stał nocą przy oknie, patrząc z tęsknotą na dalekie gwiazdy, czuł jak coś zmienia się w nim i rozwija nieprzerwanie. Doznanie to miało po chwili, pozostawiając jednak lęk i wątpliwości. Czyżby to dalsza mutacja? Kolejny etap przeistaczania się? Odrzucał tę myśl, nie mogąc pozbyć się wrażenia czyhającego niebezpieczeństwa.

Po upływie kolejnych kilku tygodni miał dziwny sen, który przypomniawszy mu o istnieniu dawnych towarzyszy. Do tej pory nie zastanawiał się jakoś nad ich losem. Przypuszczał, że kontynuują swą podróż w przestrzeni. Znalazł wreszcie własny świat i to wydawało mu się najistotniejsze. Niebezpieczeństwo, jakie mu tu groziło, nie skłaniało go do rozpoczęcia nawet próby ich odnalezienia. Niebezpieczeństwo było częścią tutejszej rzeczywistości, przyjmował je więc jako konieczność. We śnie słyszał jednak jakieś głosy, szepczące do niego z daleka. Rano z trudem je sobie przypominał. Jedno było pewne — ktoś lub coś szukało z nim kontaktu. Co za dziwny świat, myślał często.

Usiłował domyślić się czegoś, podsłuchując strzępów rozmów, które prowadzili Elje i Gerd. Raz usłyszał coś, co wydało mu się bardzo ważne. Gerd namawiał dziewczynę, by niezwłocznie powrócili gdzieś, czego Kernowi nie udało się zrozumieć.

— Nie ma jeszcze takiej potrzeby — uspokajała go Elje.

Gerd nie dawał za wygraną.

— Niebezpieczeństwo czyha na nas wszędzie! Wszędzie poza eyrie. Tylko tam jeste-śmy bezpieczni. Nawet Góra nie potrafi prowadzić wrogów przez zatrute wiatry. Nasza takty-ka to krótkie wypady i natychmiastowe powroty. Pozostawać dłużej poza eyrie to szaleństwo — powiedział.

— Lubię tutejszy komfort — odpowiedziała naiwnie dziewczyna. — Od dawna nie jadłam i nie spałam tak wygodnie i dobrze jak tutaj.

— Wkrótce już będziesz żyć mniej wygodnie — powiedział twardo Gerd. — Mieszkań-cy miasta połączą w końcu swe siły, a przypuszczam, że wiedzą już o nas.

— Obawiasz się ich? — zapytała.

— Jeśliby nie demon Góry... — garbus nie dokończył zdania.

Tej nocy ktoś ponownie próbował nawiązać z nim kontakt. Jego podświadomość nie opierała się długo. Doznał uczucia, iż wtapia się w inny wymiar, inny świat. Po chwili odna-lazł w przestrzeni kontakt z Byrną.

Miał wrażenie, że przenosi się daleko od swej celi, w porośłą trawami dolinę, gdzie oczekują go jego dawni towarzysze. Patrzył na nich oczami Byrny, odczuwając bieg jej myśli, pograżając się przez moment w bezmiarze smutku, tak charakterystycznego dla tej istoty.

Z daleka dobiegł go głos Kui.

— Czy odnalazłaś go, Byrno? — pytała niecierpliwie.

— Myślę, że tak — padła odpowiedź. — Kern! Kern!
— usłyszał wołanie.

— Tak! — próbował odpowiedzieć. — Jestem tutaj!
— Włożył w te słowa całą siłę woli. Zastanowił się, czy Byrna zawsze posiadała zdolność nawiązywania telepatycznego kontaktu, czy wykształciła ją pod wpływem tutejszych warunków.

— Już od dawna próbowaliśmy cię odnaleźć — usłyszał głos Kui. — Nie było to łatwe — dodała po chwili.

— Ja... — zawahał się Kern — ja nie byłem pewien, czy jesteście jeszcze tutaj.

— Myślałeś więc, że udaliśmy się w poszukiwaniu nowych światów bez pożegnania — zapytała, prawie twierdząco. — Może i byśmy tak zrobili, jeśli byłoby to możliwe. Bruce jest ranny — powiedziała. — To stało się podczas burzy.

— Ciężko? — zaniepokoił się.

— Nie wiem — powiedziała powoli. — Popatrz sam.

Oczami Byrny zobaczył Bruce'a Hallama, leżącego nieruchomo na posłaniu z gałęzi. Jego twarz, jakby z kości słoniowej, była bardzo blada, a oddech ledwo wyczuwalny. Co się stało? pomyślał, lecz nie mógł znaleźć w umyśle Byrny żadnej odpowiedzi.

— To chyba rodzaj transu — wyjaśniła Kua. — Co za dziwny świat — dodała po chwili. — Dzięki zdolnościom Byrny wiemy już o nim co nie co. A co ty wiesz, Kern? — zapytała.

Przekazał jej to, co udało mu się wywnioskować z podsłuchanych przypadkiem rozmów skrzydlatych ludzi.

— Większa część planety zajmuje ocean. Jest tu tylko

jeden niewielki kontynent, roz-miaru, powiedzmy, Australii. Pokrywa go gęsta sieć miast-państw. Moi gospodarze-strażnicy to rzezimieszki, którym przewodzi skrzydlata dziewczyna, Elje. Żyje z rozbojów. Mają gdzieś swoją kryjówkę, nazywaną przez nich eyrie. Nie wiem dokładnie, gdzie się ona znajduje. Do mieszkańców miast odnoszą się z pogardą, a jednocześnie lękiem. Trudno mi powiedzieć dlaczego.

— Czy wspominali coś o Górze? — zapytała, gdy skończył.

— Tak. Wielokrotnie.

— Widziałeś już je, Kern. To od niej pochodził sztorm, który rozszalał się po naszym przybyciu na tę planetę. A także wiry światła i energii, jakie poraziły naszego Bruce'a. Przy-pomnij sobie to zjawisko.

Kern pamiętał dobrze sunące po linii horyzontu giganty, a także zniszczenie jakie po sobie pozostawiały.

— Nie wiemy dokładnie co to takiego — kontynuowała Kua — ale domyślamy się, że to dla nas niebezpieczne. Osobiście sędzę, że jest to jakaś niespotykana dotąd forma życia. Coś, co nie mogło powstać na Ziemi.

— Życie?! — wykrzyknął Kern. — Czy to wytworzyło inteligencję? Co o tym wiecie?

— Być może życie nie jest najtrafniejszym określeniem tego fenomenu. Nazwijmy to siłą. Niewiele o niej wiemy, ale przypuszczamy, że jest ona bardzo niebezpieczna. Sądzymy, że energia, jaką emanuje, wpływa na umysły i zachowania ludzi, wyzwalając w nich potrzebę walki. Chcemy cię uprzedzić i ostrzec, Kern. W waszym kierunku podąża uzbrojona armia, mająca za cel was zniszczyć. Są już w drodze.

— Skąd przybywają? Jak prędko tu będą? — zapytał zaniepokojony Kern.

— Nie wiem dokładnie — powiedziała Kua. — Nie są jeszcze w zasięgu mojego wzro-ku. Byrna — zwróciła się bezpośrednio do niej — pokaż mu.

Dzięki woli i telepatycznym zdolnościom Byrny Kern zobaczył po chwili lecącą w ciemnościach nocy grupę uzbrojonych skrzydlatych postaci. Było ich bardzo wielu.

— Nie umiem określić jak daleko stąd się znajdują — powiedziała. — Umiejętność przewidywania i kontaktu na odległość są dla mnie czymś nowym. Nigdy dotąd nie udawało mi się przekazywać innym powstających w mej jaźni obrazów. Ale pewna jestem, że oni zamierzają zaatakować właśnie was.

Do rozmowy włączyła się ponownie Kua.

— Lepiej uprzedź swych towarzyszy, Kern, bo inaczej możesz wkrótce znaleźć się w samym sercu walki. Poza tym wydaje mi się, że armią kieruje sama Góra. To ona wyposaża ich w broń.

— Dziękuję za ostrzeżenie — powiedział Kern. — Aha — dodał, zwracając się do By-rny — stwierdziłaś przed chwilą, że odkąd przybyłaś tutaj twe telepatyczne zdolności umocniły się i rozwinęły. Czy dotyczy to także pozostałych?

— Częściowo mnie — odpowiedziała po namyśle Kua. — A ty, Sam — zapytała się-dzającego na boku mężczyznę o podwójnej powiece, zakrywającej jego straszliwe oczy.

Pokiwał przecząco głową.

— Sam nie może ci odpowiedzieć — wyjaśniła Kua — ponieważ Byrna nie umie prze-niknąć do jego świadomości i pośredniczyć między wami. Potem opowiem

mu o wszystkim. A co do Bruce'a, może twoi skrzydlaci przyjaciele powiedzą ci jak mu pomóc. Po tym jak znalazł się w zasięgu wirujących strumieni energii, emanowanych przez Górę, stracił przyto-mność i już jej nie odzyskał. A bez niego nie mamy szans wydostania się stąd... To coś, co żyje w Górze, lub być może jest nią samą, wie, że tu jesteśmy i chce nas zniszczyć. Byrna wyczuwa jej wrogość i nienawiść. Musimy zebrać siły i stanąć do walki, Kern. Myślałeś, że zdobędziesz swój skrzydlaty świat bez wysiłku? — w jej głosie zabrzmiała nuta ironii. — To nie takie proste, mój drogi. Pamiętaj, że nie znamy możliwości tej istoty. Nawet razem może-my nie dać sobie rady, a co dopiero oddzielnie...

Kontakt między Kernem i jego towarzyszami został nagle zakłócony. Obraz oraz głosy, które docierały do niego dzięki Byrnie, zamazały się i oddaliły. Ogarnął go niespodziewany lęk, uczucie trudnego do określenia zagrożenia. Jego świadomość wypełnił dziwny obraz tańczących w ciemności płomieni, żywych i nienawistnych. Po chwili obraz znikł, a ktoś brutalnie szarpnął go za ramię, wykrzykując coś w gardłowym języku. Otworzył oczy...

Demon Góry

Wizja płomieni była tak wyrazista, że jeszcze przez chwilę nie mógł pozbyć się uczucia osłepienia. Spróbował usiąść, trzepocząc lekko skrzydłami. Pokój był pełen słońca. Nad nim pochylał się zdziwiony Gerd.

— Musisz mnie wysłuchać, Gerd — wykrztusił. —

Pomóż mi wstać — poprosił.

Gerd wstrzymał go ruchem ręki.

— Nie tak szybko — powiedział podejrzliwie. — Widzę, że w czasie drzemki nauczyłeś się wielu nowych słów. Elje! — zawołał.

Zanim przyszła przyglądał się badawczo Kernowi, trzymając dłoń na rękojeści noża. Powitał ją szyderczym uśmiechem i rzekł:

— Nasz gość poszerzył nagle swój zapas słów. Mówiłem ci, że to szpieg.

— Dobrze więc — powiedział Kern — znam lepiej wasz język niż dotychczas udawałem. Uczę się go po prostu szybciej niż przypuszczacie — oto i cała tajemnica. Teraz jednak jest to całkowicie bez znaczenia. Czy wiecie, że ludzie z miasta szykują się do ataku?

Gerd nachylił się nad nim, rozprostowując częściowo skrzydła.

— Skąd wiesz o tym? — zapytał. — Czy jesteś szpiegiem?

— Gerd — przerwała mu dziewczyna. — Niech mówi.

Kern mówił długo... Gdy kończył, niedowierzenie wciąż malowało się na ich twarzach. Nic dziwnego, jego opowiadanie mogło wydawać się im nieprawdopodobną bajką. Jedyne perspektywa nadlatującej armii nieprzyjaciela zmusiła ich do wyrozumiałości.

— Jeśli byłbym szpiegiem, jaki sens miałoby to ostrzeżenie — zapytał wyczuwając ich powątpiewanie.

— Może nie jesteś szpiegiem armii, ale kogoś innego — Gerd kontynuował swe wywoady.

— Jeśli naprawdę pochodzisz z innego świata — Ziemi, to mogę zrozumieć twoją historię. Ale nie ma

przecież innych światów! — powiedziała Elje.

W rzeczywistości skłonna była uwierzyć Kernowi. Skrzydlaci ludzie, nękani ciągłymi wojnami, nie wytworzyli rozwiniętej cywilizacji, a w związku z tym nie odtrącali tego, czego nie byli w stanie zobaczyć. Tutejszej kulturze obce było poczucie własnej nieomyślności, wiodącej do negacji wszystkiego, co wychodzi poza jej obręb.

— Nie chcę was skrzywdzić — powiedział. — Jestem po waszej stronie.

— A jeśli jesteś sługą Góry — odezwał się ponownie Gerd. — Jak myślisz, dlaczego trzymamy cię tutaj, w pokoju bez jakichkolwiek sprzętów, które mogłyby ci posłużyć jako broń?

— Nie jestem sługą. Niczym — stwierdził Kern.

— To bardzo stara historia — kontynuował Gerd. — Otóż na tej planecie króluje Góra. Zmienia ludzi w swe sługi i jest bardzo zazdrosna o władzę. Tylko my pozostaliśmy jeszcze wolnymi ludźmi. Poza nami, cała społeczność planety, to niewolnicy Demona Góry.

— Kim jest ten Demon? — zapytał Kern.

— Kto to wie — usłyszał odpowiedź — Demon czy Bóg? Początki tej historii zniknęły już w mrokach przeszłości i nikt nie pamięta jak było naprawdę. Wiadomo jedynie, że Góra przemawia do ludzi we śnie. Nie wiemy co mówi, lecz od tej chwili są oni jej niewolnikami, gotowymi wypełnić każdy rozkaz.

— Góra sprawia, że ludzie zaczynają wytwarzać broń — powiedziała Elje. — Z wszystkiego co wpadnie w ich ręce. Są wówczas bardzo niebezpieczni. Poza tym Góra potrafi rozpętywać potworne burze. Jeśli nie jesteś szpiegiem, sługą Góry, jak wytłumaczysz fakt, że zjawileś się tutaj wraz z nadejściem huraganu? — zapytała, patrząc

mu prosto w oczy.

Nie wiedział, czym wytłumaczyć ten zbieg okoliczności.

— Chciałbym to wiedzieć — odparł. — Może kiedyś to wyjaśnię. Lepiej jednak będzie, jak zajmiemy się bieżącymi sprawami. Przypuszczacie więc, że nadciągająca armia jest dowodzona przez Górę. Dlaczego?

— Tak długo jak pozostaniemy wolni, Góra usiłować będzie nas zniszczyć. — Pozostawaliśmy tu zbyt długo — zwróciła się do Gerda — miałaś rację. Teraz powrócimy do eyrie. Jeśli armia zbliża się rzeczywiście i jest uzbrojona, to może być dla nas bardzo niebezpieczna.

— Co zrobimy z nim? — wskazał na Kerna. — Jeśli zabierzemy go do eyrie, dopuścmy taką możliwość, to co będzie, gdy przywiedzie tam naszych wrogów?

— Przez zatrute wiatry? — Elje była pełna powątpiewania. — To raczej nieprawdopodobne. A jego towarzysze? Mówią przecież o walce z Górą.

— O walce z wiatrakami — zaśmiał się gorzko Gerd. — Nawet jego boscys towarzysze nie mogą walczyć z Górą.

— Oni nie są bogami — oświadczył Kern. — Ale posiadają umiejętności o jakich wam się nawet nie śniło. Myślę, że nasze przybycie tutaj wyznacza punkt zwrotny w historii waszej planety. Macie do wyboru: zabić nas i przegrać albo zaufać i dzięki temu zdobyć szansę zwycięstwa.

Elje milczała przez chwilę, potem uśmiechnęła się nieśmiało i zatrzepotała skrzydłami.

— Polecę z tobą i porozmawiam z twoimi przyjaciółmi. Jeśli okażą się takimi, jakimi ich przedstawiasz — uwierzę ci.

— Góra nie może zmieniać naszych ciał, koncentruje

się tylko na umysłach i woli działania. Przez całe pokolenia opieraliśmy się rozkazom Demona, podczas gdy ludzie z miast poddawali się im bezwolnie. Myślę — powiedziała po chwili zastanowienia — że pierwsi niewolnicy rekrutowali się z najsłabszych jednostek, pozbawionych siły i chęci oporu. To oni wytworzyli broń, zaczęli zabijać i zniewalać. W rezultacie tak naprawdę wolni jesteśmy tylko my. Jeśli Górze udałooby się przeniknąć do naszych ciał i wprowadzić w nich jakiegokolwiek nieodwracalne zmiany, wówczas zwyciężyłaby ostatecznie. Na szczęście nie może tego zrobić. Jedno co jej pozostaje, to zabić nas. Gdy zobaczę na własne oczy towarzyszy Kerna, uwierzę, że istnieje siła potężniejsza od Góry. Wtedy podejmiemy wspólną walkę.

Kołysząc się wysoko w powietrzu, Kern skoncentrował całą swą wolę na kontakcie z Byrną.

— Byrna! Byrna! — wołał — odpowiedz, potrzebuję Cię. Czy mnie słyszysz?

Niestety odpowiedź nie nadchodziła. Nie słyszał nic, prócz szumu skrzydeł lecącej obok Elje i jej ludzi. Jego pamięć odtworzyła obraz armii, który dotarł do niego za pośrednictwem świadomości Byrny. Nie wiedział jaka odległość dzieli ich od nieprzyjaciela. Równie dobrze mógł znajdować się daleko stąd, jak i wynurzyć się nieoczekiwanie zza pobliskich obłoków.

— Byrna! — podjął znowu wołanie — czy mnie słyszysz?

Nagle doznał silnego wrażenia niemal cielesnego kontaktu z Byrną. Mimowolnie ogarnął go lek przed tajemniczą i do końca niezrozumiałą potęgą świadomości. Uświadomił sobie, że Byrna przez cały czas słyszała jego

nawoływania, szukając po prostu najbardziej optymalnej „fali” dla ich kontaktu. Jej myśli zabrzmiały wyraźnie w umyśle Kerna.

— Kern! — usłyszał — pośpiesz się, mamy mało czasu. Czy widzisz na horyzoncie zagajnik pełen kwitnących drzew? Skieruj się tam. Potem nawiąż ponownie kontakt.

Byrna przerwała rozmowę równie nieoczekiwanie, jak ją rozpoczęła. A ponieważ myśli są znacznie szybsze niż słowa, cztery wątki przekazane Kernowi — identyfikacja, pośpiech, lokalizacja i obietnica przyszłego kontaktu, trwały krócej niż ułamek sekundy. Jednak w ciągu tego czasu zdarzyło się coś, co przeraziło Kerna głęboko. Zachwiał się w locie, jakby ude-rzony nagłym podmuchem wiatru. Poczłł jak otacza go obca siła, nienawistna i złowróźbna, a przed jego oczami pojawił się ponownie obraz tańczących języków ognia...

Ocknął się po chwili, kontynuując lot.

— Myślę, że Góra wie już o nas! — wykrzyknął do Elji i Gerda. — Wie także, gdzie się obecnie znajdujemy.

Na twarzy Gerda odmalowało się zdumienie i niedowierzenie.

— Skąd wiesz?

Kern opowiedział mu o swych przeżyciach. Człłł się zmęczony, a jego ciało po tygo-dniach beczynności nie odzyskało jeszcze zwykłej sprawności. Gdy skończył swą opowieść, zaległa cisza.

— Eyrie znajduje się tam — przerwała ją Elje, wskazując ręką na prawo. — Posłałam tam większość naszych ludzi z łupami. Gerd wybrał dwudziestu, by podążali za nami. Nie orientujesz się jak daleko stąd znajduje się armia?

Kern zaprzeczył.

— Może dowiem się przy kolejnym kontakcie z Byrną.

Odwrócił się i zobaczył za nimi grupę ludzi Elje. Niektórzy z nich mieli ze sobą przy-mocowane wiklinowe siedzenia. Kern spojrzał pytająco.

— Krzesła dla naszych przyjaciół — wyjaśniła dziewczyna. — Transportujemy w ten sposób tych, którzy nie mogą latać o własnych siłach — młodych lub starców.

Zauważył na jej twarzy skurcz bólu, który zawsze towarzyszył skrzydlatym ludziom, gdy myśleli o przyszłości bez podniebnych lotów. Nikt, kto choć raz w życiu doznał rozkoszy latania, nie mógł pogodzić się z tym okrutnym faktem.

Ponownie nawiązał kontakt z Byrną. Przez cały czas miał wrażenie, że obca siła śledzi ich nieustannie i podsłuchuje. Tym razem usiłowała nawet zagłuszać i za wszelką cenę prze-rwać ich porozumienie.

— Trzy wzgórze... — usłyszał zniekształcony głos Byrny. — Pośpiesz się, Kern, armia jest już blisko...

Kontakt został zerwany. Przez chwilę ujrzał ponownie tańczące płomienie, które uakty-wniły się jeszcze podczas seansu. Otworzył oczy i spojrzał na lecących obok Elje i Gerda. Twarz dziewczyny pobladła ze strachu. Instynktownie wyczuwała grożące im niebezpieczeń-stwo. Trzy wzgórze widniały w oddali. Kern wskazał je ruchem ręki. Wiedział, że nieprzyja-ciel jest już w pobliżu. Nie pozostawało więc nic innego, jak lecieć we wskazanym kierunku, mając nadzieję, że osiągną cel zanim dopadnie ich wróg. Zdenerwowany Kern rozglądał się wokoło, oczekując w każdej chwili ataku nieprzyjaciela. Kątem oka dostrzegł w dole słone-czny refleks, odbijający się od

czegoś w regularnych odstępach czasu. Gdy zbliżył się, zoba-czył tam jakąś postać, ukrytą wśród zarośli.

To była Kua. W ręce trzymała swą czarną przepaskę, od której odbijały się zauważone przez Kerna promienie słońca. Odległość dzieląca go od dziewczyny zmniejszała się gwałto-wnie. Kua biegła mu na spotkanie, a za nią podążała reszta mutantów. Obserwował ich z ulgą i wzruszeniem, a wspólnie spędzony czas odżył w jego pamięci. Kua patrzyła na niego swym pojedynczym, ale jakże pięknym okiem, a Byrna powtarzała jego imię słodkim, pełnym muzyki głosem. Jego uwadze nie umknęły jednak pewne subtelne różnice, jakie zaszły w nich od ostatniego spotkania.

To zapewne kolejny etap mutacji, pomyślał Kern, jak i w moim przypadku. Ich siły wzmocniły się jeszcze pod wpływem tutejszych warunków.

Uśmiechnięty Sam Brewster podszedł do nich, wyciągając na powitanie dłoń. Kern uścisnął ją serdecznie, odczuwając jednak pewien niepokój, jak zwykle, gdy zbliżał się do Sama. Odwrócił wzrok od jego zdeformowanej twarzy, o straszliwych oczach. Wreszcie dostrzegł Bruce'a Hallama, leżącego nieruchomo na ziemi. Przypominał posąg — był równie daleki od życia, jakby zastygły w bezruchu. Po chwili dotarli do nich skrzydlaci towarzysze Kerna. Elje rzuciła na jednooką Kuę pośpieszne spojrzenie i usatysfakcjonowana tym wido-kiem, potwierdzającym obietnice Kerna, wydała swym ludziom odpowiednie rozkazy. W przeciągu kilku sekund unosili się już w powietrzu, mutanci — umieszczeni na specjalnych siedzeniach. Kern, widząc w dali groźny kształt Góry, próbował porozumieć się z Kuą i Byrną. Gerd i Elji przysłuchiwał się ich rozmowie. Kern wywnioskował, że

wróg zbliża się z każdą sekundą. W skrócie przekazał mutantom, czego zdołał się dowiedzieć o Demonie Góry.

— Zastanawiam się — powiedział, kończąc swą opowieść — czy może on wpływać i na nas. Jesteśmy przecież podatni, prawda? Czy macie wrażenie, że dzieje się z wami coś niepokojącego?

Byrna przytaknęła, a jej oczy pełne były głębokiego smutku i obawy.

— Nie wiemy wiele o tym świecie. Myślę, jednak, że źródłem zła jest tu właśnie Góra, czymkolwiek by ona nie była.

— To zagadka, którą musimy rozwiązać — dorzucił lecący obok Sam.

Kua wyteżyła wzrok, obserwując otaczającą ich przestrzeń.

— Popatrzcie — wykrzyknęła nagle — nadlatują!

Na dźwięk tych słów wszystkich ogarnęła fala emocji i podniecenia. Horyzont był wciąż pusty, lecz wierzyli w moc wzroku cyklopki. Mimowolnie zrównali swój lot, jak stado ptaków w obliczu niebezpieczeństwa.

— Widzę ich — mówiła powoli Kua — w bojowym szeregu, uzbrojeni w noże i podłużne, metalowe krążki.

Kern przetłumaczył jej słowa.

— To nowy rodzaj broni! — wykrzyknęła pobladła Elje. — Spodziewałam się tego. Góra nie daje za wygraną! No dobrze — dodała z rozmysłem — wkrótce dowiemy się co to takiego. Słuchaj Kern — dorzuciła po chwili — twój przyjaciel, ten ranny, jest zbyt ciężki. Przez niego opóźnimy lot. Poza tym aż dwóch ludzi jest zmuszonych przez cały czas dźwi-gać go na ramionach. To znacznie zmniejsza nasze możliwości bojowe. Myślę, że w tej sytuacji... wykonała jednoznaczny ruch ręką.

— Nie! — krzyknął przestraszony Kern. — On jest najpotężniejszy z nas. Potrzebujemy go.

— Dobrze, ale pamiętaj, że w razie potrzeby on pierwszy zostanie rzucony. Musimy dbać o ogół, Kern — wydała swym podwładnym odpowiednie rozkazy. — Spójrz — powie-działa, patrząc prosto przed siebie — eyrie...

Pierwszy oddział nieprzyjaciela zaatakował, ich, gdy znajdowali się już nad swą siedzi-bą. Próbowali ratować się ucieczką, klucząc między drzewami, nisko nad ziemią. W powie-trzu zabrzmiał nagle dźwięk trąbki i towarzyszące mu okrzyki bojowe.

Elje zachowała zimną krew.

— Gerd, ty będziesz przewodnikiem.

— Nie — odburknął Gerd. — Tym razem chcę walczyć. — Jego twarz była groźna i zacięta.

— Więc zostań — zdecydowała dziewczyna.

Przed nimi widniała zionąca czarną otchłanią, skalista szczelina, rozciągająca się mię-dzy dwoma wzgórzami. Nad nią unosiły się dziwne mgły i strumienie rozgrzanego powietrza.

— To zatrute wiatry — wyjaśniła pośpiesznie Elje. — Wielu z nas zginęło zanim odkryliśmy bezpieczne przejście. Dzięki temu mamy schronienie, do którego nie dostanie się nikt niepowołany.

Kern obserwował kątem oka krążące blisko oddziały nieprzyjaciela. W wyciągniętych przed siebie dłoniach trzymali metalowe krążki, emanujące dziwne światło. Jego strumień dosięgnął nagle Elje. Dziewczyna zachwiała się i pobladła, następnie zaczęła bezwładnie spadać w dół.

Czas zamarł dla Kerna... wzgórze z unoszącymi się

trującymi oparami, skrzydlaci ludzie, szykujący się do walki, korony drzew... Ocknął się nagle i podążył za nieprzytomną Elje. Dogonił ją w locie, złapał i ukrył w swych ramionach.

Gerd podzielił swych ludzi na dwie części. Jedna, dowodzona przez niego, broniła dostępu do szczeliny. Druga, dowodzona przez przewodnika, składająca się głównie z mutan-tów i ich przewodników oraz Kerna z Elje, podążyła w stronę eyrie. Zdziwiający był fakt, że obie strony nie miały właściwie żadnych przyczyn, by walczyć ze sobą. Sprawcą ich zacie-tości, bólu i śmierci był nie kto inny jak Demon Góry, zmieniający te skrzydlate istoty w walczące ze sobą automaty. Strumień światła, emitowany przez owalne przedmioty, dosięgnął znowu kolejnej ofiary. Jeden z ludzi Elje zachwiał się w locie, zadrgał konwulsyjnie i runął w dół. Kern odwrócił z odrazą wzrok.

Gerd objął dowództwo. Unosił się w powietrzu na szeroko rozpostartych skrzydłach, bacznie obserwując nieprzyjaciela i bez przerwy wydając swym ludziom rozkazy. Nie brał bezpośredniego udziału w walce, jednak w każdej chwili gotowy był się do niej włączyć. W obu rękach miał ostre sztylety, które zatopiłby bez wahania w nieprzyjacielu, jeśli ten znalazł-by się w ich zasięgu.

Kern wraz z pozostałymi znalazł się już w szczelinie, wiodącej w głąb ziemi. Był oszo-łomiony okrucieństwem walki, ciemnością, dziwnymi oparami unoszącymi się wokół.

Gerd, krążący nad wlotem, wydawał ostatnie wskazówki. Widząc wysiłek, z jakim jego ludzie eskortowali nieruchomego Bruce'a Hallama, kazał im

pozbyć się ciężaru.

Nim zdolali wykonać rozkaz, dosięgnął ich strumień śmiercionośnego światła, otaczając jakby radioaktywną powłoką. Znieruchomieli w powietrzu, by stoczyć się po chwili w dół. Bruce Hallam, nieświadomy niczego, wraz z nimi. Utrata Bruce'a była niezwykle dotkliwa. To przecież właśnie on stanowił jedyną nadzieję wydostania się poza tę planetę w poszukiwaniu nowych światów i zamieszkujących je istot. Zaś Kern wiązał z nim plany ostatecznego wyzwolenia skrzydlatych ludzi spod panowania Góry. Śmierć Bruce'a oznaczała znaczne zmniejszenie szans na wygraną...

Droga w trujących oparach i wyziewach była męcząca i przygnębiająca. Kern, na granicy jawy i sennych, narkotycznych majaków, przyciskając mocno do siebie bezwładne ciało Elje, pragnął tylko ujrzeć wreszcie jej kres. Każda pomyłka czy zboczenie z kursu, wyznaczonego przez przewodnika mogła kosztować ich życie. Ogłuszony nie zauważył nawet momentu, gdy gęste powietrze wypełniające skalny korytarz zaczęło się stopniowo przeredzać. Wkrótce poczuł w nozdrzach czysty i orzeźwiający prąd. Odetchnął z ulgą. Wiedział, że zbliżają się do kresu drogi. I rzeczywiście, po chwili przewodnik dał ręką znak do lądowania. Znajdowali się w przestronnej i wysokiej pieczarze, zbudowanej z czarnych, wulkanicznych zapewne skał. Nad nią unosiła się zasłona dymów i trujących wyziewów, broniąca dostępu do tego miejsca, przypominającego mityczny Hades. Kern zszedł do lądowania, niepewnie dotykając stopami chropowatej powierzchni. Gdy kładł na ziemi bezwładne dotychczas ciało Elje, dziewczyna wyprężyła się i kaszlnęła. Zaskoczony spojrzał na nią, zapominając na chwilę o

całym świecie. Przez cały czas był przecież pewien, że nie żyła lub że znajdowała się w stanie głębokiej agonii. Nieoczekiwane po prostu ożyła. Na jej twarz powrócił rumieniec, a oczy otworzyły się na chwilę w pytającym spojrzeniu. Otoczył ich ciasny krąg ludzi z bandy, patrzących z niepokojem na swą dowodzącą. Kern odsunął się robiąc im miejsce. Jeden z nich przyłożył do jej ust naczynie z parującym płynem. Wypiła chciwie, a każdy łyk dosłownie przywracał ją do życia. Usiadła.

— W porządku — powiedziała — czuję się już znacznie lepiej. Co się właściwie stało? — zapytała pochyłających się nad nią mężczyzn.

Opowiedzieli jej dokładnie ostatnie wydarzenia.

— A co z Gerdem? — Zaniepokoilią się nie widząc go obok siebie. Spojrzeli po sobie pytająco. Nikt nie widział, co się z nim stało, ani gdzie był. Ktoś uniósł się w górę, by sprawdzić, czy nie zatrzymał się u wlotu do pieczary. Niestety nic odnalazł go tam. Twarz Elje wyrażała rosnący niepokój.

— Lepiej było stracić dwudziestu innych niż jednego Gerda — powiedziała rozglądając się dookoła w nadziei, że dostrzeże go gdzieś, a cała ta sytuacja okaże się nieporozumieniem. — Kern — zapytała — czy Gerd leciał na końcu?

— Tak — potwierdził.

— To znaczy bezpośrednio za tobą?

— Zgadza się — odpowiedział patrząc jej prosto w oczy.

— Czy nie słyszałeś żadnych odgłosów walki, czegoś co zwróciło twoją uwagę.

-Uwierz mi Elje — odpowiedział — nic nie słyszałem. Byłem zbyt oszołomiony, by słyszeć cokolwiek

poza szumem własnych skrzydeł.

— Tak mi przykro — powiedziała zatroskanym głosem Elje. — Gerd był jednym z naszych najodważniejszych i najbardziej oddanych ludzi. Przebywał z nami zaledwie od roku, a stał się faktycznie moim zastępcą. Ufałam mu i opierałam się często na jego doświadczeniu i intuicji. No cóż — rzekła — teraz nie można mu już pomóc. To wielka, wielka strata. Zastanawiam się tylko nad działaniem tej nowej broni. Moje ciało wróciło do stanu normalności i nie zauważam żadnych widocznych zmian. Być może odbiera ona po prostu przytomność, natomiast zabójczy jest sam upadek. I tak dobrze, że wszystko nie skończyło się jeszcze go-rzej. — Wstała, czując już całkowitą kontrolę nad swym ciałem.

— Góra rozgniewała się na nas — kontynuowała. — Sądzę, że wie o was — zwróciła się do Kerna i pozostałych mutantów. — Próbuje was zabić. Gerd nie ufał wam — dodała. — Gdyby był tutaj, powiedziałaby, że to właśnie wy jesteście odpowiedzialni za ten nieoczekiwany atak. Doradzał mi, aby zostawić was samym sobie i nie zawracać sobie głowy waszymi pomysłami.

— Czy sądzisz, że ja postąpię inaczej? — zapytała sucho Kerna.

Kern spojrział na nią rozczarowany.

— Jeśli sądzisz, że nie masz żadnego powodu, by nam pomóc, to dalsza dyskusja jest zbędna — odpowiedział.

— Uratowałeś mi życie, Kern. Ale my nie jesteśmy sentymentalni. Jeśli wasza obecność tutaj ma spowodować nieszczęście na nas wszystkich, to uprzedzam cię, Kern, że nie będę się długo wahać.

Stanął przed nią zachowując spokój i zimną krew.

— Nasze przybycie zachwiało równowagę sił na tej planecie. Góra boi się nas, drży o własne bezpieczeństwo. Jest więc nie tak potężna — dodał — jak sądziliśmy. Szkoda, że straciliśmy Bruce'a. Bez jego zdolności konstruktorskich jesteśmy znacznie słabsi. Jednak nie widzę innego wyboru, Elje, niż dać się zabić lub walczyć.

— Kern! — usłyszał za sobą wołanie cyklopki. Kua przypatrywała się badawczo powierzchni skały, osadzonej tuż nad ogniskiem. Jej twarz wyrażała ogromny wysiłek i koncentrację.

— Kern! — powtórzyła — widzę lecących tu wrogów.

— Jak to — zdziwił się — widzisz przez skały?

— Pierwszy raz w życiu, Kern. Widzę ich dokładnie. To ci sami, którzy zaatakowali nas przed chwilą.

Kern przetłumaczył jej słowa. Twarz Elje wykrzywiła się w ironicznym grymasie.

— To niemożliwe — powiedziała. — Nikt nie może się tu dostać bez przewodnika.

— Oni mają przewodnika — Kua wolno cedziła słowa. — Jest nim twój przyjaciel, Gerd.

Zdrada

Najpierw w grocie zaległa martwa cisza, potem wszyscy zaczęli wykrzykiwać coś jednocześnie, jedni przeklinając Gerda, inni oskarżając Kerna o kłamstwo. Elje uciszyła ich zdecydowanie.

— Nie wierzę ci — powiedziała do Kui. — To nieprawda, Gerd? — roześmiała się. — On nie mógł nas zdradzić. Wykluczone! — dodała z przekonaniem.

— Lepiej będzie jak przygotujecie się do walki, zamiast tracić cenny czas na próżne gadanie — Kua wzruszyła ramionami.

Elje była głęboko zraniona tą nieprawdopodobną dla niej wiadomością.

— Jak mamy się przygotować? — zapytała bezradnie. - Nasze siły są znacznie mniej-sze. Nie mamy szans. Poza tym, to nasze ostatnie schronienie. Jeśli je utracimy, nie będzie już dla nas miejsca na tej planecie.

Kern przerwał jej wypowiedź, zniecierpliwiony. Czuł narastającą w nim chęć działania.

— Nie zdają sobie sprawy, że wiemy o nich. To nasza jedyna przewaga nad nimi. — Rozejrzał się nerwowo. — Czy jest tu jakieś dodatkowe pomieszczenie, gdzie moglibyśmy przygotować zasadzkę?

Elje pokręciła przecząco głową.

— Niestety nie — powiedziała cicho. — Poza tym Gerd zna to miejsce lepiej niż ktokolwiek z nas. To już koniec, Kern. Góra zwycięży, to pewne.

— Więc sądzisz, że Gerd jest niewolnikiem Góry? — zapytał.

— Na to wychodzi — odpowiedziała. — Przez długi czas udawało mu się uspić naszą czujność. Jest sprytniejszy niż przypuszczałam.

W tym momencie powietrze przeszył dźwięk bojowej trąbki. Echo powtarzało okrzyki zbliżających się nieprzyjaciół. W obliczu realnego już niebezpieczeństwa Elje odzyskała właściwy jej spokój. Szybko wydała niezbędne rozkazy, ustawiając swych ludzi w bojowym

szyku u wlotu do pieczary. Kua i Byrna spojrzwały pytająco na Kerna. Sam Brewster dołączył do nich.

— Lepiej zostańcie tutaj i zaczekajcie — powiedział skrzydlaty młodzieniec.

— Ja pójdę z tobą — rzekł zdecydowanie Sam. — Mogę się przecież na coś przydać.

Pierwsi bojownicy nieprzyjaciela znaleźli się już w szczelinie, prowadzącej do wnętrza jaskini. Za nimi następni i następni. Było ich bardzo wielu. Na szczęście szczelina okazała się na tyle wąska, że naturalnie ograniczała im dostęp, nie pozwalając wykorzystać swej liczebności.

— Jesteśmy w stanie powstrzymać ich przez jakiś czas, lecz nie chcę myśleć, co będzie potem — powiedziała cicho Elje.

Kern obserwował rozgorzałą walkę. Przeciwnicy, uzbrojeni głównie w noże, starali się zadać cios w splot mięśniowy, kontrolujący pracę skrzydeł. Zraniony w ten sposób nie był praktycznie zdolny do dalszej walki. Spadał na ziemię albo rozbijając się o skały, albo skazując się na powolne konanie, jeśli nie dobił go wcześniej wróg. Co chwila któryś z walczących spadał w dół, drgając konwulsyjnie. Okrutna, niepotrzebna walka, pożerająca swe przypadkowe ofiary. I po co? W jakim celu? Nad wszystkim unosił się niewidzialny cień demona Góry...

— Zobacz — wykrzyknęła Elje do Kerna — czy to nie Gerd?

W oddali zobaczyli zarys jego czerwonych skrzydeł i śniadą, dobrze im znaną twarz.

— Dlaczego nie używają swej nowej broni? — Zapytał Kern.

— Myślę, że metalowe tarcze służą do przekazywania

energii, wysyłanej bezpośrednio przez Górę. A ponieważ nie może ona nas tu osiągnąć, broń staje się automatycznie bezużyteczna — wyjaśniła dziewczyna, wydając nieustannie polecenia swym ludziom.

— Będziemy walczyć do ostatniego człowieka — powiedziała ze spokojem — do ostatniej kropli krwi. Nim nas zwyciężą wielu z nich jeszcze zginie, obiecuję to im.

Zobaczyli nagle przeciwnika, który przedarł się przez linię obrony i leciał prosto na nich, wyciągając groźnie nóż. Bez widocznej przyczyny zachwiał się nieoczekiwanie i martwy runął na ziemię.

— Co to było? — zdziwiła się Elje. — Kto go zabił?

— Nie oglądaj się za siebie — uprzedził ją Kern. — Czy jesteś tam, Sam — zapytał?

— Tak, Kern — usłyszał odpowiedź — w porządku.

Dał znak dziewczynie, że może się już odwrócić. Elje spojrzała na mutanta z nieukrywanym zdziwieniem. Jego oczy były już przysłonięte grubą, podwójną powieką.

— Co to było? — zapytała. — Kto go zabił i w jaki sposób?

— Ja — odpowiedział spokojnie Sam. — Zaraz pokażę ci jak.

Odwrócił się, kierując spojrzenie na walczących w górze wojowników. Dwóch z nich toczyło właśnie zacięty bój, usiłując ugodzić się wzajemnie nożami. W końcu jeden z nich, zraniony śmiertelnie, stoczył się w dół. Na twarzy zwycięscy odmalowała się okrutna satysfakcja. Nie długo jednak dane mu było cieszyć się wygraną. Wkrótce spadł w ślad za swą ofiarą na ziemię. Wzrok Sama okazał się być jego przeznaczeniem. Mutant roześmiał się złowieszczo. Gdy odwrócił się ponownie, jego oczy były już przysłonięte powiekami.

— Mogę zabić każdego, kto znajdzie się w zasięgu mojego wzroku — powiedział z dumą.

Elje nie zrozumiała wprawdzie jego słów, lecz sens ich był wystarczająco jasny, by domyśliła się, co do niej mówił. Instynktownie odwróciła wzrok i wstrzymała oddech.

— Nie ma obawy — uspokoił ją Kern. — Oczy Sama muszą być otwarte, by zabijać. Tak są całkowicie niegroźne. Słuchaj Elje — powiedział — mam pomysł. Trzeba koniecznie się stąd wydostać. Czy nie ma tu drugiego przejścia — zapytał?

— Dokąd chcesz uciekać — dziewczyna była pełna wątpliwości. — Góra znajdzie nas wszędzie, bez względu na to dokąd się udamy.

— Możemy pójść bezpośrednio do niej — odrzekł zdecydowanym tonem — po co mamy czekać, aż nas znowu zaatakuje? Zrozum, ona boi się nas, dlatego właśnie jest tak ba-rdzo agresywna. A jeśli boi się znaczy to, że ma ku temu powody — stwierdził, przekonując bardziej samego siebie niż Elje.

— Jest jeszcze przejście, ale niezwykle trudne i praktycznie nie używane. Zresztą prze-konałeś się sam jak niebezpieczne są trujące wiatry. Mogą zabić przy najmniejszym nawet błędzie. To szaleństwo.

— Szaleństwo czy nie, musimy zaryzykować — powiedział Kern i skinął na Kuę.

-Umiesz przecież — powiedział do niej Kern — widzieć na odległość i przez skały. Jak myślisz, czy jesteś w stanie rozróżnić, które wyziewy są trujące, a które nie — zapytał?

Kua zastanawiała się przez chwilę. Jej pojedyncze oko zwęziło się wyraźnie, badając niedostępne dla innych

przestrzenie.

— Obawiam się, że nie — odpowiedziała z żalem. — Nie mogę określić na odległość ich substancji.

— A czy widzisz przejście między nimi?

— Tak.

— To znaczy, że musimy spróbować — zdecydował. — Prowadź, Kua!

Po chwili unosili się już w powietrzu. Na czele pochodu wojownik niosący na ramionach smukłą postać cyklopi. Kern z Byrną w ramionach jako ostatni. Obok nich Elje i jej ludzie. Pozostali bronili nadal wlotu do jaskini. Niestety było ich coraz mniej. Nim dotarli jeszcze do trujących wiatrów jeden z nieprzyjacielskich żołnierzy spostrzegł ich manewr i podążył za nimi. Zanim zdołali się zorientować wyciągnął nóż i natarł na niosącego Sama Brewstera wojownika. Nieszczęśnik krzyknął z bólu i trzymając się za serce, runął w dół, pociągając za sobą mutanta. Nie było szansy go uratować. Jakakolwiek próba, biorąc pod uwagę wysokość i toczący się poniżej bój, byłaby czystym samobójstwem. W milczeniu podążali wąskim korytarzem, wciąż w górę, wyżej i wyżej, między trującymi wyziewami tej wulkanicznej planety, niezdolni do jakiegokolwiek myśli poza własnym bezpieczeństwem.

Cielsko Góry wznosiło się na horyzoncie, groźne i majestatyczne. Byrna przyłgnęła mocno do Kerna, drżąc cała jak w gorączce.

— Czuję ją Kern, — wyszeptała — próbuje mnie zahipnotyzować, odebrać mi wolę, uzależnić od siebie. Strzeż się, Kern. Bądź głuchy na jej wołania.

Kern poczuł, jak widziane już poprzednio języki ognia pojawiają się znowu pod powie-kami, mściwe i

nienawistne. Skoncentrował się, by dać im odpór. Z trudem poruszał skrzydła-mi wolno lecąc w powietrzu. Spojrzał na Elje, której twarz wyrażała krańcowe wyczerpanie i strach.

— Też mi się to nie podoba! — wykrzyknął, próbując ją uspokoić. — Pamiętaj, że nie mamy wyboru — trzeba zwyciężyć albo zginąć.

Zbliżali się już do podnóża Góry. W jej szklanej powierzchni odbijały się wyraźnie ich skrzydlate postacie. Za nimi widać było jeszcze inne, podążające w pośpiechu.

— Zobacz Kern, nadlatują! — krzyknęła Elje.

Rzeczywiście, wrogowie, kierowani przez Górę, byli już na ich tropie.

— Popatrzcie tam — tym razem Kua wskazała ręką w prawo — to, jakby jaskinia w ciele Góry. Ona się otwiera, to doprawdy niesamowite.

Popatrzyli we wskazanym kierunku. Na białawym stoku widniał wyraźnie głęboki otwór, rozszerzający się jeszcze pod ich spojrzeniem. Bez zastanowienia podążyli w stronę wlotu i po kolei zagłębili się we wnętrzu Góry. Otoczył ich tuman mgły, obłoków, oparów, sami nie wiedzieli dokładnie czego. Szczelina zamknęła się za nimi równie nieoczekiwanie, jak się pojawiła. Początkowo materia Góry nie opierała się, bezwolnie poddając się ich ruchom. Z czasem zaczęła jednak gęstnieć i tężeć tak, że wkrótce znieruchomieli w niej jak w pułapce, niezdolni do dalszego lotu. Spojrzeli po sobie przerażeni.

Walka

Czas przestał dla nich istnieć. Tkwili, bezsilni i bezbronni, nie wiedząc, co jeszcze ich czeka. Trudno określić jak długo to trwało. Minutę, dwie, wieczność całą?... Nie czuli strachu, a tylko przeczucie czegoś nieuchronnego i co gorsze nieznanego. Nagle zobaczyli przed sobą w oddali rosnące światło. Nie było wątpliwości — były to języki ognia, które wszyscy niejednokrotnie widzieli już w swych snach i przywidzeniach. Krążyły wokół nich, niedostępne i pełne wrogości. Płomienie rozstały się po chwili, a z nich wyłonił się... nie do wiary... Bruce Hallam! Patrzył na nich badawczo, a jego twarz daleka była od ludzkich emocji czy uczuć. A jednak nie było to złudzenie. To był Bruce Hallam.

— To — odezwał się wyraźnie — jest mój świat. Zapamiętajcie to dobrze.

Płomienie i Bruce to jedno, pomyślał Kern, dwie formy tej samej istoty. Przypomniawszy sobie jak bardzo nieludzki był zawsze Bruce, tajemniczy i nieprzystępny. W tym kontekście nawet niezwykle zdolności Bruce'a tworzenia czegoś z niczego wydały mu się nagle podejrzane. Tak jak niewolnicy Góry, pomyślał. Wszechobecna broń, dziwne urządzenia... Przypomniał sobie moment, gdy Bruce wybierał dla nich odpowiedni świat. Odrzucił przecież kilka, zanim wybrał właśnie ten. Musiał mieć w tym swój własny interes. Tak, teraz wszystko stało się jasne! Co prawda był to skrzydlaty świat, jego własny, lecz zdominowany przez siłę i intelekt, jakie przedstawiały sobą tajemnicze płomienie. To one były prawdziwym władcą tej planety. A Bruce Hallam, poprzez tajniki genetycznych mutacji, był jej częścią.

— Nie ma tu dla was miejsca — odezwał się ponownie Bruce. — Tylko dla mnie i moich niewolników.

Nie można wam ufać. Jesteście tu obcy i niepotrzebni, dlatego musicie stąd zniknąć raz na zawsze.

Jego obraz zamazał się, a na jego miejscu pojawiły się znowu tańczące płomienie. Powoli nabierały koloru i siły, przybliżały się i oddalały jak w rytualnym tańcu zniszczenia.

Kern wiedział dobrze, że stawką w tej grze jest ich życie. Uwięziony i bezbronny skoncentrował całą siłę woli, poszukując w sobie dodatkowych rezerw energii. Oczekiwał na coś, co musiało się wydarzyć. Odczuł nagle jak odzywa się w nim doznanie zachodzących zmian, nowego wymiaru, w który nieoczekiwanie wstępuje. Do tej pory tłumił je w obawie, że okaże się obcym pośród swych skrzydlatych braci. Tym razem dostrzegł w tym zjawisku nadzieję i szansę, której nie mógł stracić. Powoli, powoli, szklana pułapka rozwarła się i znikła. Odszukał znów swobodę ruchów. Trwał jeszcze jednak nieruchomo, nie chcąc wzbudzać podejrzeń. Jego towarzysze byli wciąż uwięzieni, a lęk i rezygnacja odmalowywały się na ich twarzach. Otaczał ich półmrok, a jedynym źródłem światła był blask tańczących wokół języków ognia. Po chwili zauważył, że dostrzega znacznie więcej niż przypuszczał. Mrok przeszła rozszerzająca się fala jasności. Odbierał ją nie za pomocą wzroku, a całym swoim ciałem, jak gdyby pokrywała go cała sieć receptorów.

Tak widzi Góra, zrozumiał. Posiadł więc jedną z jej umiejętności, zbliżył się do niej, by ostatecznie zwyciężyć. Ściany Góry stały się dla niego przezroczyste, widział dokładnie toczący się za nimi bój niedobitków bandy Elje z napierającą większością niewolników. Nie odbierał ich teraz jako skrzydlatych ludzi, a strukturę barw i temperatur.

Ta zadziwiająca umiejętność nie budziła w nim żadnych pytań, przyjmował ją jako coś naturalnego i niezbędnego w tym świecie. Każdy z żołnierzy miał inny zestaw kolorów, lecz wszyscy niewolnicy mieli jedną wspólną cechę. W ich tkance widniało ciemne, ruchome znamię. Przypominało kształtem oko. Oko Bruce'a Hallama, otoczone powieką płomieni. Zrozumiał wreszcie. To były oczy Góry, za pomocą których kontrolowała ona wszystkich i wszystko jednocześnie. Ludzie Elje, mutanci i on sam wolni byli od podobnego zjawiska.

Czuł jak jego wiedza poszerza się nieustannie. Ciało Góry, pomyślał, zmienia się w zależności od potrzeb. Jest gazem, lub ciałem stałym, wydrążonym siecią znikających i two-rzących się na nowo korytarzy. Jednak umysł Góry, jej intelekt zawarty jest w tańczących płomieniach. To one stanowią centrum jej istnienia i działania. Sama Góra jest tworem raczej pomocniczym, ochronnym. Gdy przybyli na planetę, rozszalał się wywołany przez Demona huragan. Zjednoczył on Bruce'a z macierzą, choć i oni nie pozostali obojętni na tę eksplozję energii, która przyśpieszyła w konsekwencji proces zachodzących w nich zmian genetycznych. Sprawdziło się to w jego przypadku, także Kui i Byrny. Co tyczy się Sama nie był pewien, lecz nie miało to już większego znaczenia. Był wolny...

Kątem oka dostrzegł jak płomień, spośród których wylaniało się ciało Bruce'a, zamarły, jakby zaskoczone przez fakt, że odzyskał swobodę ruchów. Instynktownie poczuł ich nie-ludzki, złowroźny charakter.

Zmieniam się, stwierdził w myślach, przechodzę kolejną metamorfozę. Po chwili we wnętrzu Góry rozbłyskały już dwa różne źródła ognia, płózące się i

wznoszące migotliwymi językami płomieni. Jedno z nich emanowało nienawiścią i okrucieństwem. Drugie, tylko co wyłoniwszy się w przestrzeni, nabierało siły, wciąż bardziej intensywne.

Kern poczuł jak ogarnia go fala nienawiści. Nienawiści i strachu. Nie po raz pierwszy zresztą na tej planecie pełnej pułapek i niebezpieczeństw. Tym razem jednak lęk ustąpił po chwili. Wręcz przeciwnie, oczekiwał na nieuchronny konflikt z uczuciem rosnącej niecierpliwości.

Teraz jesteśmy równi, pomyślał. Nie był już dawnym Kernem. Posiadł nową świadomość i nową formę istnienia. Jego myśli stały się precyzyjne, a ciało lekkie i elastyczne. Nie potrzebował już mięśni, by się poruszać, ani mózgu, by snuć logiczne rozważania. Był ponad tym, w całkowicie innym wymiarze. Zbliżał się powoli do przeciwnika, który do niedawna był tu jedynym panem i władcą, czując narastające podniecenie. Obecnie Góra posiadała dwa równorzędne ośrodki, dwa centra konkurujące ze sobą, gotowe stoczyć ostateczny bój o władzę. Fala nienawiści wstrząsnęła nim ponownie. Walka stała się jedynym pragnieniem, wypełniającym całe jego jestestwo. Bój rozpoczął się w końcu. Pędzili na siebie, by zderzyć się z ogromną siłą. Znieruchomieli, złączeni w pozorną jedność, trwając w oczekiwaniu. Kern zebrał wszystkie siły, przeciwnik jednak nie ustępował.

— Nienawidzę cię, nienawidzę — powtarzał Kern, czując jak narasta w nim siła i moc.

Dotychczasowa równowaga zachwiała się, a szala zwycięstwa przechyliła się w jego stronę. Przyswajał energię wroga, dusił go, zamykał w sobie. Czy naprawdę był więc to Bruce, pomyślał w chwili zwycięstwa? Wróg

zmienił się w popiół, zniknął w nicości, zgasł. Góra jednak trwała.

Bruce nie był więc głównym źródłem siły, pomyślał rozczarowany. Muszę je odnaleźć! Rozejrzał się dookoła. Za szklaną ścianą giganta dostrzegł wyczekujących na rozkaz niewolników Góry. W każdym z nich krążyło niespokojnie płomienne oko. To w nich kryje się tajemnica, pomyślał.

Strumień jego energii przeniknął w głąb najbliższego niewolnika, zamknął w pułapce demoniczne znamię i wchłonął je w siebie. Jednocześnie Kern poczuł jak wzrasta jego potencjał. Bez wahania przystąpił do dalszej walki. Wkrótce oczyścił cały teren wokół Góry. Instynktownie czuł jak słabnie jej potęga, rozpada się na pojedyncze atomy, znika z powierzchni ziemi...

Pograżył się w wszechobecnej pustce, nicości bez początku i końca. Nie był już źródłem ognia. Nie był także człowiekiem. Był niczym. Nie istniał. Dookoła trwała wieczność — tysiące, miliony lat nie będące niczym innym jak chwilą w bezkresie niebytu.

Potem zaistniało coś. Czuł to wyraźnie. Coś, czego nie był w stanie określić, wiedział jednak, że jest na pewno. Usłyszał dalekie wołanie, głos pełen anielskiej słodyczy.

— Kern, Kern — przenikało do jego świadomości.

Nie znał swego imienia, lecz czuł, że to jest adresowane właśnie dla niego. Wyłaniał się z nicości, by być choć wciąż jeszcze zimny i daleko od życia, jak Bruce, gdy przemawiał do nich, zamknięty w kryształowej Górze. A jednak istniał!

— Kern, wracaj — usłyszał jak przez mgłę. — Wracaj!

Uśluł. Leżał nieruchomo na szczycie wzgórza, pod błękitnym, czystym niebem. Horyzont roztaczający się przed jego oczami był czysty, bez śladu groźnego giganta, który wznosił tu swe cielsko jeszcze przed chwilą.

W powietrzu rozbrzmiewał melodyjny głos Byrny, wzywającej go do powrotu. Ktoś inny ochraniał go przed słońcem, rozwierając szeroko płaszczyznę skrzydeł. Pragnienie lotu było pierwszym doznaniem, jakie odczuwał. Przemógł zmęczenie, wstał i po chwili koncentracji wzniósł się w powietrze. Wokoło dostrzegał uśmiechnięte, przyjazne twarze. Nareszcie był wolnym człowiekiem w wolnym świecie! W swym własnym świecie...

Spis treści

1. Mokra magia (*Wet Magic*)
02
2. Chwała i potęga (*The Power and the Glory*)
38
3. Jak bogowie (*Way of the Gods*)
57